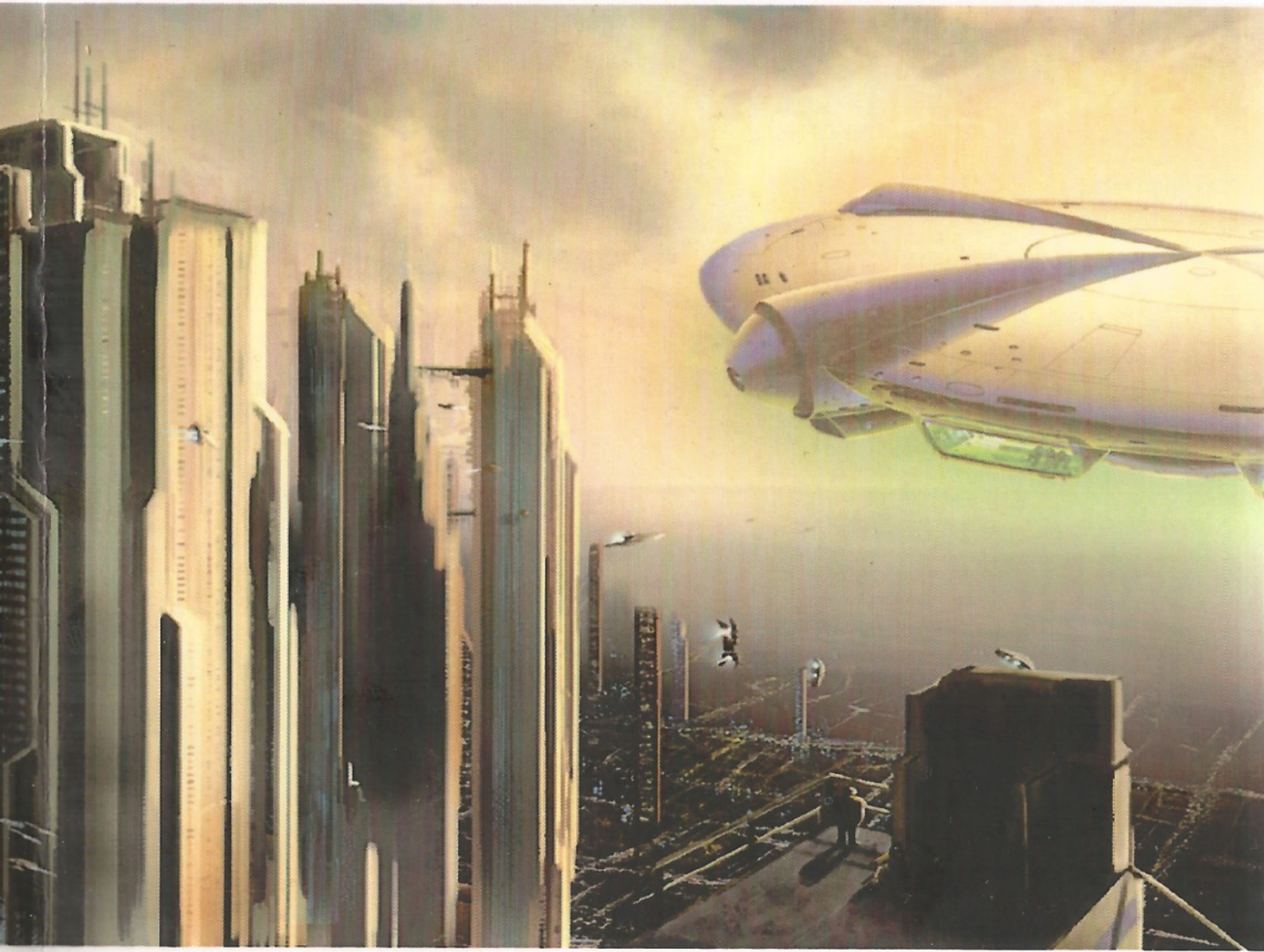




GALAKTYKA GUTENBERGA

CLIFFORD D. SIMAK



Imperium

Spis treści

- [Karta tytułowa](#)
- [Słowo wstępu](#)
- [Rozdział pierwszy](#)
- [Rozdział drugi](#)
- [Rozdział trzeci](#)
- [Rozdział czwarty](#)
- [Rozdział piąty](#)
- [Rozdział szósty](#)
- [Rozdział siódmy](#)
- [Rozdział ósmy](#)
- [Rozdział dziewiąty](#)
- [Rozdział dziesiąty](#)
- [Rozdział jedenasty](#)
- [Rozdział dwunasty](#)
- [Rozdział trzynasty](#)
- [Rozdział czternasty](#)
- [Rozdział piętnasty](#)
- [Rozdział szesnasty](#)
- [Rozdział siedemnasty](#)
- [Rozdział osiemnasty](#)
- [Rozdział dziewiętnasty](#)
- [Rozdział dwudziesty](#)
- [Rozdział dwudziesty pierwszy](#)
- [Clifford D. Simak](#)

Clifford D. Simak

Imperium

Clifford D. Simak

Imperium

Przełożył
Tomasz Walenciak

SOLARIS
Stawiguda 2013



GALAKTYKA
GUTENBERGA

SERIA GALAKTYKA GUTENBERGA:

- | | |
|------------------------|-----------------------------|
| 1. Harry Harrison | Planeta śmierci |
| 2. H. Beam Piper | Kudłacz |
| 3. H. Beam Piper | Kudłacz rozumny |
| 4. H. Beam Piper | Kudłacze i inni ludzie |
| 5. Siergiej Sniegow | Galaktyczny zwiad |
| 6. Siergiej Sniegow | W Perseuszu |
| 7. Siergiej Sniegow | Pętla wstecznego czasu |
| 8. antologia | Złoty Wiek SF tom 1 |
| 9. antologia | Złoty Wiek SF tom 2 |
| 10. antologia | Złoty Wiek SF tom 3 |
| 11. antologia | Złoty Wiek SF tom 4 |
| 12. antologia | Klasyka rosyjskiej SF tom 1 |
| 13. antologia | Klasyka rosyjskiej SF tom 2 |
| 14. antologia | Klasyka rosyjskiej SF tom 3 |
| 15. Clifford D. Simak | Imperium |
| 16. James Schmitz | Plazmoidy |
| 17. E.E. „Doc” Smith | Lensman 1: Trójplanetarni |
| 18. E.E. „Doc” Smith | Lensman 2: First Lensman |
| 19. E.E. „Doc” Smith | Lensman 3: Galactic Patrol |
| 20. Władimir Michajłow | Stróż brata mojego |
| 21. E.E. „Doc” Smith | Skylark 1 |
| 22. E.E. „Doc” Smith | Skylark 2 |
| 23. E.E. „Doc” Smith | Skylark 3 |
| 24. John W. Campbell | The Ultimate Weapon |
| 25. Murray Leinster | Pierwszy kontakt |

Imperium
tyt. oryginału: *Empire*

Empire copyright © 1951 by Clifford D. Simak
All Rights Reserved

ISBN 978-83-7590-106-1

Projekt i opracowanie graficzne okładki
Mariusz Brzostowski
Korekta – Bogdan Szyma
Skład – Solaris Druk
Druk – Drukarnia cyfrowa Solaris Druk

Agencja „Solaris”
Małgorzata Piasecka
11-034 Stawiguda, ul. Warszawska 25 A
tel./fax 89 5413117
e-mail: agencja@solaris.net.pl
sprzedaż wysyłkowa:



www.solarisnet.pl



Słowo wstępu

Science fiction jest literaturą, która największe triumfy święciła w XX wieku. Kto wie, może w ogóle jest gatunkiem dwudziestowiecznym, który choć powstał pod koniec XIX wieku, to w XXI wieku (tak często przez fantastów opiewanym) stanie się przeżytkiem i znać go będą tylko teoretycy literatury. I zagorzali czytelnicy.

To właśnie czytelnicy podnieśli science fiction do rangi samodzielnego gatunku literackiego. Dzisiaj ten gatunek powoli rozmywa się w innych czytelnicznych trendach, modach, stylach. Fantastyki jako środka wyrazu używają dzisiaj wszyscy.

Fani i fandom też rozmywa się dzisiaj w powodzi gier, komputerów, seriali. Literatura odchodzi na plan dalszy.

Miłośnicy książek sięgają jednak wciąż po starocie, ramoty science fiction, bo te wciąż bywają inspirujące.

Ja sam wracam do klasyki z kilku powodów. Po pierwsze, wracam do lektur, dzięki którym połączyłem bakcyli fantastyki, co z kolei wpłynęło na całe moje życie, jako że z fana stałem się księgarzem, wydawcą, redaktorem, koneserem. Dwa, niewiele współczesnych utworów SF potrafi mnie zachwycić - kiedy przeczytało się wiele setek książek, natychmiast odnajduje się inspiracje, które legły u podstaw nowych utworów: to było tu, tamto tam, itp. Trzy, klasyka SF, choć nie pisana tak „literacko”, psychoanalitycznie i współcześnie, budzi podziw dla kompozycji tekstu. Żadnych dłużyzn, idealnie wyważona fabuła, znakomite pomysły. Cztery, właśnie pomysły wciąż mnie przyciągają do klasyki, lubię wyszukiwać te utwory, w których jakiś fikcyjny pomysł pojawił się po raz pierwszy - by natychmiast być kopiowany, przerabiany, doskonalony przez innych pisarzy. Bo fantastyka jest jedynym gatunkiem literackim, w którym pomysły stają się dobrem i

własnością ogółu. Zdarzały się oszołomy, którym się to nie podobało, ale chcąc dobrze żyć z czytelnikami i fandomem, musieli się na to godzić.

Imperium Cliforda D. Simaka jest dzisiaj powieścią naiwną. Czytając ją, szczerze się bawiłem. Simak w chwili jej tworzenia (1951) był już autorem kilkunastu opowiadań. Miał na koncie świetnie przyjęte *Miasto*. I nagle - namawiany przez wydawcę magazynu groszowego - napisał kilka space oper, wzorowanych na wczesnych utworach E. E. „Doca” Smitha i Edmonda Hamiltona. Dla mnie, choć nie znalazłem potwierdzenia mojej tezy w opracowaniach krytycznych, te space opery (*Imperium* i *Kosmiczni inżynierowie*, a także znana w Polsce *W pułapce czasu*) to trochę pastisze gatunku.

Widać to zwłaszcza po *Imperium*, gdzie żargon naukowo-techniczny i skrótowość podejścia do nauki są wprost śmieszne - te silniki z mocą liczoną w miliardach koni mechanicznych, te nagłe przyspieszenia statku do tysiący prędkości światła, ta szybkość produkcji generatorów energii...

A najciekawszi w tych powieściach są naukowcy. Pracujący w swoich laboratoriach samotnie, bez pomocników (cała powieść to tak naprawdę scena 6 - słownie: sześciu - postaci!), mający genialne pomysły raz na godzinę, natychmiast znajdujący praktyczne rozwiązania do teorii, liczący na kalkulatorach, wszystko opracowujący w brulionach. Właśnie to mnie naprowadziło na myśl o pastiszu, bo w latach 50 naukowcy w USA już pracowali w wielkich centrach naukowych, a metody znane z czasów Edisona, Bella, braci Wright czy Forda, odeszły do lamusa.

To wszystko trzeba mieć na uwadze, czytając tę powieść Simaka. I bawcie się równie dobrze jak ja.

Wojtek Sedeńko

Rozdział pierwszy

Spencer Chambers wpatrywał się, marszcząc brwi, w leżącą przed nim na biurku kosmiczną depeszę. John Moore Mallory. Oto człowiek, który przysporzył mu mnóstwa kłopotów w wyborach w Konfederacji Jowisza. Wichrzyciel, który domagał się głośno dochodzenia w sprawie Międzyplanetarnej Spółki Energetycznej. Człowiek, który twierdził, że Spencer Chambers i Międzyplanetarna Spółka Energetyczna prowadzili z mieszkańcami Układu Słonecznego wojnę ekonomiczną.

Chambers uśmiechnął się. Długimi, zadbanymi palcami musnął stalowoszary wąs.

John Moore Mallory miał rację; dlatego też był niebezpieczny. Jego miejsce było w więzieniu; w miarę możliwości poza obszarem Konfederacji Jowisza. Może na jednym ze statków więziennych, kursujących na krańce Układu, aż na orbitę Plutona. A może lepsze byłoby więzienie na Merkury?

Spencer Chambers oparł się w fotelu i zachmurzywszy się znowu, wpatrywał się w złączone czubki palców.

Merkury był ciężkim miejscem. Ludzkie życie nie było tam wiele warte. Praca w zalewanych płonącymi wybuchami ciepła Słońca elektrowniach, w których promieniowanie wysysało z ciała energię, wykańczała każdego w sześć miesięcy, góra rok.

Chambers pokręcił głową. Nie na Merkury. Nie miał nic przeciwko Mallory'emu. Nigdy go co prawda nie spotkał, ale nawet mu się podobał. Podobnie jak sam Chambers, Mallory był po prostu człowiekiem walczącym w imię zasad.

Żałował, że musiał umieścić Mallory'ego w więzieniu. Gdyby tylko zechciał posłuchać głosu rozsądku i przyjął złożoną mu propozycję albo zniknął do zakończenia wyborów w Konfederacji... albo chociaż złagodził

swoje zarzuty. Kiedy jednak spróbował ujawnić ofertę, którą nazwał przekupstwem, coś trzeba było zrobić.

Tą częścią sprawy zajął się Ludwig Stutsman. Całkiem błyskotliwy człowiek, choć najbardziej wredny typ, jaki kiedykolwiek poruszał się na dwóch nogach. Osobnik doszczętnie wyzuty ze współczucia i całkowicie pozbawiony zasad. Osobnik użyteczny, który zniżyłby się do wszystkiego, kiedy trzeba było wykonać brudną robotę. A brudna robota była czasem konieczna.

Chambers podniósł depezę i przeczytał ją uważnie. Przysłał ją Stutsman, obecnie na Kallisto. Szło mu tam całkiem dobrze. Konfederacja Jowisza, od niecałego roku pod władzą MSE, nadal była częściowo zbuntowana, wciąż oburzona zmuszeniem jej do oddania rządów wyselekcjonowanym urzędnikom firmy Chambersa. Potrzeba było żelaznej ręki, a był nią Stutsman.

A zatem ludzie na satelitach Jowisza domagali się uwolnienia Johna Moore'a Mallory'ego. „Robi się gorąco”, stwierdzała depeza. Uwięzienie Mallory'ego na Kallisto było błędem. Stutsman powinien to przewidzieć.

Chambers zamierzał polecić Stutsmanowi usunięcie Mallory'ego z więzienia na Kallisto i osadzenie go na jednym ze statków więziennych, z poleceniem dla kapitana, aby złagodzić warunki odosobnienia. Może będzie można go uwolnić, kiedy wrzawa przycichnie, a nastroje w Konfederacji Jowisza opadną. W końcu Mallory nie był tak naprawdę winny żadnego przestępstwa. Prawdziwa szkoda, że trzeba go było uwięzić, podczas gdy mafijne szczury pokroju Scorio wędrowały zupełnie bezkarnie pod samym jego nosem w Nowym Jorku.

Rozległ się delikatny brzęczyk i Chambers wyciągnął rękę, przyciskając sygnalizator.

- Doktor Craven do pana - powiedziała jego sekretarka. - Chciał się pan z nim widzieć.

- W porządku - powiedział Chambers. - Każ mu od razu wejść.

Nacisnął guzik ponownie, podniósł pióro, wypisał depeszę do Stutsmana i podpisał ją.

W drzwiach stanął doktor Herbert Craven w nie-chlujnym pogniecionym garniturze, z rozwichrzonymi, przerzedzonymi blond włosami.

- Wzywał mnie pan - powiedział kwaśno.

- Niech pan usiądzie, doktorze - zaprosił go Chambers.

Craven usiadł. Przyglądał się Chambersowi przez okulary.

- Nie mam wiele czasu - oznajmił zjadliwym tonem.

- Cygaro? - zaproponował Chambers.

- Nie palę.

- W takim razie, może drinka?

- Wie pan, że nie piję - uciął Craven.

- Jest pan najmniej towarzyskim ze znanych mi ludzi, doktorze - powiedział Chambers. - Czy pan w ogóle ma jakieś rozrywki?

- Pracę - powiedział Craven. - To mnie ciekawi.

- Z pewnością. Żal panu nawet czasu na rozmowę ze mną.

- Nie przeczę. Czego pan chce tym razem?

Chambers okręcił się, żeby spojrzeć mu przez biurko prosto w twarz. Szare oczy finansisty spoglądały zimno, a wargi przybrały zacięty wyraz.

- Nie ufam panu, Craven - powiedział. - Nigdy nie ufałem. Dla pana to pewnie żadna nowość.

- Pan nie ufa nikomu - odparował Craven. - Cały czas kontroluje pan wszystkich.

- Pięć lat temu sprzedał mi pan gadżet, którego nie potrzebowałem - powiedział Chambers. - Przechytrzył mnie pan i nie mam panu tego za złe. W istocie, prawie zacząłem pana podziwiać. Dlatego też związałem pana kontraktem, którego nie zdoła zerwać ani pan ani wszyscy prawnicy piekła, ponieważ pewnego dnia odkryje pan coś wartościowego, a kiedy to się stanie, chcę to mieć. Milion rocznie to wysoka cena za ochronę przed panem, ale uważam że jest pan tego wart. Gdyby tak nie było, już dawno temu oddałbym

pana Stutsmanowi. On wie, jak obchodzić się z ludźmi pańskiego pokroju.

- Chce pan powiedzieć, że odkrył, iż pracuję nad czymś, o czym panu jeszcze nie doniosłem - powiedział Craven.

- Dokładnie.

- Dostanie pan raport, kiedy będzie o czym pisać. Nie wcześniej.

- W porządku - powiedział Chambers. - Chciałem tylko, żeby pan wiedział.

Craven podniósł się powoli.

- Te pogawędki działają na mnie niezwykle odprężająco - zauważył.

- Musimy częściej je sobie ucinać - powiedział Chambers.

Craven wyszedł, trzaskając drzwiami.

Chambers spojrzął za nim. Dziwny człowiek, najbardziej przenikliwy naukowiec świata, ale nie typ, któremu można by zaufać.

Prezes Międzyplanetarnej Spółki Energetycznej wstał z fotela i podszedł do okna. W dole rozciągało się ryczące piekło Nowego Jorku, największego miasta Układu Słonecznego, dziwnego miejsca szczególnej urody i ciężkiego materializmu, architektury superdrapaczy chmur przypominających marzenia, a równocześnie praktycznego w swojej funkcji portu kosmicznego do wielu planet.

Popołudniowe światło wpadało ukośnie przez okno, łagodząc stalową szarość włosów stojącego w nim człowieka. Chambers, z ciałem zachowującego dobrą kondycję wojownika, niemal wypełniał okno barkami. Nad wąskimi, nierównymi ustami nosił z aurą godności przycięte krótko Wąsy.

Spoglądał na miasto, ale nie widział go. Myślami oglądał wizję spełniającego się marzenia. To marzenie rozsnuwało swoją kruchą sieć wokół planet Układu Słonecznego, wokół ich księżyców, wokół każdego metra kwadratowego powierzchni planet, na które ludzie ruszyli, aby zbudować i stworzyć nową ojczyznę - wokół kopalni Merkurego i farm Wenus, terenów wypoczynkowych Marsa i potężnych kopuł miejskich na księżycach Jowisza,

księżyców Saturna i ogromnych, zimnych laboratoriów Plutona.

Kluczem była energia, zapewniana przez ogniwa energetyczne wypożyczane przez ich właściciela, czyli MSE. Monopol na energię. Energię, której Wenus i Merkury miały aż nadto i musiały sprzedawać, a której potrzebowały inne planety i satelity. Energię, dzięki której wędrowały w próżni wielkie statki i działał przemysł, która ogrzewała położone na zimniejszych światach kopuły. Energię, pozwalającą ludzkości żyć i funkcjonować na wrogich światach.

Ogniwa ładowano w wielkich elektrowniach Merkurego i Wenus, po czym rozsyłano na inne planety, które potrzebowały energii. Wynajmowano je, ale nigdy nie sprzedawano. Ponieważ cały czas stanowiły własność MSE, od ich ogniw zależał praktycznie los wszystkich planet.

Niewielka liczba ogniw była produkowana i sprzedawana przez inne, mniejsze przedsiębiorstwa, ale były one nieliczne, a ich ceny wysokie. MSE zadbało o to. Kiedy firmie zarzucano zmonopolizowanie rynku, zawsze można było wskazać innych producentów jako dowód na brak ograniczeń handlu. W myśl prawa jego firmie nie można było zarzucić tworzenia monopolu, jednak sam koszt produkcji ogniw był dostateczną ochroną przed jakąkolwiek poważną konkurencją.

Od sprawnych, wydajnych urządzeń do przechowywania energii zależało powodzenie lub porażka podróży kosmicznych. Zaś urządzenia te i magazynowaną w nich energię sprzedawała Międzyplanetarna Spółka Energetyczna - praktycznie zaś, tylko ona.

I tak rok po roku, MSE zacieśniało swój chwyt na Układzie Słonecznym. Merkury był już właściwie własnością firmy. Mars i Wenus były tylko marionetkowymi państwami. Teraz zaś rządy Konfederacji Jowisza znalazły się w rękach ludzi, którzy uznawali Spencera Chambersa za swojego przełożonego. Agenci i lobbyści, występujący w interesach spółki, roili się w każdej ziemskiej stolicy, nawet w stolicy Federacji Środkowoeuropejskiej rządzonej przez dyktaturę absolutną. Ogniwa energetyczne były przecież

potrzebne nawet Środkowej Europie.

- Dyktatura ekonomiczna - powiedział do siebie Spencer Chambers. - Tak określił to John Moore Mallory. - Cóż, właściwie dlaczego nie? Podobna dyktatura oddałaby rządy najsprawniejszym umysłom przedsiębiorców, zapewniłaby biznesowe zarządzanie w całym Układzie Słonecznym i uchroniła ludzi przed błędami popełnianymi przez rządy wybieralne.

Demokracja opierała się na błędnym założeniu - na teorii, że do rządzenia nadawali się wszyscy. Widziała inteligencję tam, gdzie jej brakowało. Zakładała istnienie zdolności tam, gdzie nie było najmniejszego ich śladu. W polityce przyznawała idiotocie tę samą pozycję co mędrcom, wariatowi te same szanse na karierę co człowiekowi o ugruntowanym zdrowym rozsądku, słabeuszowi ten sam głos co człowiekowi silnemu. Jej rządy opierały się raczej na emocjach niż osądzie sytuacji.

Twarz Spencera Chambersa przybrała ponury wyraz. Nie został w niej nawet ślad łagodności. W świetle późnego popołudnia, które wydobywało z cienia kąty i tworzyło plamy światła, przypominała prawie granitową maskę osadzoną na litym granitowym ciele.

W dynamicznej, rozwijającej się cywilizacji nie było miejsca na bzdury Mallory'ego. Nie było powodu go zabijać - w pewnych okolicznościach nawet on mógł mieć jakąś wartość, a żaden naprawdę sprawny prezes spółki nie niszczy wartości. Trzeba było jednak pozbyć się go, usuwając w miejsce, w którym jego nawołujący do buntu język nie mógł narobić szkód. Przeklęty głupiec! Na co zda mu się ten idiotyczny idealizm na więziennym statku kosmicznym?

Rozdział drugi

Russell Page mrużył powieki, wpatrując z namysłem w stworzoną przez siebie rzecz - przezroczysty obłok, widoczny, wyraźnie zarysowany obłok *cze-goś*. Widział go w ten sam sposób, co kawałek szkła lub kulę wody. Rzecz, która nie miała prawa istnieć, wisiała przed nim wewnątrz aparatury.

- Chyba coś mamy, Harry - powiedział powoli.

Harry Wilson pociągnął przyklejonego w kąciку ust papierosa, wypuścił z nozdrzy bliźniacze strumienie dymu. Oczy drgały mu nerwowo.

- Jasne - powiedział. - Powstrzymuje entropię.

- Całkowicie - stwierdził Russell Page. - A może i o wiele więcej.

- Powstrzymuje każdą zmianę energii - powiedział Wilson. - Zupełnie, jakby czas się zatrzymał, a rzeczy pozostały dokładnie w tym samym stanie, w jakim się znalazły, kiedy to zaszło.

- Chodzi nie tylko o to - stwierdził Page. - Zachowuje nie tylko energię całości *in toto*, ale też energię części. Jest doskonale przezroczysty, a mimo to posiada właściwości odbijające światło. Nie pochłania go, ponieważ to zmieniłoby jego wewnętrzny stan energii. Cokolwiek w tym polu jest gorące, pozostanie gorące, a cokolwiek jest zimne, nie ogrzeje się.

Myśląc, potarł dłonią o parodniowy zarost. Wyjął z kieszeni fajkę i skórzany kapciuch. Nabił uważnie fajkę i zapalił ją.

Zaczął się od eksperymentu z polem siłowym 348, który miał prześledzić skutki ogrzania w nim przewodnika. Rozgrzanie przewodnika za pomocą elektryczności okazało się niemożliwe, ponieważ rozstroiłoby pole, zmieniając je w coś innego. Użyli więc palnika Bunsena.

Przez współprzymknięte oczy wciąż widział jak smukłe pasmo srebrzystego drutu pod wpływem błękitnego płomienia zmieniło się na całej długości w czerwień. Początkowo w głęboką, a potem coraz jaśniejszą, aż

rozżarzył się prawie do bieli. Przetwornik szumiał cały ten czas, kiedy tworzyło się pole siłowe. Szum przetwornika, przytłumiony ryk palnika i rozżarzony ciepłem odcinek drutu.

Stało się wtedy coś... coś fantastycznego. Poczul dziwne szarpnięcie, jakby pojawiła się jakaś większa siła, zaczęło działać mocniejsze prawo. Drut i płomień otoczył pęcherz jakiejś siły, niewidzialnej, ale wyczuwalnej. Ryk palnika w jednej chwili zmienił ton, z otworów u podstawy rozeszła się woń gazu. Coś wewnątrz mosiężnego przewodu odcięło strumień płomienia. Jakaś siła, coś...

Płomień stał się przejrzystym obłokiem. W ułamku sekundy błękit i czerwień płomienia i gorącego drutu zmieniły się w przezroczysty, choć odbijający światło obłok zawieszony wewnątrz aparatury.

Drut stracił czerwoną barwę, tak samo jak z płomienia zniknął błękit. Świecił teraz. Nie był srebrzysty ani biały. Nie widział ani śladu koloru, jedynie wywołane odbiciem światła rozmazanie, wskazujące, że drut nadal tam był. Pozbawione koloru odbicie. *To zaś oznaczało odbicie całkowite!* Najdoskonalsze odbijające światło ciała odbijają niewiele ponad 98 procent padającego na nie światła, zaś absorpcja pozostałych dwóch procent nadaje im barwy miedzi, złota lub chromu. Ale drut w polu siłowym, który jeszcze chwilę wcześniej był płomieniem, odbijał światło całkowicie.

Przeciął drut parą nożyc. Nadal wisiał w powietrzu, bez oparcia, niezmienny wewnątrz migoczącego obszaru tworzącego coś, czego żaden człowiek do tej pory nie widział.

- Nie da się wprowadzić energii do środka - powiedział do siebie Page, żując ustnik fajki. - Nie da się jej wyprowadzić. Wciąż jest tak samo gorący, jak w chwili, kiedy nastąpiła zmiana. Nie oddaje jednak ani trochę tego ciepła. Nie oddaje żadnego rodzaju energii.

Jasne, nawet drut odbijał światło, nie mógł więc pochłaniać energii i zakłócić w ten sposób istniejącej wewnątrz tego fragmentu przestrzeni równowagi. Pole zachowywało nie tylko energię, ale i jej formę.

Ale dlaczego? Pytanie wciąż kołatało mu się po głowie. Dlaczego? Musiał się tego dowiedzieć.

Może chodziło o nachylenie pola w stronę pola 349? Może udałoby mu się odkryć ten sekret gdzieś między tymi dwoma polami siłowymi, na niemal nie istniejącej granicy między nimi.

Podniósł się, wystukując fajkę.

- Czeka nas praca, Harry - ogłosił.

Wilson wypuścił dym nosem.

- No - powiedział.

Page poczuł nagłą ochotę, żeby go uderzyć. Drażniło go to wieczne wypuszczanie dymu nozdrzami, zwisający bezwładnie w kąciku ust nieodłączny papieros, rozbiegane oczy, brudne paznokcie.

Wilson był jednak geniuszem mechaniki. Dłonie, mimo brudnych paznokci, miał bardzo zręczne. Potrafił stworzyć mikroskopijne kamery i trzygramowe elektroskopy lub wagę zdolną do zmierzenia siły nacisku uderzeń elektronów. Jako asystent laboratoryjny nie miał sobie równych. Gdyby tylko nie odpowiadał na każde zdanie lub pytanie tym szarpiącym nerwy, „no”!

Page zatrzymał się przed mniejszym, obłożonym grubą warstwą kwarcowego szkła, pomieszczeniem. Wewnątrz znajdował się wielki rząd rtęciowych prostowników. Bił od nich błękitnozielony blask, który zalał mu twarz i ramiona wściekłymi, jaskrawymi kolorami. Szkło chroniło go przed potężnym uderzeniem światła ultrafioletowego bijącym z sadzawki lśniącego ciekłego metalu, którego przerażająca emanacja w kilka chwil odarłaby człowieka ze skóry.

Naukowiec zmrużył oczy w rażącym świetle. Coś w nim fascynowało go śmiertelnie. Uosobienie energii -niewiarygodnie gęsty punkt rozżarzonego oparu, maleńka sfera błękitnozielonego ognia, wirująca fala świetlistego zbiornika, oślepiający blask jonizacji.

Energia... oddech współczesnej ludzkości, tętno postępu.

Pomieszczenie obok mieściło ogniwa energetyczne. Nie ogniwa MSE, które musiałyby wynająć, ale zakupione od drobnego producenta, wytwarzającego ich rocznie tylko dziesięć do piętnastu tysięcy... nie dość, żeby przeszkadzało to MSE.

Zakup ogniw umożliwił mu Gregory Manning. Manning umożliwił mu wiele rzeczy w tym małym laboratorium, ukrytym głęboko w sercu Sierry, daleko od wszelkich ludzkich osiedli.

Dziadek Manninga, Jackson Manning, który jako pierwszy stworzył pole zakrzywiające i pokonał grawitację, zostawił wnukowi fortunę zbliżającą się do pięciu miliardów. To jednak nie było wszystko. Po słynnym przodku Manning odziedziczył również przenikliwy naukowy umysł. Po dziadku ze strony matki, Anthonym Barretcie, dostał bystry zmysł do interesów. Jednak w przeciwieństwie do ojca swojej matki, nie poświęcił uwagi całkowicie interesom. Przez niemal całą generację stary Barret praktycznie rządził Wall Street, stając się legendą finansjery łączoną z wyczulonym zmysłem do interesów oraz niesamowitym darem właściwego obchodzenia się z ludźmi i pieniędzmi. Jednak świat poznał jego wnuka, Gregory'ego Manninga, w inny sposób. Choć po jednej gałęzi rodziny odziedziczył zdolności naukowe, po drugiej zaś zmysł do finansów, po jakimś innym przodku - być może odległym i nieznanym - odziedziczył też zamiłowanie do podróży, które zawiadło go na najbardziej oddalone rubieże Układu Słonecznego.

To Gregory Manning sfinansował i stanął na czele ekspedycji ratunkowej, która zabrała pierwszą wyprawę na Plutona z tej ciemnej planetarnej lodówki, gdzie rozbił się jej statek badawczy. To on pilotował zwycięski statek w derby Jowisza, mknąc z wizgiem wokół potężnej planety jak pocisk, z czasem będącym rekordem Wkładu. To Gregory Manning zapuścił się na bagna na Wenus i schwytał mającego tam mieszkać tajemniczego jaszczura. On też zawiózł serum na Merkurego, kiedy życie dziesięciu tysięcy ludzi wisiało na włosku.

Russell Page znał go od czasów uniwersyteckich. Przeprowadzali

wspólnie eksperymenty w laboratoriach szkolnych, spędzali całe godziny na sprzeczkach i rozwiązaniach, dyskusjach o teoriach naukowych. Razem pokochali tę samą dziewczynę, razem ją stracili, i razem czuli gorzkość straty, utopioną w trzydniowym pijaństwie, które przeszło do historii campusu.

Po ukończeniu studiów, Gregory Manning trafił do świata sławy, wędrował po powierzchni każdej planety oprócz Jowisza i Saturna, zwiedził każdy zamieszkały księżyc, spenetrował bagna Wenus, przebył pustynie Marsa, wspinał się na góry na Księżycu, popychany naprzód nie pozwalającą mu odpocząć potrzebą zobaczenia i doświadczenia wszystkiego na własne oczy. Russell Page zapadł w niepamięć, zagrzebał się w badaniach naukowych, coraz bardziej kierując swoje wysiłki w stronę odkrycia nowego źródła energii... taniej energii, która zniszczyłaby groźbę dyktatury MSE.

Page odwrócił się od pomieszczenia z rektyfikatorami.

- Może już wkrótce będę mógł pokazać coś Gregowi - powiedział do siebie. - Może, po tych wszystkich latach...

Gregory Manning przybył czterdzieści minut po tym, jak Page zadzwonił do Chicago. Wypatrując go na otaczającym dom i laboratorium małym trawniku, naukowiec zobaczył, jak jego samolot wystrzelił z horyzontu, opadł z wizgiem i perfekcyjnie wylądował.

Spiesząc w stronę samolotu, z którego wysiadał Gregory, Russell zauważył, że choć od ich ostatniego spotkania minął już rok lub więcej, jego przyjaciel wyglądał jak zawsze. Tym, co konsternowało go w Gregu, była jego pozornie wieczna młodość.

Greg miał na sobie bryczesy, wysokie buty i starą tweedową kurtkę, z lśniącym błękitnym halsztukiem przy gardle. Pozdrowił go machnięciem dłoni i ruszył mu na spotkanie. Russ usłyszał chrzęst butów na żwirze ścieżki.

Twarz Grega była posępna, jak zawsze. Czysta, gładka twarz, o twardych rysach, z ukrytą w oczach surowością.

Uściskiem niemal zmiądzzył Russowi dłoń, ale przemówił rześkim tonem.

- Wydawałeś się przejęty, Russ.

- Mam do tego prawo - powiedział naukowiec. - Chyba nareszcie coś odkryłem.

- Tanią energię atomową? - zapytał Manning. Głos nic zadrżał mu nawet z przejęcia, widać było tylko napięte nieco zmarszczki przy oczach i mięśnie policzków.

Russ pokręcił głową.

- Nie. O ile to w ogóle coś znaczy, chodzi o energię materialną, sekret energii materii.

Zatrzymali się przed dwoma krzesłami ogrodowymi.

- Usiądźmy tu - zaproponował Russ. - Opowiem ci najpierw, a potem pokażę. Nieczęsto zdarza mi się wychodzić na dwór.

- Piękne miejsce - powiedział Greg. - Czuję zapach miłosny.

Laboratorium usadowiło się na poszarpanej pół-ce skalnej, prawie 7000 stóp nad poziomem morza. Przed nimi łąd opadał nieregularnie zębatymi grzbietami w stronę położonej daleko w dole doliny, gdzie w południowym słońcu lśnił strumień. Za nim wznosiły się przystrojone sosnami zbocza, w oddali zaś połyskiwały świetliste baszty ośnieżonych szczytów.

Russ wydobył ze skórzanej kurtki fajkę i tytoń, zapalił.

- To było tak - powiedział. Oparłszy się wygodnie, opisał pierwszy eksperyment. Manning słuchał uważnie.

- A teraz ta dziwna część - dodał Russ. - Już wcześniej miałem nadzieję, że do czegoś dojdę, ale wierzę, że właśnie to naprowadziło mnie na właściwy trop. Wziąłem metalowy pręt, wiesz, zwykłą elektrodę spawalniczą i wsadziłem ją w okrzepłe pole siłowe, jeśli tak chcesz to nazwać... choć ten termin tu nie pasuje. Elektroda weszła do środka. Trzeba było mocno ją pchać, ale udało się. A chociaż pole wydawało się całkowicie przezroczyste, elektrody nie było widać, nawet po tym jak wepchnąłem ją na tyle głęboko, że powinna była już wyjść po drugiej stronie. Zupełnie jakby w ogóle nie weszła do tej sfery. Jakbym po prostu składał ją jak teleskop, a jej gęstość rosła w miarę popychania, jakby wbijała się sama w siebie, co oczywiście,

nie było możliwe.

Urwał i pykał fajkę, utkwivszy wzrok w śnieżnych szczytach w purpurowej dali. Manning czekał.

- W końcu elektroda wyszła - ciągnął Russ. - Pamiętaj, wyszła po tym, jak przysięgłbym, że wcale nie weszła do tej sfery, gdybym polegał tylko na świadectwie własnych oczu. *Wyszła jednak obrócona o dziewięćdziesiąt stopni od punktu wejścia!*

- Poczekaj chwilę - powiedział Manning. - To nie pasuje. Powtórzyłeś to?

- Powtórzyłem tuzin razy, wyniki za *każdym* razem były takie same. Nie słyszałeś jednak jeszcze nawet połowy. Kiedy wyciągnąłem elektrodę - tak, dało się ją wyciągnąć - była o dobre dwa cale krótsza, niż kiedy ją wciskałem. Nie mogłem w to uwierzyć. Jeszcze trudniej przyszło mi uwierzyć, że elektroda mogła wyjść pod kątem dziewięćdziesięciu stopni od punktu wejścia. Mierzyłem potem elektrody i sprawdzałem, zapisując wszystko dokładnie. Podczas wpychania do sfery, każda straciła około dwóch cali. Każda powtórzyła zjawisko zakrzywienia wewnątrz sfery, wychodząc w miejscu innym niż to, w którym je wsadziłem.

- Masz jakieś wyjaśnienie? - zapytał Manning. W jego głosie pojawił się nareszcie zimny dreszcz ekscytacji.

- Tylko teorię, żadnych prawdziwych wyjaśnień. Pamiętaj, że po wepchnięciu elektrody do sfery, nie było jej widać. Zupełnie, jakby jej tam nie było. Może i nie było. Wewnątrz sfery nie da się niczego poruszyć, inaczej zmieniłoby się sumę wewnętrznej energii potencjalnej, kinetycznej i ciśnienia. Wydaje się, że ta sfera dąży wyłącznie do jednego... uniknięcia zmiany. Gdyby dotknęła przewodu wewnątrz pola, nacisnęłaby go, zużywając energię i zmniejszając energię potencjalną. W jakiś sposób musiała go więc ominąć. Uważam, że *przesunęła się na jakiś wyższy plan istnienia i ominęła go*. Robiąc to, musiała skrócić tyle razy w czwartym wymiarze, że straciła całą długość. A może wzrosła jej gęstość. Nie jestem pewny. Może nikt się tego nigdy nie dowie.

- Dlaczego nie powiedziałaś wcześniej? - zapytał Manning. - Powinienem

ci tu pomagać. Może na niewiele bym się przydał, ale mógłbym pomóc.

- Będziesz miał szansę - odpowiedział mu Russ. -Dopiero zaczynamy. Zanim zacząłem zawracać ci głowę, chciałem upewnić się, że coś mam. Próbowałem z tą pierwszą sferą innych rzeczy. Odkryłem, że wbity w nią na wylot metal przewodzi prąd elektryczny, co jest całkiem wystarczającym dowodem na to, że metalu w ogóle nie ma wewnątrz sfery. Można przepchnąć przez nią szkło, nie tłukąc go. Nie giętkie szkło, ale pręty zwykłego starego, kruche go szkła. Ono również zakręca, nie łamiąc się, i również traci trochę na długości. Woda daje się przepchnąć przez wprowadzoną do sfery rurę, ale tylko przy zastosowaniu potwornego ciśnienia. Nie potrafię nawet zacząć zgadywać, czego to dowodzi.

- Powiedziałeś, że eksperymentowałeś z pierwszą sferą - powiedział Manning. - Stworzyłeś inne?

Russ wstał z krzesła.

- Wejź do środka, Greg - powiedział z szerokim uśmiechem na twarzy. - Mam coś, co musisz zobaczyć, żeby to docenić.

Aparatura była cięższa i większa niż ta, za której pomocą Russ po raz pierwszy stworzył sferę energii. Otaczało ją pięć wycelowanych w nią, skupionych w przestrzeni między czterema wielkimi miedzianymi blokami, przewodów zasilanych potężną baterią ogniów.

Russ wyciągnął dłoń do przełącznika sterującego zasilaniem. Wiązki zasilające zapłonęły nagle, przechodząc od przyćmionego żaru do intensywnego, niemal nieznośnego blasku. Stłumiony pomruk mocy narastał powoli do przeciągłego skowytu.

Wiązki zmieniły barwę, były teraz niebieskawe, typową barwą poddanego jonizacji powietrza. Chociaż były tylko stykającymi się we wspólnym ośrodku przewodami zasilającymi, wydawały się w pewien sposób dziwne, ponieważ mimo że mogły przesyłać energię daleko w przestrzeń, zatrzymywały się nagle. Cała ich energia wpadała do wspólnego ośrodku i zatrzymywała się w nim. Zalała je intensywna rozżarzona poświata, która

zaczęła powoli wirować, podczas gdy silnik szumiał gdzieś łagodnie, przebijając się przez zalewający laboratorium wściekły ryk i pomruk mocy.

Poświata zaczęła obracać się coraz szybciej. Powstawało wirujące pole siłowe. Przewody zasilające zaczęły mrugać ze zmienną intensywnością. Sfera wydawała się rosnąć, prawie całkowicie wypełniając przestrzeń między blokami miedzi. Dotknęła jednego z nich i odbiła się lekko w stronę drugiego. Powiększyła się, urosła nieco. Tytaniczny hałas zagłuszył nagłe przeraźliwy skowyt, który przeszył pomieszczenie, kiedy energia pola i metal w momencie zetknięcia wirującej sfery z miedzianymi blokami, wzbudziły osobliwe tarcie.

Przewody zgasły z nagłym wstrząsem, skowyt ucichł, ryk zamilkł. Kiedy otworzyły się automatycznie przełączniki liczbowe, w pomieszczeniu zapadła przerażająca cisza.

Sfera zniknęła! W jej miejscu widać było tylko niewyraźne odbicie wskazujące, gdzie się znajdowała. To, i cienką warstwę idealnie odbijającą światło miedzi... w tej chwili bezbarwnej. Manning wiedział jednak, że to miedź, ponieważ stanowiła część wielkich miedzianych bloków.

Czuł się, jakby jego umysł pędził na jałowym biegu, do niczego nie dochodząc. Sfera zawierała w sobie całość energii przelanej przez pięć gigantycznych przewodów zasilających, włączonych przez prawie całą minutę na pełną moc. Skondensowanej energii! Dość, żeby uwalniając ją w jednej chwili, wysadzić te góry, odsłaniając skałę u ich podstaw. Energii uwięzionej i zatrzymanej dzięki jakiejś osobliwości niewielkiej linii granicznej między polami siłowymi 348 i 349.

Russ przeszedł przez pomieszczenie w stronę małego elektrycznego wózka na gumowych gąsienicach, nasilanego baterią przenośnych ogniwo energetycznych. Naukowiec wprawnie pokierował go na drugą stronę pomieszczenia i podniósł długą na pięć stóp stalową sztabę o średnicy czterech cali. Chwyciwszy ją magnetycznym dźwigiem transportera, umieścił ją solidnie w podobnych do ramion szczękach z przodu maszyny, po czym

przemieścił maszynę w pozycję nad polem siłowym.

Żelazne szczęki uderzyły w dół z miażdżącym impetem, wpychając stalowy pręt w pole. Manipulator zatrzymał się, drżąc, z donośnym jękiem, kiedy w polu zniknęło zaledwie osiem cali pręta. Pomieszczenie wypełnił odór rozgrzanej izolacji. Silnik elektryczny warczał, gumowe gąsienice skrzypiały, maszyna jęczała i napierała, ale sztaba nie chciała wejść dalej.

Russ wyłączył maszynę i odsunął się.

- To daje ci pewne pojęcie - powiedział poważnie.

- Teraz cała sztuka w tym, jak pokonać to pole - powiedział Greg.

Russ sięgnął bez słowa do przełącznika zasilania. W stronę pola pomknęły nagle z grzmiącym gniewnym rykiem promienie energii... tym razem jednak pole nie zmaterializowało się ponownie. Laboratorium zadrżało znowu pod szarpnięciem, które zdawało się zniekształcać przestrzeń i czas.

Wrażenie zniknęło równie gwałtownie, jak się pojawiło. Kiedy jednak minęło, wydawało się, że obok nich pędzi bezdźwięcznie coś olbrzymiego i niewyobrażalnie potężnego... coś wyczuwalnego zmysłami. Zupełnie, jakby w środku nocy obok nich, przez nich, i w całej przestrzeni dookoła wiał potężny, bezgłośny, zapierający dech wiatr, który przycichał z wolna.

Stal, która zniknęła w polu, nie pojawiła się ponownie wraz z jego zniknięciem i wyczerpaniem się mocy. Nad miejscem, w którym znajdowało się pole, tkwił nadal zawieszony niemal groteskowo manipulator, wciąż ściskając pręt w szczękach. Jednak końcówka pręta, osiem cali, które znalazły się w polu, zniknęła. Została odcięta tak ostro, że na uciętej powierzchni powstało odbijające mocno światło zwierciadło wklęsłe.

- Gdzie on jest? - zapytał Manning. - W tym inn-y-m wymiarze?

Russ pokręcił głową.

- Poczujesz ten pęd? To mogło być przelanie energii materii do innego wymiaru. Może to właśnie jest klucz do opanowania energii materii!

Gregory Manning wpatrywał się w pręt.

- Zostanę z tobą, Russ. Muszę to dokładnie zbadać.

- Wiedziałem, że to zrobisz - powiedział Russ.

Przez chwilę w oczach Manninga błysnął triumf.

- A kiedy skończymy, zdobędziemy coś, co złamie potęgę MSE. Zerwiemy z Układu Słonecznego ich mor-derczy uścisk. - Urwał i spojrzał na Page'a. - Dobry Boże, Russ - szepnął. - Zdajesz sobie sprawę, co zdobędziemy ?

- Chyba tak, Greg - odparł trzeźwo naukowiec. - Silniki zasilane energią materii. Energię tak taną, że nie nadążymy jej rozdawać. Więcej energii niż ktokolwiek może w ogóle potrzebować.

Rozdział trzeci

Russ nachylał się nad klawiaturą w sterowni *Komety*, wpatrując się w klawisze. Wprowadził już i przygotował równanie. Pozostało mu tylko nacisnąć klawisz, żeby przekonali się ponad wszelką wątpliwość, czy udało im się dotrzeć do potężnego serca energii materii czy też nie; czy mieli nareszcie w dłoniach klucz do uwolnienia mocy, która zapewniałaby całemu Układowi zapas energii.

Oderwał wzrok od klawiatury, wyjrzał przez okno obserwacyjne. Wątki błękitna nić ciągnęła się od statku w dal przez atrament kosmosu, niknąc w oddali w ciemności próżni.

W odległości stu tysięcy mil nić stykała się z powierzchnią stalowego łożyska kulkowego... drobiny w bezmiarze kosmosu.

Pomyślał o tym małym błękitnym promieniu. Do utrzymania skupionej, silnej wiązki o stałym nacisku na przestrzeni promienia stu tysięcy mil trzeba było ogromnej mocy. Odległość musiała jednak być tak wielka... a oni mieli moc. Z wnętrza statku dochodził jej głęboki pomruk, jedwabista gniewna pieśń stłumionych potężnych silników.

Usłyszał jak Harry Wilson przestępuje za nim niecierpliwie z nogi na nogę, poczuł gryzący dym płynący z papierosa.

- Możesz już nacisnąć ten klawisz, Russ - powiedział Manning opanowanym głosem. - Prędzej czy później musimy się tego dowiedzieć.

Russ zatrzymał palec w gotowości nad klawiszem. Jeśli wszystko zadziała, jak trzeba, kiedy naciśnie klawisz, w jednej chwili uwolni energię maleńkiego łożyska. Energię kawałka stali o wadze niecałej uncji. Po skupionej błękitnej wiązce przemknie niszczący impuls...

Opuścił gwałtownie palce.

Przestrzeń przed nimi zapłonęła. Przez chwilę wydawało się, że próżnię

wypełnił buchający wściekle ogień, sięgający głodnymi językami zimnego, błękitnego światła w stronę odległych planet. Płomień tak intensywny, że widziano go na satelitach Jowisza, w odległości trzystu milionów mil. Rozświetlił nocną stronę Ziemi, zasłaniając gwiazdy i Księżyc, każąc astronomom pędzić gorączkowo do teleskopów, zdobywając drukowane wielkimi literami nagłówki w nocnych wydaniach gazet.

Russ odwrócił się powoli i spojrzał na przyjaciela.

- Mamy to, Greg - powiedział. - Naprawdę to mamy. Przetestowaliśmy wszystkie formuły kontrolne. Wiemy, co możemy osiągnąć.

- Nie wiemy jeszcze wszystkiego - stwierdził Greg. - Wiemy tylko, że potrafimy sprawić, aby to działało, ale mam przeczucie, że dotknęliśmy tylko wierzchu możliwości.

Russ zapadł w fotel i rozejrzał się po pomieszczeniu. Wiedzieli, że za pomocą specjalnego aparatu zbiorczego potrafią wytworzyć prąd zmienny dowolnej wybranej częstotliwości. Potrafili uwalniać dowolną ilość energii opartej na promieniowaniu o dowolnej długości fali, od najdłuższych radiowych do nieprawdopodobnie twardych fal promieniowania kosmicznego. Energię elektryczną mogli łatwo i dokładnie mierzyć za pomocą zwykłych woltomierzy i amperomierzy. Ale promieniowanie to co innego. Kiedy przekraczało znane dotychczas granice, topiło po prostu każdy użyty do jego pomiaru przyrząd.

Wiedzieli jednak, jaką moc wytwarzali. W ułamku sekundy rozerwali wiązania energetyczne w maleńkim kawałku stali, a uwolniona energia zapłonęła przez chwilę mocniej niż Słońce.

- Greg - powiedział. - Nieczęsto można powiedzieć, że jakieś wydarzenie zapoczątkowało nową erę. Tym razem można: to era nieograniczonej energii. To mnie trochę przeraża.

Jeszcze do ostatniego stulecia głównymi źródłami mocy były węgiel, ropa i tlen, ale wraz z kurczeniem się zasobów węgla i ropy, ludzkość szukała innych źródeł. Powróciła do starego marzenia o wydobywaniu energii wprost

ze Słońca. W roku 2048 Patterson udoskonalił baterie świetlne. Następnie ogniwa energetyczne Alexandersona umożliwiły dostarczanie życiodajnej krwi energii na dalekie rubieże Układu, zaś na Merkurym, Wenus, i w mniejszym stopniu na Ziemi, powstały wielkie elektrownie pracujące na ogniwach, a kierowana geniuszem Spencera Chambersa Międzyplanetarna Spółka Energetyczna przejęła kontrolę nad rynkiem.

Baterie świetlne i ogniwa energetyczne dostarczyły impulsu handlowi międzyplanetarnemu i falom osadnictwa. Dopóki nie umożliwiono przechowywania energii Słońca, używania ich do napędu statków kosmicznych i przesyłania na zewnętrzne planety, statki były zasilane paliwem raketowym, a walczące o byt kolonie na planetach zewnętrznych toczyły gorzką walkę bez rezerw energii.

Na planetach zewnętrznych nie brakowało węgla i ropy, nie było tam jednak innego niezbędnego czynnika... tlenu. Przykładowo, węgiel na Marsie trzeba było spalać pod wytworzonym sztucznie ciśnieniem powietrza, jak w starym karburatorze. Efektem był brak wydajności. Spalano mnóstwo węgla, zyskując za mało energii.

Nawet baterie świetlne okazały się niewydajne, kiedy poczyniono próby użycia ich poza Ziemią. To była maksymalna odległość, w jakiej można było osiągnąć największą wydajność energii Słońca.

Russ pogrzebał w kieszeni przyblakłej, odrapanej skórzanej kurtki i wydobyl fajkę i kapciuch. Starannie ubił tytoń w główce.

- Trzy miesiące - powiedział. - Trzy miesiące cholernej pracy.

- No - zgodził się Wilson. - Napracowaliśmy się.

Wilson miał wymizerowaną twarz, przekrwione oczy.

Wypuścił nozdrzami dym.

- A może, kiedy wrócimy, zrobimy sobie małe wakacje? - zapytał.

Russ roześmiał się.

- W porządku, jeśli masz na to ochotę. Greg i ja będziemy pracować dalej.

- Nie możemy tracić czasu - powiedział Manning. - Spencer Chambers

może to zwęszyć. Poruszyłby piekło, żeby nas powstrzymać.

Wilson wypluł papierosa.

- Dlaczego nie opatentujecie tego odkrycia? To by was zabezpieczyło.

Russ uśmiechnął się szerokim, ale kwaśnym uśmiechem.

- To na nic - powiedział Greg. - Chambers osaczyłby nas prawną biurokracją. Równie dobrze moglibyśmy pójść do niego i oddać to jemu.

- No to wy pracujcie dalej - stwierdził Wilson. - Ja zrobię sobie urlop. Trzy cholerne miesiące to o wiele za długo jak na wycieczkę statkiem kosmicznym.

- Dla mnie to niezbyt długo - powiedział Greg zimnym i ostrym tonem.

Nie, pomyślał Russ, ten czas nie wydawał się nazbyt długi. Może i pracowali w niedogodnych godzinach, a praca była ciężka, ale nawet tego nie zauważył. Wykradali czas na sen i posiłki. Trzy miesiące pracowali w przestrzeni kosmicznej, nie odważywszy się przeprowadzić swoich eksperymentów na Ziemi... szczerze boląc się swojego odkrycia.

Zerknął na Manninga.

Te trzy miesiące nie zostawiły na nim śladu, żadnej wskazówki znużenia czy napięcia. Russ rozumiał teraz, w jaki sposób Manningowi udało się dokonać tego, co osiągnął. Zbudowany był ze stali i ognia. Nic się go nie imać.

- Wciąż mamy mnóstwo do zrobienia - powiedział Manning.

Russ oparł się w fotelu, pykając fajkę.

Tak, czekało ich mnóstwo pracy. Na przykład, problemy z przesyłem. Przesyłanie energii o mocy, jaką byli w stanie wytworzyć, wymagałoby sztab miedzi lub srebra grubości męskiego uda, a i tak napięcie wciąż mogłoby przeskoczyć bufor iskiernika szerokości dwóch stóp.

Najwyraźniej, małe urządzenie, jakie teraz mieli, nie było praktyczne. Bez względu na to, jak dobrze było izolowane, przy podobnej mocy nawet atmosfera nie byłaby skutecznym izolatorem. A gdyby spróbować przesłać energię za pomocą mechanicznych obrotów wału, to jaki wał byłby zdolny

przesyłać ją bezpiecznie w kontrolowany sposób?

- Cholera! - wybuchł Russ. - Wracajmy na Ziemię.

Harry Wilson obserwował, jak jakaś para wysiadła z powietrznej taksówki, weszła po szerokich schodach i przeszła przez magiczny portal Klubu Marsjańskiego. Wyobrażał sobie ten klub: uniżoność kierownika, egzotyczną atmosferę, wspaniałe zimne drinki podawane w barze. Tajemnicze napoje przyrządzone z zebranych w dżunglach Wenus składników, doprawione owocami z nawodnionych ogrodów Marsa.

Zaciągnął się papierosem i popłynął dalej przestronnym, napowietrzny chodnikiem. Pod nim i nad nim, i wszędzie wokół płynęło piękno i blask Nowego Jorku, jego wspaniałość i splendor. W uszach rozbrzmiewała mu pieśń miasta, narastający gwałtownie hałas, który był jego głosem.

Dwa tysiące stóp nad jego głową wznosiły się połyskujące w południowym słońcu olbrzymie wieże z lśniącego metalu, budowle noszące obce piętno innych światów.

Wilson odwrócił się, zapatrzył w Klub Marsjański. Żeby przejść przez te drzwi, spróbować podawanych drinków, oglądać widowiska, słuchać orkiestry, trzeba było pieniędzy.

Stał przez chwilę, wahając się, jakby próbował podjąć jakąś decyzję. Potem wyrzucił papierosa, odwrócił się na pięcie i podszedł różnym krokiem do automatycznej windy na niższe poziomy.

Na poziomie trzecim wszedł do automatycznej restauracji, usiadł przy stoliku i złożył u robokelnera zamówienie, wciskając pokryte kością słoniową guziki w jadłospisie.

Zjadł spokojnie, po czym palił wściekle, myśląc. Spojrzał na zegarek. Dochodziła druga. Podszedł do mechanicznej kasy, włożył metaliczny czek z odliczoną kwotą i otrzymał od stukającej, rzeżącej maszyny dysk, który pozwolił mu wyjść przez drzwi.

- Dziękujemy. Zapraszamy ponownie - zaśpiewała automatyczna kasa.

- Nie ma o czym mówić - warknął Wilson.

Na zewnątrz restauracji ruszył żwawym krokiem. Po dziesięciu przecznicach dotarł do budynku zajmującego całe cztery kwartały. Nad masywnym wejściem wisiała osadzona w berylowej stali mapa Układu Słonecznego, służąca jako zegar kosmiczny, śledzący ruchy planet toczących się długim łukiem wokół Słońca. Układ Słoneczny otaczały świecące, złote litery napisu:

MIĘDZYPLANETARNA SPÓŁKA ENERGETYCZNA.

To stąd Spencer Chambers rządził swoim zbudowanym na energii imperium.

Wilson wszedł do środka.

Rozdział czwarty

Nowa aparatura była gotowa. Maszyna prawie całkowicie wypełniała laboratorium olbrzymią, zwartą masą ciężkiej, solidnej metalowej konstrukcji, powiązanej układem dźwigarów. Miała wytrzymać uderzenie niewyobrażalnej mocy, nacisk nieznanymi czynnikami przestrzennymi.

Powoli, ostrożnie, Russell Page wprowadzał równanie, wciskając klawisze na panelu sterowania. Sprawdził je dwukrotnie, ssąc z namysłem fajkę.

Harry Wilson przyglądał mu się spod przymrużonych powiek.

- I co się teraz stanie? - zapytał.

- Poczekamy, zobaczymy - odpowiedział Russ. - Wiemy, czego byśmy chcieli i na co mamy nadzieję, ale nie mamy stuprocentowej pewności. Pracujemy w całkowicie nowych warunkach.

Gregory Manning, siedzący obok zarzuconego papierami stołu, powiedział powoli wpatrzony w olbrzymią maszynę:

- To po prostu musi nadawać się do napędu kosmicznego. Posiada wszystko, czego do tego trzeba. Nieograniczoną energię przy minimalnej ilości paliwa. Wydajność. Całkowitą niezależność od wszelkich warunków zewnętrznych, ponieważ tworzy własne środowisko.

Pokręcił powoli głową.

- Gdzieś jednak tkwi sekret - stwierdził. - Czuję, że zbliżamy się do niego.

Russ przeszedł od panelu sterowania do stołu, podniósł plik papierów i wertował je. Wybrał kilka kartek i potrząsał nimi w zaciśniętej pięści.

- Myślałem, że już to mam - powiedział. - Musiałem pomylić się w obliczeniach, pominać w równaniu jakiś czynnik.

- Będziesz je jeszcze odkrywał przez jakiś czas - przepowiedział Greg.

- Rozwiązaniem byłaby siła odpychania - powiedział gorzko Russ. - A Bóg wie, że mamy jej całe mnóstwo.

- Aż za wiele - zauważył Wilson, sącząc z nozdrzy dym.

- Nie za wiele - poprawił Greg. - Nie daje się skutecznie kontrolować. Wyciągasz pochopne wnioski, Wilson.

- Obliczenia nie wykazywały działania postępującego - powiedział Russ. - Wskazywały na odpychanie, przyciąganie ujemne, które można zwiększać, aż w godzinę wystrzeli statek poza Układ Słoneczny. Szybciej od światła. Nie wiemy tylko, o ile szybciej.

- Daj sobie z tym spokój - poradził Greg. - Na chwilę obecną to bezużyteczne. Odpychanie buduje się serią kolejnych, postępujących kroków o jednym stałym czynniku. To zupełnie nieprzydatne w podróżach kosmicznych. Wyobraź sobie próbę zastosowania tego na statku. Wystartowałbyś z ogromnym przeciążeniem, a kiedy przyspieszenie zniknęłoby, a ty otrząsałbyś się po pierwszym przeciążeniu, zaczęłoby się drugie, które rozsmarowałoby cię na ścianie. Nie wytrzymałoby tego nawet sam statek, nie wspominając już o ludzkim ciele.

- Może tym razem się uda - powiedział z nadzieją Wilson.

- Może - zgodził się Russ. - W każdym razie wypróbujemy równanie 578.

- Może zadziała - powiedział Greg. - To nowe podejście do kąta grawitacji. Równanie wyjaśnia przesunięcie linii grawitacyjnych, zmiany i odkształcenia ich kierunku. Zagnij linię grawitacji, a otrzymasz idealny napęd kosmiczny, równie dobry jak antygravitacja, a może i lepszy, bo łatwiej go kontrolować. Umożliwiłby delikatniejsze, precyzyjne sterowanie.

Russ odłożył papiery, zapalił fajkę i podszedł do aparatury.

- No to zaczynamy - powiedział.

Sięgnął do dźwigni zasilania i przesunął ją. Zbudowany wewnątrz aparatury silnik na energię materii przebudził się z rykiem, posyłając masywnymi przewodami strumień energii. W pomieszczeniu narastał grzmot. Laboratorium wydawało się drzeć pod jego uderzeniem .

Obserwujący czujnie Wilson wydał krótki, zdławiony okrzyk. Ogarnęły go zawroty głowy. Ściany wydawały się zapadać. Pomieszczenie i maszyna

rozpląnęły się. Stojący przy panelu sterowania Russ wydawał się potwornie zniekształcony. Manning stał się karykaturą człowieka, dziwaczną postacią, która poruszała się i gestykulowała w oszalałym laboratorium.

Wilson walczył z zawrotami głowy. Spróbował zrobić krok do przodu. Wydawało się, że podłoga wyskoczyła na spotkanie jego wyciągniętej stopy, wytrącając go z równowagi. Papieros wypadł mu z ust, potoczył się po podłodze.

Russ krzyczał coś, ale słowa były zniekształcone, w jednej chwili przebijały się donośnie przez hałas aparatury, to znów stawały się ledwie szeptem. Nie dało się nic zrozumieć.

W powietrzu rozległ się osobliwy gwizd, dźwięk, jakiego nigdy nie słyszał. Przeszywający uszy udręką wysoki, cienki skrzek, który wydawał się dochodzić z daleka.

Zdjęty ogromnymi mdłościami, z zawrotami głowy, Wilson przeczołgał się przez podłogę, uchylił drzwi laboratorium i wytoczył się na zewnątrz. Przeszedł ukosem przez trawnik i dysząc, uchwycił się kurczowo zegara słonecznego.

Obejrzał się na laboratorium i wstrzymał oddech w niedowierzaniu. Wszystkie drzewa pochylały się w stronę budynku, jakby przygięte potężnym wiatrem. Z napiętymi gałęziami i wyprostowanymi sztywno liśćmi, każde drzewo nachylało się w stronę laboratorium. *Ale nie było wiatru.*

Wtedy zauważył coś jeszcze. Drzewa pochylały się w stronę budynku i grzmiącej, wyjącej, zawodzącej maszyny bez względu na to, gdzie stały, i w jakim były położeniu w stosunku do laboratorium.

Wewnątrz budynku ze stołu spadła pusta butelka i roztrzaskała się na tysiąc drobin. Srebrzysty, chwilowy odgłos tłuczonego szkła zabrzmiał słabo na tle potężnego, wstrząsającego ścianami dudnienia mocy.

Manning przeczołgał się po podłodze do Russa. Russ zaryczał mu do ucha:

- To kontroluje siłę ciężenia! Skupia linie grawitacji!

Papiery na biurku zaczęły ślizgać się, opadając na podłogę, zatańczyły w powietrzu jak szalony derwisz. Ciecze w probówkach, zamiast spoczywać równolegle do podłoża, wspinały się na szklane ścianki. Obok nich przemknęło w stronę drzwi krzesło, podskakując szaleńczo i uderzając o inne przedmioty.

Russ przesunął szarpnięciem przełącznik zasilania w pozycję zerową. Szum ucichł. Ciecze opadły z powrotem w naturalne położenie, krzesło przewróciło się i leżało nieruchomo, papiery opadły delikatnie w dół, trzeszcząc lekko.

Obaj mężczyźni spoglądali po sobie poprzez dzielące ich kilka stóp podłogi. Russ otarł z czoła krople potu rękawem koszuli. Ssał nadal wygasłą fajkę.

- Odkryliśmy coś lepszego od antygravitacji, Greg! - powiedział z przejęciem Russ. - Mamy coś, co można by nazwać grawitacją dodatnią... grawitacją, którą można sterować. Twój dziadek zaprzeczył sile ciężenia. Przebilismy jego dokonanie.

Greg wskazał gestem maszynę.

- Stworzyłeś ośrodek przyciągania. Co jeszcze?

- Właściwie sam ośrodek nie wytwarza przyciągania. W grę wchodzi tu czwarty wymiar. Stworzyliśmy rodzaj czterowymiarowej soczewki, skupiającej linie wszelkich sił przyciągania. Koncentracja w czwartym wymiarze uwalnia tę siłę w przestrzeni trójwymiarowej, ale możemy to ograniczyć, stosując zwierciadła naszego pola antyentropii. Możemy ustawić to w ten sposób, że siła zostanie uwolniona tylko w jednym wymiarze.

Greg zastanawiał się przez chwilę.

- Za pomocą szeregu soczewek możemy prowadzić statek - stwierdził w końcu. - Ale ważne jest naprawdę to, że pole skupia istniejące już siły przyciągania, które występują w całej przestrzeni. Linie grawitacji są wszędzie, a my możemy je skupiać w dowolnym wybranym kierunku. W rzeczywistości, opadamy nie w stronę ośrodka skupiającego linie, a w stronę

ciała, od którego pochodzi pierwotna siła ciężenia.

Russ przytaknął.

- To znaczy, że bezpośrednio przed statkiem możemy stworzyć pole, w które przy poruszającym się naprzód ośrodku skupienia statek będzie stałe opadał. Proporcjonalnie do zastosowanego napięcia, pole będzie miało skłonność do załamывania się, a duży statek, zwłaszcza przy przyspieszaniu, powiększałby je i otwierał. Ale można zamknąć je szczelnie, dostarczając energii, a tej mamy mnóstwo... więcej niż byśmy kiedykolwiek potrzebowali. Dostarczamy energię, ale to tylko drobna część całości. Punktu oparcia, dzięki któremu się poruszamy, zapewnia ciało emitujące siłę ciężenia.

- Ten napęd działałby poza układem planetarnym -stwierdził Greg. - Działałby tak samo w całym kosmosie, ponieważ całą przestrzeń wypełniają linie grawitacyjne. Do napędu statków moglibyśmy używać ośrodków grawitacji odległych o wiele lat świetlnych.

Przez chwilę w oczach zalśnił mu na wpół szalony błysk.

- Russ - powiedział. - Nareszcie zaprzęgniemy do pracy pola kosmiczne.

Podszedł do krzesła, podniósł je i usiadł na nim.

- Kiedy tylko zbadamy sposób działania tego pola skupiającego i kontrolującego grawitację, zaczniemy budowę statku - stwierdził. - Zbudujemy największy, najszybszy i najpotężniejszy statek jaki znał Układ Słoneczny Russ!

- Cholera - powiedział Russ. - Znowu się ześliznęła. Wpatrywał się w nakrętkę winowajczynię.

- Tym razem założę podkładkę zębatą.

Wilson podszedł do tablicy rozdzielczej. Ze swojego stanowiska na aparaturze, Russ odesłał go gestem.

- Mniejsza z rozładowaniem pola - powiedział. -W jakiś sposób to obejdę.

Wilson spoglądał na niego z ukosa.

- Ten ząb mnie zabije.

- Wciąż cię boli? - zapytał Russ.

- Zeszłej nocy nic zmrużyłem oka.

- Lepiej pojedź do Frisco i go wyrwij - zaproponował naukowiec. - Nie mogę pozwolić sobie na twoją niedyspozycję .

- No, jasne - zgodził się Wilson. - Może tak właśnie zrobię. Mamy mnóstwo roboty.

Russ wyciągnął rękę i zacisnął klucz na nakrętce, odkręcił ją szybko i założył podkładkę. Zakręcił nakrętkę z powrotem brutalnym ruchem. Klucz utknął.

Russ zaklął bezgłośnie, zaciskając zęby na ustniku fajki. Szarpnął wściekle za klucz. Wyśliznął mu się z dłoni, zawisł przez chwilę na nakrętce, po czym zanurkował w dół, spadając prosto w środek nowego stworzonego przez nich pola siłowego.

Russ zamarł i przyglądał się temu, czując jak serce podchodzi mu do gardła, a myśli pędzą szaleńczo przez głowę. Momentalnie, obserwując spadający klucz, przypomniał sobie, że nie wiedzieli o tym polu niczego. Wiedzieli tylko, że każda wprowadzona do niego materia nabierała nagłe przyspieszenia w wymiarze znanym jako czas, przy zwykłej stałej trwania zredukowanej do zera.

Kiedy klucz uderzy w pole, przestanie istnieć! Mogło jednak stać się też coś innego, zupełnie nieprzewidywalnego.

Klucz opadł tylko o kilka stóp, ale przyglądającemu się nieruchomo z fascynacją Russowi wydawało się to zabierać długie chwile.

Zobaczył, jak klucz uderzył w wyznaczającą granice pola mglistą poświatę i popłynął w dół, jakby tracąc prędkość w jakimś gęstym ośrodku ruchu.

W tej samej chwili mglista poświata przybrała tysiąckrotnie na sile, przeszła w oślepiający wybuch słońca! Russ pochylił głowę, osłaniając oczy przed przerażającym uderzeniem światła. Wydawało się, że nie tyle w powietrzu, co w całym kosmosie odbiło się echem rozzwierające, przesywające dudnienie... a pole i klucz zniknęły!

Minęła chwila, potem kolejna, i nagle rozległ się ciężki, mocny brzęk uderzającego o coś metalu. Tym razem dźwięk nie dobiegał z kosmosu, ale z domu, jakby piętro wyżej ktoś upuścił narzędzie na podłogę.

Russ odwrócił się i wpatrzył w Wilsona. Wilson z otwartymi ustami, z których zwisał żarzący się papieros, oddał jego spojrzenie.

- Greg! - zawołał Russ, rozdzierając krzykiem ciszę laboratorium.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i do głównego pomieszczenia laboratorium wszedł Manning, z notesem do obliczeń w jednej dłoni i ołówkiem w drugiej.

- Co się stało? - zapytał.

- Musimy znaleźć mój klucz!

- Twój klucz? - Greg był zbity z tropu. - Nie możesz wziąć innego?

- Upuściłem go do wewnątrz pola. Jego wymiar czasowy został zredukowany do zera. Stał się „kluczem błyskawicznym”.

- Nic nowego - powiedział niewzruszony Greg.

- Ależ tak - upierał się przy swoim Russ. - Widzisz, pole załamało się. Może klucz był dla niego za duży.

A kiedy pole się załamało, klucz zyskał nowy wymiar w czasie. Słyszałem go. Musimy go znaleźć.

Cała trójka popędziła z tupotem schodami na górę do pomieszczenia, w którym Russ usłyszał łupnięcie. Na podłodze nic nie było. Przeszukali cały pokój, potem pozostałe. Klucza nie było.

Po godzinie Greg wrócił do głównego laboratorium i przyniósł stamtąd przenośny fluoroskop.

- Może to zadziała - oznajmił posepnym głosem. Zadziałało. Znaleźli klucz *w przestrzeni między ścianami!*

Russ wpatrywał się w cień na płycie fluoroskopu. Niezaprzeczalnie był to cień klucza.

- Czwarty wymiar - powiedział. - Przeniósł się w czasie. Greg miał napięte policzki, a w oczach płonął mu dawny płomień przejęcia, poza tym jednak

jego twarz była spokojną, niemal straszną maską, która stawiała już czoło tysiācu niebezpieczeŃstw.

- Czasie i energii - poprawił.

- O ile zdołamy ją kontrolować - powiedział Ru-ss. - Nie martw się. Zdołamy. A kiedy to się nam uda, będzie to nasze największe odkrycie.

Wilson oblizał wargi, wyjął z kieszeni papierosa. - Jeśli nie macie nic przeciwko, polecę dziś wieczór do Frisco - powiedział. - Coraz gorzej z tym moim zębem.

- Jasne, nie można chodzić z bólem zęba - zgodził się Russ, myśląc nadal o kluczu.

- Mogę wziąć twój statek? - zapytał Wilson.

- Jasne - powiedział Russ.

Z powrotem w laboratorium odtworzyli pole i spu-szczali do niego małe łożyska kulkowe. Łożyska znikaly. Znajdowali je wszędzie - w ścianach, w stołach, w podłodze. Niektóre, wciąż w swoim nowym czasowym wymiarze, tkwiły zawieszony w powietrzu, niewidzialne, nieuchwytny, ale obecne.

Godziny mijały jedna po drugiej, a ilość danych rosła. Maszyny obliczeniowe terkotały, zgrzytały i stukały. Wilson poleciał do San Francisco z bólem zęba. Pozostała dwójka pracowała dalej. Przed świtem wiedzieli już, z czym mieli do czynienia. Z chaosu szczęśliwych przypadków wyłaniały się pewne uporządkowane reguły, formuły zachowania, ważne równania.

Następnego dnia wypróbowali cięższe, bardziej skomplikowane przedmioty i dowiedzieli się jeszcze więcej.

Przekazany telefonicznie z odległego o czterdzieści mil najbliższego portu kosmicznego radiogram powiadomił ich, że Wilson nie wróci przez parę dni. Ból zęba był gorszy niż myślał, wymagał operacji i leczenia szczęki.

- Cholera - powiedział Russ. - Akurat kiedy naprawdę by się przydał.

Ponieważ Wilson zniknął, musieli zająć się urządzeniem sterującym we dwójkę, mozoląc się przy tym i klnąc. Nareszcie skończyli jednak.

Doszczętnie wyczerpani, rozwaleni w fotelach, spoglądali z dumą na

urządzenie.

- To pozwoli nam chwycić każdy przedmiot i przenieść go gdziekolwiek zechcemy - powiedział Russ. -A to nie wszystko, możemy przechwycić każdy przedmiot w dowolnej odległości i ściągnąć go tu do nas.

- Sprzęt marzeń dla leniwego włamywacza - zauważył kwaśno Greg.

Znużeni, przełknęli kanapki i parzącą kawę i zataczając się ze zmęczenia, poszli spać.

Rekolekcje były w szczytowym punkcie. Ewangelista był w doskonałej formie. Ławka dla grzeszników była zatłoczona. Nagle, kiedy ewangelista ucichł na chwilę przed objaśnieniem ważnego punktu, rozległa się muzyka. W powietrzu. Muzyka dochodząca z nieba. Łagodny, niebiański hymn, jakby na jasnym niebie zaczął śpiewać nagle chór aniołów.

Ewangelista zamarł, jedną ręką wskazując w górę, gotów zamieść w dół palcem wskazującym, żeby podkreślić przesłanie. Klęczący przy ławie grzesznicy skamienieli. Zgromadzenie zaniemówiło ze zdziwienia.

Synkopowany hymn brzmiał dalej na tle dźwięcznych niebiańskich nut. Czysty głos chóru wzbił się wysoko do nuty dźwięcznej jak dzwon.

- Słuchajcie! - zachrypiał ewangelista. - Oto cud! Śpiewają dla nas anioły! Uklęknijmy! Uklęknijmy i módlmy się!

Wszyscy opadli na kolana.

Andy McIntyre znowu był pijany. W bezlitosnym żarze późnego poranka zataczał się, wracając do domu z partyjki pokera na tyłach sklepu z uprzężami Steve'a Abrama. Światło odsłaniało go przed pogardliwymi spojrzeniami całej wsi.

Na rogu Wiązowej i Trzeciej wpadł na klon. Cofnął się niepewnie, zamierzając obejść go raz jeszcze. Nagle drzewo przemówiło do niego:

- Alkohol to przekleństwo ludzkości. Zmienia ludzi w zwierzęta, odbiera im rozum, skraca życie...

Andy gapił się, nie mogąc uwierzyć w to, co właśnie słyszał. Nie miał wątpliwości, że drzewo zwracało się do niego osobiście.

Drzewo ciągnęło dalej:

- ...zabiera chleb od ust kobietom i dzieciom, zachęca do przestępstw, osłabia moralny kręgosłup narodu.

- Przestań! - wrzasnął Andy. - Przestań już, mówię ci! Drzewo przestało mówić. Słyszał tylko szept wiatru wśród jego zabarwionych jesienią liści.

Puściwszy się nagle biegiem, Andy wpadł za róg i ruszył w stronę domu.

- O rany! - powiedział do siebie. - Kiedy człowiek zaczyna spotykać gadające drzewa, to czas odstawić butelkę!

Tego samego niedzielnego ranka, w innym mieście odległym o pięćdziesiąt mil od tego, w którym Andy McIntyre spotkał gadające drzewo, zdarzył się kolejny cud.

Dziesiątki ludzi usłyszały jak przemówił pomnik żołnierza na dziedzińcu budynku sądu. Pomnik nie ożył. Stał jak zawsze, solidny kawał złotego brązu, pod wpływem pogody pokrytego tu i ówdzie plamami czerni i zieleni. Z jego warg padały jednak słowa... słowa, które wypaliły znamię w duszach słuchaczy. Słowa wzywające ich do obrony zasad, za które tylu zginęło, do pochwycenia i podniesienia pochodni wolności i demokracji.

Złowieszczo gorzkim głosem pomnik nazwał Spencera Chambersa największym zagrożeniem tej wolności i swobód. Ponieważ, powiedział, Spencer Chambers i Międzyplanetarna Spółka Energetyczna toczyli wojnę ekonomiczną - bezkrwawą, ale równie prawdziwą, jakby strzelały działa i wybuchały bomby.

Pomnik przemawiał przez całe pięć minut, a rosnący z każdą chwilą tłum stał osłupiały.

Potem na dziedzińcu zapadła cisza. Pomnik stał nieruchomo jak zawsze, spoglądając spod brzydkiego hełmu nieznanymi przemijania czasu oczyma, ściskając w dłoniach karabin z bagnetem. Biało błękitny gołąb sfrunął łagodnie, usiadł na bagnecie, przyjrzał się tłumowi, po czym odleciał na wieżę budynku sądu.

W laboratorium, Russ spojrział na Grega.

- Ta sztuczka z radiem poddała mi pewien pomysł powiedział. - Jeśli nie psując jego działania możemy zamontować radio w pomnikach i drzewach, dlaczego nie moglibyśmy zrobić tego samego z nadajnikiem telewizyjnym ?

Greg poruszył się.

- Pomyśl o możliwościach, jakie to by dało! - wypalił.

W godzinę umieścili w polu kompletny telewizyjny zestaw nadawczy, a w laboratorium ustawili odbiornik.

Przesunęli krzesła przed ekran i usiedli. Russ wyciągnął rękę i pociągnął sterujący polem przełącznik. Ekran ożył, ale widać było tylko rozmazaną szarość.

- Przemieszcza się za szybko - powiedział Greg. -Zwolnij.

Russ przekręcił przełącznik z powrotem.

- Przy ustawieniu na pełną moc, przekaz odbywa się niemal równocześnie. Nadajnik przemieszcza się w czasie, a każda prędkość wolniejsza od równoczesnej jest modyfikacją pola siłowego.

Przez ekran przepływała teraz mila po mili panorama gór, pokrytych śniegiem szczytów i płonących płomieniem jesiennego listowia dolin. Góry zniknęły. Zobaczyli pustynię, a potem miasto. Russ opuścił nadajnik niżej, na ulicę. Przez pół godziny siedzieli wygodnie na krzesłach, obserwując spacerujących kobiety i mężczyzn, byli świadkami jednej bójki, wędrowali powoli ulicami, zaglądając przez okna domów i oglądając wystawy sklepowe w dzielnicy handlowej.

- Jedno tylko nie gra - powiedział Greg. - Wszystko widzimy, ale nic nie słyszymy.

- To da się zrobić - powiedział Russ.

Podniósł nadajnik z ulicy i ściągnął go z powrotem do laboratorium przez pustynię i góry.

- Mamy już dwa praktyczne zastosowania pola - powiedział Greg. - Napęd kosmiczny i szpiegowanie za pomocą telewizji. Nie wiem, co lepsze. Zdajesz sobie sprawę, że dzięki tej sztuczce z telewizją nic się przed nami nie ukryje?

- Jestem przekonany, że możemy wysłać ten nadajnik na Marsa, Merkurego czy gdziekolwiek zechcemy. Nie wydaje się, żeby istniały jakieś szczególne ograniczenia. Daje się idealnie prowadzić. Równie łatwo przemieścić go o ułamek cala co o sto mil. I jest szybki. Właściwie działa równocześnie do polecenia. Nie całkiem, bo nawet przy naszym małym przyspieszeniu, występuje pewne opóźnienie.

Wieczorem założyli już w nadajniku aparaturę radiową, i podłączyli do ekranu urządzenie przekazujące dźwięk.

- Wypróbujmy go w praktyce - zaproponował Greg. - W teatrze Nowy Merkury w Nowym Jorku wystawiają spektakl, który chciałem zobaczyć. Zróbmy sobie przerwę i obejrzymy go.

- Naprawdę niezły pomysł - powiedział Russ. - Koniki żądają majątku za bilety, a nas wejście nie będzie kosztowało ani centa!

Rozdział piąty

Sosnowe korzenie płonęły jasno na kominku, trzaskając i skwiercząc, kiedy zapalała się żywica. Greg Manning, zatopiony w fotelu, wyciągnął swoje długie nogi w stronę ognia i uniósł szklanę, wpatrując się przez jej zawartość w płomienie spod przymrużonych powiek.

- Coś mnie martwi - powiedział. - Nie mówiłem ci o tym, ponieważ uznałem, że dotąd nie było to tak poważne. Może i nadal takie nie jest, ale to dziwne.

- Co takiego? - zapytał Russ.

- Giełda - odparł Greg. - Na rynku dzieje się coś diabelnie dziwnego. Przez ostatnie dwa tygodnie straciłem jakiś miliard dolarów.

- Miliard dolarów? - Russ wstrzymał oddech.

Greg okręcił whisky w szklance.

- Nie ma się czego bać. Strata istnieje tylko na papierze. Spadły moje akcje. Większość o połowę, niektóre nawet mocniej. Akcje spółki irygacji Marsa spadły do 75. Zapłaciłem za nie 185, a warte są 200.

- Chcesz powiedzieć, że coś się dzieje z rynkiem?

- Nie z rynkiem. Nie martwiłbym się, gdyby chodziło o rynek. Widziałem już hossy i bessy. To nie jest powód do zmartwienia. Ale poza małą bessą, prz-ez ostatnie dwa tygodnie rynek zachowywał się normalnie. Wygląda to prawie, jakby ktoś chciał się dobrać mi do skóry.

- Kto by tego chciał i dlaczego?

- Chciałbym to wiedzieć - westchnął Greg. - *Oczywiście*, w rzeczywistości nie straciłem ani centa. Moje akcje nie mogą długo zniżkować. Rzecz w tym, że w tej chwili nie zdołam ich sprzedać nawet po cenie kupna. Sprzedając, straciłbym ten miliard. Ale jak długo nie muszę tego robić, strata istnieje wyłącznie na papierze.

Sącył whisky, wpatrując się w ogień.

- Jeśli nie musisz sprzedawać, to o co się martwisz? - zapytał Russ.

- Parę spraw. Zastawiłem akcje jako dodatkowe zabezpieczenie, żeby dostać gotówkę na budowę statku kosmicznego. Przy obecnych cenach, będzie to wymagało więcej udziałów niż myślałem. Jeśli ceny nadal będą spadały, większość moich akcji zostanie związana w budowie tego statku. Może nawet będę zmuszony pozbyć się części, a to oznaczałoby realną stratę.

Pochylił się w fotelu, spojrzął Russowi w oczy.

- Nie podoba mi się też fakt, że ktoś obrał mnie za cel - powiedział ponurym tonem. - Zupełnie jakbym miał się stać finansowym przykładem.

- Wygląda zaś, jakby ktoś rzeczywiście to zrobił - zgodził się Russ.

Greg oparł się znowu w fotelu, opróżnił szklanekę i odstawił ją.

- Z całą pewnością - powiedział.

Widoczny przez okno obok kominka jesienny księżyc w pełni, na zewnątrz był srebrną tarczą na aksamitnym niebie. W sosnach i pod okapem budynku zawodził samotny wiatr.

- Dostałem wczoraj raport z Belgii - powiedział Greg.

- Praca nad statkiem posuwa się do przodu. To będzie największa jednostka w znanym wszechświecie.

- Największa i najbardziej potężna - powiedział Russ, a Greg przytaknął w cichej zgodzie.

Sam statek budowany był w wielkich Stocznich Kosmicznych w Belgii, ale podzespoły: przyrządy, silniki, wszelkiego rodzaju urządzenia produkowały inne zakłady, rozrzucone po całym świecie. Ktoś próbujący dociec, jakiego rodzaju jednostką miał być ukończony statek, natrudziłby się niemało, próbując zebrać właściwe informacje. Oczywiście, o to właśnie im chodziło. Tym kimś zaś, przed którym się strzegli, był Spencer Chambers.

Potrzebujemy lepszego zestawu telewizyjnego – powiedział Russ. - Ten, który mamy, jest niezły, ale potrzebujemy najlepszego, jaki istnieje. Ciekawe, czy Wilson mógłby kupić go nam we Frisco i ściągnąć tutaj.

- Nie widzę żadnych przeciwwskazań - powiedział Greg. - Wyślij mu radiogram.

Russ podszedł do telefonu, zadzwonił do portu kosmicznego i podyktował wiadomość.

- Zawsze zatrzymuje się w hotelu „Greater Martian” powiedział do Grega.
- Tam go pewnie złapiemy.

Dwie godziny później zadzwonił telefon. Dzwonili z portu kosmicznego.

- Nie możemy doręczyć pańskiej wiadomości dla Wilsona - powiedział głos operatora. - Nie ma go w „Grener Martian”. W recepcji powiedziano nam, że zeszłej nocy wyjechał do Nowego Jorku.

- Zostawił adres do korespondencji? - zapytał Russ.

- Najwyraźniej nie.

Russ odłożył słuchawkę, marszcząc brwi.

- Wilson jest w Nowym Jorku.

Greg podniósł wzrok znad arkusza obliczeń.

- Nowym Jorku, co? - powiedział, po czym wrócił do pracy. Chwilę później wyprostował się znowu. - A co Wilson miałby robić w Nowym Jorku?

- Ciekawe... - Russ urwał i pokręcił głową.

- Dokładnie - powiedział Greg. Spojrzał za okno, myśląc, napinając mięśnie w policzkach. - Myślimy o tym samym, Russ.

- Nie podoba mi się ta myśl - powiedział spokojnie Russ. - Nie lubię tak o kimś myśleć.

- Istnieje sposób, żeby się przekonać - stwierdził Greg. Podniósł się z krzesła, podszedł do tablicy rozdzielczej nadajnika telewizyjnego i pstryknął przełącznikiem. Russ usiadł obok niego. Kiedy nadajnik wystrzelił raptownie przed siebie, na ekranie zatańczyły dziwacznie góry, po czym ujrzeli czerwono-żółtą pustynię. Kiedy nadajnik pokonywał krzywiznę powierzchni Ziemi, zanurzając się w glebie, ekran pokrył się czernią. Czerni zniknęła, a na ekranie pojawiły się widziane z góry pola i farmy, zielonobrazowa szacho-

wnica poprzecinana drobnymi białymi liniami dróg.

Na ekranie pojawił się Nowy Jork. Greg poruszył sterami i miasto ruszyło im na spotkanie, ciskając w nich włócznie wieżowców. Nadajnik zanurzył się w kanionach dzielnicy finansowej z jej wyniosłymi budynkami, zamykającymi między sobą ryczący ruch uliczny.

Z poważną miną, Greg prowadził pewnie dziwną maszynę przez Nowy Jork, przez budynki, lśniące samoloty, przez ludzi. Nadajnik mknął jak strzała do celu, a kiedy Greg znowu przesunął przełącznik, na ekranie pojawił się budynek pokrywający cztery kwartały. Nad wejściem wisiała słynna mapa Układu Słonecznego okolona połyskującymi złotymi literami: MIĘDZYPLANETARNA SPÓŁKA ENERGETYCZNA.

- Teraz się przekonamy - powiedział Greg.

Kiedy nadajnik zaczął się poruszać, usłyszał świst powietrza w nozdrzach Russa i zobaczył, że ścisnął on mocniej oparcie krzesła.

Kiedy zaczął przemieszczać nadajnik przez kamień i stal, na ekranie pojawiło się wnętrze budynku. Mijał biura, korytarze i widziane przelotnie stalowe przepierzenia, aż dotarł do drzwi oznaczonych: Spencer Chambers, Prezes.

Greg przekręcił lekko stery i nadajnik przeszedł przez drzwi, prosto do biura Spencera Chambersa.

W pomieszczeniu znajdowało się czterech ludzi: sam Chambers, naukowiec Craven, rzecznik prasowy MSE Arnold Grant, oraz Harry Wilson!

Z ekranu doszedł ich histeryczny, podszyty przerażeniem głos Wilsona.

- Powiedziałem wszystko, co wiem. Jestem mechanikiem, nie naukowcem. Powiedziałem, co robią. Nie potrafię powiedzieć, w jaki sposób.

Arnold Grant pochylił się w fotelu do przodu z twarzą wykrzywioną wściekłością.

- Mieli jakieś plany, prawda? Równania, wzory? -dopytywał. - Dlaczego nie przywiozłeś nam choć kilku?

Spencer Chambers uniósł dłoń, uspokoił Granta gestem.

- Najwyraźniej, ten człowiek powiedział nam wszystko, co wie. Wygląda na to, że jest już niepotrzebny.

- Kazałeś mu wrócić i przekonać się, czy nie uda mu się odkryć czegoś jeszcze, prawda? - zapytał Gra-nt.

- Zgadza się - odpowiedział Chambers. - Wygląda jednak na to, że mu się nie udało.

- Próbowałem - bronił się Włson. Na czoło wystąpił mu pot. Obwisły w ustach papieros zgasł. - Któryś z nich ciągle był w pobliżu. Nie mogłem w ogóle dobrać się do papierów. Zadawałem pytania, ale byli zbyt zajęci, żeby odpowiedzieć. A nie mogłem zadawać ich zbyt wiele, żeby nie zaczęli mnie podejrzewać.

- No tak, do tego nie mogłeś dopuścić - zauważył Craven, drwiąc otwarcie.

W laboratorium, Russ uderzył w oparcie krzesła zaciśniętą pięścią.

- Ten szczur nas zdradził!

Greg nie powiedział nic, ale twarz miał jak z kamienia, a oczy twarde jak kryształ.

Na ekranie Chambers rozmawiał z Wilsonem.

- Jak sądzisz, udałoby ci się dowiedzieć czegoś, gdybyś tam wrócił?

Wilson wiał się w fotelu.

- Wolałbym nie - jego głos przypominał skomlenie. - Obawiam się, że coś podejrzewają. Boję się pomyśleć, co by mi zrobili, gdyby się dowiedzieli.

- To sumienie - sapnął Russ w laboratorium. - Wcale go nie podejrzewałem.

- Ma rację co do jednego - powiedział Greg. - Lepiej, żeby nie wracał.

Znowu odezwał się Chambers:

- Oczywiście, zdajesz sobie, że nie byłeś zbyt pomocny. Ostrzegłeś nas tylko, że trwają prace nad nowym sposobem wytwarzania energii. Zaalarmowałeś, ale poza tym, nie wiemy o wiele więcej niż przedtem.

Wilson nastroszył się, jak osaczone tchórzliwe zwierzę.

- Powiedziałem panu, co robią. Teraz może się pan na to przygotować. Nie moja wina, że nie udało mi się dowiedzieć, jak to działa.

- Słuchaj no - powiedział Chambers. - Zawarłem z tobą umowę, a ja dotrzymuję umów. Kiedy przyszedłeś tu po raz pierwszy, powiedziałem, że za przekazane mi informacje zapłacę ci dwadzieścia tysięcy dolarów. Powiedziałem też, że zapłacę dodatkowo za wszelkie dalsze informacje. Obiecałem też pracę w firmie.

Wilson oblizał wargi, obserwując finansistę.

- Zgadza się - powiedział.

Chambers wyciągnął rękę, przyciągnął do siebie książeczkę czekową i podniósł pióro ze stojaka.

- Za ostrzeżenie zapłacę ci te dwadzieścia tysięcy i ani centa więcej, ponieważ nie dostarczyłeś żadnych innych informacji.

Wilson zerwał się z krzesła, zaczął protestować.

- Siadaj - powiedział Chambers zimnym tonem.

- Ale praca! Obiecał mi pan pracę!

Chambers pokręcił głową.

- Nie chciałbym, żeby ktoś taki pracował dla mnie. Skoro już kogoś zdradziłeś, mógłbyś zdradzić i mnie.

- Ale... ale... - Wilson zaczął protestować, po czym usiadł, z twarzą wykrzywioną w wyrazie bliskim przerażenia.

Chambers wyrwał czek z książeczki i machał nim powoli w powietrzu. Potem wstał i podał Wilsonowi, który odebrał czek drżącą dłonią.

- A teraz żegnam, panie Wilson - powiedział Chambers.

Wilson stał przez chwilę niepewnie, jakby zamierzał coś powiedzieć, w końcu jednak odwrócił się bez słowa i wyszedł.

W laboratorium Russ i Greg spojrzeli po sobie.

- Dwadzieścia tysięcy - powiedział Greg. - Przecież to było warte miliony.

- Ba, całego majątku Chambersa, ponieważ to właśnie go zniszczy - powiedział Russ.

Ich uwagę znowu przyciągnął ekran.

Pochyliwszy się nad biurkiem, Chambers zwrócił się do pozostałej dwójki.

- Co teraz zrobimy, panowie? - zapytał.

Craven wzruszył ramionami. Schowane za grubymi soczewkami oczy spoglądały z gniewną dezorientacją.

- Nie mamy na czym się oprzeć. Wilson nic nie powiedział. Nie ma dość rozumu, żeby pojąć choćby zasadnicze podstawy tego odkrycia.

Chambers zgodził się.

- Znał świetnie mechaniczną aparaturę, ale to wszystko.

- Odtworzyłem aparaturę - powiedział Craven. - Okazała się zadziwiająco prosta. Niemal za prosta, żeby robić to, o czym opowiadał Wilson. Narysował nam plany, na tyle jasne, że łatwo było ją zduplikować. Sprawdził maszynę osobiście i twierdzi, że Page i Manning mają identyczną. Istnieją jednak dziesiątki tysięcy możliwości połączeń i ustawień tablicy rozdzielczej. To zbyt wiele, żeby wypróbować wszystkie w nadziei na przypadkowe trafienie na właściwą odpowiedź. Widzi pan, zadziałać może drobna zmiana któregokolwiek z setek ustawień... tylko które z nich trzeba wybrać? Zanim zrobimy jakiś ruch, musimy zdobyć wzory, równania.

- Wydawał się pamiętać to i owo, jakieś zasady i wzory - powiedział z nadzieją Grant.

Craven machnął gniewnie obiema dłońmi.

- Na nic - wybuchł. - To, co osiągnęli Page i Manning tak dalece wyprzedza wszystko, o czym dotychczas choćby pomyślano, że działamy zupełnie po oma-cku.

Wygląda na to, że badają pola oddziaływań kosmicznych, a w tej dziedzinie nasza wiedza jest znikoma. Po prostu nie mamy od czego zacząć.

- Żadnych szans? - zapytał Chambers.

Craven pokręcił powoli głową.

- Mógłby pan chociaż spróbować - rzucił Grant.

- Chwileczkę - przerwał mu Chambers. - Wydaje się pan zapominać, że doktor Craven jest obecnie jednym z najlepszych naukowców na świecie. Ufam mu.

Craven uśmiechnął się.

- Nie zdziałam nic z odkryciem Page'a i Manninga, ale mogę spróbować czegoś samemu.

- Proszę więc działać - nalegał Chambers. Zwrócił się do Granta: - Zauważyłem, że zaczął pan realizować nasz plan. Akcje przedsiębiorstwa irygacji Marsa znowu spadły.

Grant uśmiechnął się szeroko.

- To było łatwe. Wystarczy tu i tam szepnąć słówko właściwym ludziom.

Chambers spojrzał w dół na swoje dłonie, zaciskane powoli w pięści.

- Musimy ich jakoś powstrzymać, w jakikolwiek sposób. Podtrzymujcie pogłoski. Uniemożliwimy Gregowi Manningowi finansowanie tej nowej inwestycji. Oskubiemy go do ostatniego dolara.

Spiorunował rzecznika prasowego wzrokiem.

- Zrozumiał pan?

- Tak, proszę pana - powiedział Grant. - Doskonale zrozumiałem.

- W porządku - powiedział Chambers. - Pańskie zadanie, Craven, to odtworzenie odkrycia Page'a albo wynalezienie czegoś, co przyda nam się w rywalizacji.

Craven warknął gniewnie.

- A jeśli nie uda się panu zrujnować Manninga za pomocą cholernych pogłosek? A jeśli nie uda mi się niczego odkryć?

- Wtedy odwołamy się do innych sposobów - powiedział Chambers.

- Innych sposobów?

Chambers uśmiechnął się nagle.

- Mam ochotę ściągnąć Stutsmana z powrotem na Ziemię.

Craven bębnił beczynn timerami o poręcz fotela.

- Tak, chyba rzeczywiście zna pan inne sposoby - powiedział.

Greg pstryknął przełącznikiem i ekran zgasł nagle, kiedy nadajnik powrócił w jednej chwili do laboratorium.

- To wiele wyjaśnia - powiedział. - Między innymi to, co stało się z moimi akcjami.

Russ siedział odrętwiały na krześle.

- Wilson, ten mały tchórzliwy donosiciel i zdrajca. Za nową dziesięciodolarówkę sprzedałby własną matkę.

- Wiemy, a Chambers nie wie, że my wiemy - powiedział Greg. - Będziemy śledzić każdy jego ruch. Poznamy każdy jego pian.

Przechadzając się po pomieszczeniu, planował już kampanię.

- Musimy jeszcze zrobić parę rzeczy - dodał. - Zbadać kilka możliwości, które mogliśmy przeoczyć.

- Będziemy mieli czas? - zapytał Russ.

- Tak sądzę. Chambers będzie działał powoli. Stawka jest zbyt wielka, żeby ryzykować popełnienie jakiegoś błędu. Nie chce wejść w kolizję z prawem. Nie dopuści do żadnych rozwiązań siłowych... przynajmniej dopóki nie ściągnie Stutsmana z Kallisto.

Urwał w pół kroku, zastygł w zdecydowanej pozie.

- Kiedy do gry wejdzie Stutsman, rozpęta się piekło - powiedział.

Wziął głęboki oddech.

- Ale my będziemy już na to gotowi!

Rozdział szósty

- Jeśli za pomocą naszej aparatury potrafimy odbierać sygnał telewizyjny, dlaczego nie moglibyśmy go nadawać? - zapytał Greg. - Możemy przecież wysyłać sygnał tak samo jak go odbierać?

Russ gryzmolił coś na arkuszu obliczeniowym.

- Owszem. To tylko kolejny aspekt do zbadania. Musisz pamiętać, że działamy w ośrodku czterowymiarowym. To nieco komplikuje sprawy. W niczym nie przypomina pracy w trzech wymiarach. To...

Urwał. Upuścił ołówek i odwrócił się powoli, żeby spojrzeć prosto na Manninga.

- Co się stało? - zapytał Greg.

- Pracujemy w czterech wymiarach - powiedział podekscytowany Russ. - A co dostaniemy, nadając w czterech wymiarach sygnał telewizyjny?

Greg zmarszczył czoło. Nagle jego wyraz twarzy złągodniał.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że możemy nadawać trójwymiarowy obraz telewizyjny?

- Tak to powinno działać - stwierdził Russ. Odwrócił się z powrotem do stołu, podniósł ołówek i zanotował równania. Podniósł wzrok znad płachty. - Trójwymiarowa telewizja! - powiedział niemal szeptem.

- Znowu coś nowego - zauważył Greg.

- No pewnie!

Russ wyciągnął rękę i przyciągnął do siebie kalkulator. Wprowadził prędko równania i przycisnął tabulator. Maszyna zaterkotała, zaskrzypiała i wystukała wynik. Pochyliwszy się, żeby go odczytać, Russ wciągnął z sykiem powietrze.

- To działa - powiedział.

- Potrzeba będzie nowego sprzętu, całe mnóstwo - zauważył Greg. - Nie

mamy już cholernego Wilsona. Kto nam pomoże?

- Zrobimy to sami - powiedział Russ. - W ten sposób będziemy przynajmniej pewni, że nie będzie żadnych przecieków.

Obliczenia zajęły całe godziny, ale skończywszy pracę Russ był pewien założeń.

- Teraz możemy zabrać się do pracy - powiedział z satysfakcją.

Po tygodniu zbudowali trójwymiarowy telewizor, ale dzięki uproszczeniu dostępnego w sprzedaży standardowego zestawu uzyskali mechanizm, który ważył niewiele więcej, a był za to bardziej wydajny i dokładny.

W trakcie pracy cały czas obserwowali biuro Spen cera Chambersa jak i laboratorium, w którym pracował po 16 godzin dziennie doktor Herbert Craven. Niewidzialni, niepodejrzewani, całymi godzinami byli milczącymi towarzyszami obu mężczyzn. Czytali to, co do nich pisano i co pisali oni sami, słyszeli, co mówili, widzieli, co robili. W ten sposób, para mężczyzn w wysokogórskim laboratorium poznała dogłębnie charakter ich niczego nie podejrzewających ofiar.

- Obaj są całkowicie bezwzględni, a równocześnie najwyraźniej szczerze przekonani, że silni zasługują na nagrodę - stwierdził Greg. - Dziwne, niemal niedzisiejsze typy. Trudno nie polubić Chambersa. W głębi serca to całkiem porządny gość. Ma organizacje charytatywne, o które dba. Sądzę, że naprawdę chce pomagać ludziom.

I wydaje mi się, że jest naprawdę przekonany, iż najlepszym sposobem na to jest uzyskanie dyktatury nad Układem Słonecznym. Ta ambicja rządzi całym jego życiem. Zahartowała go i wzmocniła. Zmiażdży bezwzględnie, bez najmniejszego wahania, wszystko, co stanie mu na drodze. Czeka nas walka.

Craven nie wydawał się robić postępów. Mogli tylko zgadywać, co próbował stworzyć.

- Uważam, że pracuje nad polem zbiorczym, zasysającym energię promienistą - powiedział Russ. - Jeśli naprawdę uda mu się je stworzyć, to

będzie naprawdę coś.

Czujny, niechlujny, zapuszczony Craven przesiadywał godzinami zatopiony głęboko w poduszkach fotela ze spokojną miną, opuszczoną łagodnie szczęką i pozornie pustym wzrokiem. Co jakiś czas zrywał się jednak z fotela, żeby nanieść na zaśmiecające jego biurko sterty papieru nowe zapiski, pomysły, podejścia.

Trójwymiarowy telewizor był gotowy z wyjątkiem jednej rzeczy.

- Z dźwiękiem nie pójdzie już tak łatwo - powiedział Russ. - Gdyby tylko można go przesyłać równie łatwo jak światło.

- A może wypróbować głośnik kondensatorowy? - powiedział Greg.

- Głośnik kondensatorowy?

- Zgadza się, to gadżet odkryty jeszcze w latach 20. Na ile wiem, od lat go nie używano, ale mógłby zadziałać.

Russ uśmiechnął się szeroko. - Cholera, dlaczego o tym nie pomyślałem? Łamię sobie głowę nad nowym podejściem do problemu, nowymi rozwiązaniami, a to, czego było mi właśnie trzeba, leżało pod ręką.

- Powinien działać - stwierdził Greg. - To po prostu przeciwieństwo mikrofonu kondensatorowego. Zamiast przesyłać fale dźwiękowe w sposób mechaniczny, generuje zmienne pole elektryczne, które staje się słyszalne bezpośrednio w uchu. Wydaje się, że do dziś nikt nie rozumie dokładnie, jak to działa, ale działa... a to nam wystarczy.

- Wiem. Nie wytwarza naprawdę dźwięku, tylko pole elektryczne, które go zastępuje - powiedział Russ. - To powinno działać, ponieważ pola nic nie powstrzyma. No, może metalowa osłona, gdyby była dość gruba, ale musiałyby być naprawdę cholernie gruba.

Przygotowanie mechanizmu zajęło im trochę czasu. Gotową, masywną aparaturą, wewnątrz której jarzyło się większe i potężniejsze pole siłowe, sterowali za pomocą dwóch monstrualnych silników na energię materii. Stery wyposażyli w napęd mechaniczny, zaprojektowany w ten sposób, że znosił całkowicie i automatycznie wpływ ruchu Ziemi, umożliwiając pracę na

planetach zewnętrznych.

Russ cofnął się i przyjrzał się maszynerii.

- Stań przed ekranem, Greg - powiedział. – Wypró bujemy ją na tobie.

Greg stanął przed ekranem. Rozległ się pomruk generatorów. Nagle w powietrzu zmaterializowała się projekcja Grega. Początkowa mglista i niewyraźna, wkrótce przybrała pozorów solidności. Greg pomachał ręką. Obraz zrobił to samo.

Russ odszedł od tablicy rozdzielczej i przeszedł przez laboratorium, żeby przyrzeć się obrazowi. Oglądany dokładnie ze wszystkich stron wydawał się solidny. Russ przeszedł przez obraz i nie poczuł nic. Niczego tam nie było, jedynie trójwymiarowy obraz. A jednak nawet z odległości dwóch stóp, wyglądało to zupełnie jakby Greg stał tam we własne osobie z krwi i kości.

- Cześć, Russ - szepnął obraz i wyciągnął dłoń. -Miło cię znów zobaczyć.

Russ wyciągnął rękę ze śmiechem. Zacisnęła się na powietrzu, ale wydawało się, że mężczyźni ściskali dłonie.

Tego popołudnia przetestowali maszynę. Ich obrazy przechadzały się nad drzewami, na pierwszy rzut oka krocząc w powietrzu. Olbrzymie kopie Grega stanęły na odległym szczycie górskim, wołając grzmiącym głosem. Mniejsze obrazy, nie wyższe niż dwa cale, wdrapywały się po nodze od stołu.

Zadowoleni, wyłączyli maszynę.

- To jedna z możliwości, o jakich wspominałeś - rzucił Russ.

Greg przytaknął poważnie.

Jesienna wichura zaciniała bijącym w okna deszczem, a między sosnami na zewnątrz zawodził dziki, mokry wiatr. Ogień na kominku podskakiwał i rozbłyskał gwałtownie.

Zatopiony w fotelu Russ pykał fajkę, wpatrując się w płomienie.

- Fabryka chce więcej pieniędzy na budowę statku -rzucił z drugiego fotela Greg. - Musiałem zastawić więcej akcji pod zabezpieczenie nowej pożyczki.

- Rynek wciąż w dole? - zapytał Russ.

- Rynek nie - odpowiedział Greg. - Moje akcje. Dziś znowu wszystkie spadły.

Russ ssał z namysłem fajkę.

- Myślałem o tej sprawie z akcjami, Greg.

- Ja też, ale niewiele to dało.

- Słuchaj, na jakich planetach działa giełda? - zapytał powoli Russ.

- Na wszystkich, poza Merkurem. Giełda Jowisza znajduje się w Ranthoor. Mają nawet giełdę na Plutonie, choć w obrocie są tylko akcje kopalni i zakładów chemicznych.

Russ nie odpowiedział. Dym z jego fajki wił się zakrętami. Wpatrywał się w ogień.

- Dlaczego pytasz? - chciał wiedzieć Greg.

- Po prostu coś mi chodzi po głowie. Ciekawe, gdzie prowadzi większość interesów Chambers.

- Obecnie w Ranthoor - powiedział Greg. - Kiedyś była to Wenus. Lista notowań jest tam większa. Od kiedy jednak przejął Konfederację Jowisza, przeniósł tam swoje interesy. Mają tam *niższy* podatek od transakcji. Zdążył o to zadbać.

- A na Kallisto notowane są te same akcje, co na giełdzie nowojorskiej?

- Naturalnie, choć nie aż tyle - powiedział Greg.

Russ obserwował dym z fajki.

- Ile czasu wędruje światło z Kallisto na Ziemię?

- Cóż, jakieś 45 minut czy coś koło tego. - Greg podniósł się. - Zaraz, co ma do tego światło?

- Mnóstwo - powiedział Russ. - Cały handel oparty jest na założeniu, że światło przemieszcza się bez opóźnienia, ale tak nie jest. W całym Układzie Słonecznym cały biznes opiera się na czasie Greenwich. Kiedy wysłany w południe z Ziemi sygnał dociera na Marsa, to jest tam 15 minut później, ale wciąż traktowane jako południe. Kiedy ten sam sygnał dotrze na Kallisto, chronometr stosowany w handlu będzie wskazywał południe, choć naprawdę

będzie za kwadrans pierwsza. Ten system upraszcza handel, pozwalając poradzić sobie z problemem różnicy czasu. I do tej pory spisywał się dobrze, ponieważ nie odkryto jeszcze nic, co potrafiłoby podróżować szybciej od światła. Szybciej nie da się wysłać przez przestrzeń żadnych wiadomości ani sygnałów, więc dotychczas wszystko działało dobrze.

Greg podniósł się z fotela i stanął prosto na tle ognia uwydatniającego jego atletyczną figurę. Pozory spokoju opadły z niego. Był przejęty.

- Rozumiem, do czego zmierzasz! Odkryliśmy coś, co działa niemal natychmiast!

- Niemal - powiedział Russ. - Nie całkiem. Gdzieś po drodze występuje pewne opóźnienie, ale przy wielkich odległościach jest właściwie niedostrzegalne.

- Prześcignęłoby jednak zwykły sygnał świetlny na Kallisto o prawie 45 minut.

- Prawie, może ułamek sekundy mniej - zgodził się Russ.

Greg chodził przed kominkiem jak zamknięty w klatce lew.

- Na Boga! - powiedział. - Dopadliśmy Chambersa na naszych warunkach. Możemy pojawić się na Kallisto przed notowaniami giełdowymi. Wiedząc z wyprzedzeniem, co dzieje się na giełdzie nowojorskiej, zdołamy odzyskać każdego straconego centa. Możemy pokonać Chambersa!

Russ uśmiechnął się szeroko.

- Dokładnie o to chodzi - powiedział. - Będziemy znali notowania giełdy z 45-minutowym wyprzedzeniem w stosunku do innych graczy. Niech Chambers spróbuje to przebić.

Rozdział siódmy

Hen Wrail odpoczywał. Wyciągnięty w fotelu, paląc z zadowoleniem cygaro, słuchał audycji radiowej z Ziemi.

Z okna obok rozciągał się widok z wieżowca na przykryte kopułą miasto Ranthoor. Na niebie, zniekształcona lekko przez ciężki kwarc odległej kopuły, wisiała zabarwiona pomarańczem i żółcią ogromna szkarłatna kula Jowisza. Przytłaczająco rozświetlona, monstrualnie wielka planeta wypełniała wielką część widocznego nieba widokiem, który co roku ściągwał na księżycę Jowisza miliony turystów, przykuwając z niezrozumiałą fascynacją nawet uwagę starych weteranów przestrzeni.

Ben Wrail wpatrywał się w niego teraz, pykając cygaro i słuchając radia. Budząca podszyty łękiem podziw planeta wisiała w powietrzu, jakby gotowa spaść na ten pozbawiony powietrza, zimny świat i zmiażdżyć go.

Wrail był weteranem. Mieszkał w Ranthoor od trzydziestu lat - ziemskich lat. Widział, jak miasto rozrastało się od przykrytego jedną kopułą prowizorycznego obozowiska górników do miasta, które mogło się pochwalić półmilionową populacją. Przykrywająca je obecnie kopuła była już czwartą z kolei. Miasto cztery razy wyrastało ze swojej skorupy, aż stało się największym przykrytym kopułą miastem Układu Słonecznego. Ben był świadkiem tego, jak Ranthoor z przyciągającego szumowiny całego Układu Słonecznego miejsca, gdzie ludzkie życie nie miało wielkiej wartości, zmieniło się w pełną godności stolicę Konfederacji Jowisza.

Pomagał tworzyć tę konfederację, był członkiem jej komisji konstytucyjnej, pomagał tworzyć rząd i przez ponad dekadę pomagał tworzyć jej prawo.

Ale teraz... Ben Wrail splunął gniewnie i ponownie wcisnął cygaro do ust, zaciskając na nim potężnie zęby. Wszystko się zmieniło. Satelity Jowisza

zostały zniewolone przez Spencera Chambersa. Rząd znajdował się w rękach jego sługusów. Oczywiście, wybranych w odpowiednich wyborach, które odbyły się jednak w cieniu niewypowiedzianej groźby, że Międzyplanetarna Spółka Energetyczna wycofa się, pozbawiając okrążającą wielką planetę księżycy powietrza, ciepła i energii, ponieważ życie każdego ze światów Konfederacji Jowisza zależało od przywożonych z wnętrza układu ogniów.

Chodziły pogłoski o rewolcie, ale nie zaszłyby nigdzie pozbawiona przywódcy. Tymczasem John Moore Mallory został uwięziony na jednym z kursujących po Układzie Słonecznym statków więziennych. Całe miesiące temu został potajemnie przeniesiony na statek z więzienia na Kallisto, ale po tygodniu tajemnica rozniosła się gniewnym szeptem. Gdyby doszło do zamieszek i rozlewu krwi, okazałyby się bezcelowe. Nawet gdyby rewolucja powiodła się, nic by nie zyskała. Dostarczyłaby tylko MSE pretekstu do odmowy zaopatrywania przykrytych kopułami miast na księżycach i wycofania się.

Ben Wrail poruszył się niespokojnie w fotelu. Cygaro zgasło. Ryk programu radiowego rozbrzmiewał nadal, nie docierając do jego uszu. Nadal wyglądał przez okno, nie widząc Jowisza.

- Cholera - powiedział Wrail. Dlaczego musiał psuć len wieczór myślami o przeklętej sytuacji politycznej? Pomimo roli, jaką odegrał w tworzeniu konfederacji, był biznesmenem, nie politykiem. Mimo to, patrzenie na zagładę tego, co pomagał budować, bolało, choć wiedział, że w historii wszelkie pionierskie dzieła były przejmowane w końcu przez przebiegłych, bezwzględnych graczy. Wiedza o tym jednak wcale nie pomagała. Wraz z innymi pionierami Jowisza miał nadzieję, że do tego nie dojdzie, a oczywiście doszło.

- Ben Wrail - odezwał się jakiś głos w pokoju.

Wrail odwrócił się od okna.

- Manning! - zawołał, a stojący pośrodku pomieszczenia mężczyzna uśmiechnął się do niego ponuro. - Jak to się stało, że cię nie usłyszałem?

Kiedy przyleciałeś?

- Nie ma mnie tu - powiedział Greg. - Jestem na Ziemi.

- Gdzie jesteś? - spytał bezpośrednio Wrail. - To dość śmieszne twierdzenie, prawda Manning? A może postanowiłeś wyluzować trochę i podowcipkować od czasu do czasu?

- Mówię prawdę - powiedział Manning. - Widzisz tylko mój obraz. Moje ciało znajduje się na Ziemi.

- Chcesz powiedzieć, że nie żyjesz? Jesteś duchem?

Manning rozciągnął szerzej usta, ale twarz miał posępną jak zawsze.

- Nie, Ben, jestem tak samo żywy, jak ty. Pozwól, że wyjaśnię. Widzisz mój obraz telewizyjny. Obraz trójwymiarowy. W ten sposób mogę doi rzeć wszędzie.

Wrail usiadł ponownie w fotelu.

- Nie sędzę wobec tego, żeby uścisk dłoni miał jakiś sens.

- Zgadza się - przytaknął obraz Manninga. - Nie ma żadnej dłoni.

- Ani zapraszanie cię, żebyś usiadł?

Manning pokręcił głową.

- W każdym razie cholernie się cieszę, że cię widzę albo tak mi się wydaje - powiedział Wrail. - Nie wiem już, co jest prawdą. Możesz chyba zostać i pogadać chwilę?

- Jasne - odpowiedział Manning. - Po to właśnie przyszedłem. Chcę prosić o twoją pomoc.

- Słuchaj no, Manning - stwierdził Wrail. - Nie możesz być na Ziemi. Mówię do ciebie coś, a ty od razu odpowiadasz. To niemożliwe. To, co mówię, możesz usłyszeć dopiero po 45 minutach, a żeby usłyszeć twoją odpowiedź musiałbym czekać kolejne 45 minut.

- Zgadza się, o ile upierasz się pozostać przy prędkości światła - zgodził się obraz. - Odkryliśmy coś lepszego.

- My?

- Russell Page i ja. Mamy dwukierunkowy aparat telewizyjny, który działa

właściwie bez opóźnienia. Jeśli chodzi o odległość między Ziemią a Kallisto, praktycznie nie ma żadnego.

Wrailowi opadła szczęka.

- A niech mnie. Co wy dwaj knujecie?

- Wiele rzeczy - odparł lakonicznie Manning. - Zamierzamy, na przykład, zniszczyć MSE. Całkowicie. Słyszałeś, Wrail?

Wrail wpatrywał się w niego oszołomiony.

- Jasne, że słyszałem. Ale nie mogę w to uwierzyć.

- Wobec tego w porządku, dostarczymy ci dowodów - powiedział poważnym tonem Manning. - Powiedz, Ben, co mógłbyś zdołać, gdybyś usłyszał od nas, co dzieje się na giełdzie w Nowym Jorku, nie musząc czekać 45 minut aż dotrą do was notowania?

Wrail poderwał się z siedzenia.

- Co mógłbym zrobić? Puściłbym z torbami wszystkich maklerów na giełdzie! Mógłbym zarabiać miliard na minutę! - Urwał i spojrzał na obraz. - Ale to do ciebie niepodobne. Ty nie grasz w ten sposób.

- Zależy mi wyłącznie na tym, żeby zaszkodzić Chambersowi - powiedział Manning. - Oczywiście, jeśli w drogę wejdzie nam ktoś jeszcze, oberwie razem z nim. Naprawdę chciałbym dołożyć Chambersowi. To w tej sprawie chciałem się z tobą zobaczyć.

- Na Boga, zrobię to, Greg - powiedział Wrail. Zrobił szybki krok przed siebie i wyciągnął dłoń, żeby dobić umowy, ale napotkał tylko powietrze.

Obraz Manninga odrzucił głowę i roześmiał się głośno.

- Oto twój dowód, Ben. Wystarczy?

- Pewnie, że tak - odpowiedział niepewnie Wrail, spoglądając na pozornie solidną dłoń, przez którą przeniknęła jego własna.

Dzień 6 listopada 2153 długo wspomniano w kręgach finansowych całego Układu Słonecznego. Sesja giełdy w Ranthoor zaczęła się spokojnie przy małej aktywności. Potem kilka akcji zaczęło stopniowo zwyżkować. Akcje kopalń spadły odrobinę. Udziały przedsiębiorstwa irygacji Marsa nadal

utrzymywały się na niewytłumaczalnie niskim poziomie, podobnie jak akcje zakładów chemicznych na Plutonie i kopalń asteroid.

Ben Wrail kupił przez dwóch maklerów 10 000 akcji Farm Wenus SA, przy notowaniach 83,5 po otwarciu giełdy. Parę minut później kupił 10 000 akcji Kombinezonów Kosmicznych z o.o. po 106,4. Akcje farm spadły o jeden punkt. Kombinezony poszły o punkt w górę. Potem oba notowania zaczęły nagle rosnać. W drugiej godzinie po otwarciu sesji akcje Wenus zyskały całe pięć punktów i Wrail sprzedał wszystkie. Dziesięć minut później zaczęły spadać, aż po zamknięciu sesji notowano je o dwa punkty niżej niż rano. Późnym popołudniem Wrail rzucił na rynek swoje 10 000 udziałów w Kombinezonach, sprzedając równo po 110. Przed zamknięciem sesji spadły znowu do poziomu tylko pół punktu wyżej od notowań w chwili otwarcia.

To tylko dwie transakcje. Były też inne. Przed spadkiem, Stocznie Kosmiczne poszły w górę o trzy punkty, a Wrail wykorzystał to. Metalurgia Merkury wzrosła o dwa punkty i pikowała z powrotem, pod koniec dnia tracąc pełen punkt. Wrail sprzedał wszystko tuż zanim zaczęły spadać. W połowie sesji zainkasował okrągłe pół miliona.

Następnego dnia doszedł do miliona, a wtedy ten ostrożny zwykle i zachowawczy gracz, wyraźnie pewny swego, zapuszczał się coraz głębiej. To było niesamowite. Wrail po prostu wiedział, kiedy kupować, a kiedy sprzedawać. Inni maklerzy obserwowali go uważnie i próbowali naśladować, ale zgubił ich, maskując swoje transakcje za pomocą różnych pośredników.

Gorączkowe dni następowały jeden po drugim. Ben Wrail nie pojawiał się na giełdzie. Do jego biura nie można było się dodzwonić. Pana Wraila nie ma. Przykro mi.

Opłacani dobrze pośrednicy milczeli. Kupowali tylko i sprzedawali. To wszystko.

Ben Wrail siedział w biurze, zajęty obserwowaniem dwóch ekranów telewizyjnych. Jeden pokazywał tablicę notowań giełdy nowojorskiej. Na drugim widział pochylonego w fotelu Gregory'ego Manninga, w górskim

laboratorium Page'a na Ziemi. Greg również miał przed sobą dwa ekrany, z których jeden pokazywał tablicę giełdy nowojorskiej, drugi zaś skierowany był na biuro Bena Wraila.

- Akcje Turystyki Kosmicznej stoją całkiem nieźle - powiedział Greg. - Może kupisz pakiet? Tak się składa, że wiem przypadkiem, iż Chambers ma część udziałów. Złapiemy go tu.

Ben Wrail uśmiechnął się.

- Zyskały parę punktów, prawda? W tej chwili sprzedają się tutaj po 60. Za 45 minut osiągną 62.

Podniósł telefon.

- Kup wszystkie akcje Turystyki Kosmicznej, jakie uda ci się zdobyć - powiedział. - Zaraz. Powiem ci, kiedy sprzedać. O 10:30 pozbądź się wszystkich udziałów Zakładów Miedzi z Tytana.

- Lepiej pozbądź się udziałów w Kopule Ranthoor - zasugerował Greg. - Zaczynają spadać.

- Będę je obserwował - obiecał Ben. - Może znowu pójdą w górę.

Umilkli, obserwując notowania giełdy nowojorskiej.

- Wiesz co, Greg - powiedział w końcu Ben. - Naprawdę nie wierzyłem, że to prawda, dopóki nie zobaczyłem, jak na moim biurku zmaterializowały się te wszystkie kredyty.

- To proste - chrząknął Greg. - Nasze urządzenie pozwala nam przenieść wszystko w dowolne miejsce w kosmosie. Mógłbym w tej chwili sięgnąć, chwycić cię i w ułamku sekundy ściągnąć tutaj.

Ben wciągnął powietrze między zębami.

- W nic już nie wątpię. Dwa dni temu przesłałeś mi pół miliarda. Zdążył się już podwoić i mnoży się dalej.

Znowu podniósł telefon i odezwał się do pośrednika na drugim końcu linii.

- Pozbądź się udziałów Kopuły Ranthoor, kiedy osiągną 79.

Na giełdzie w Ranthoor zawrzało naprawdę, kiedy Wrail zdobył monopol

na Zakłady Miedzi z Tytana. Działając szybko, kupował akcje wielkimi pakietami. Kiedy zauważono to na giełdach w całym Układzie, akcje strzeliły w górę. Pod przykrywką tej ekscytacji, zaczął wykupywać Kombinezony Kosmiczne z o.o. Akcje poszły mocno w górę.

Na głównych giełdach czterech światów zapanowała dwudniowa histeria, kiedy maklerzy obserwowali zwyżkujące gwałtownie akcje. Działający w imieniu MSE chcieli je kupić. Nikt nie sprzedawał. Akcje szły w górę.

Jednak w ciągu jednej godziny Wrail rzucił wszystkie swoje udziały w obu spółkach na rynek. Maklerzy MSE, histerycznie próbując zapobiec utracie kontroli nad obiema strategicznymi spółkami, kupowali ile mogli. Ceny pikowały.

Spencer Chambers stracił na tej wymianie trzy miliardy. Ben Wrail w ciągu jednej nocy stał się multimiliarderem. Greg Manning pomnożył swój majątek.

- Wystarczy - powiedział Greg. - Daliśmy Chambersowi to, na co zasłużył. Kończymy.

- Chętnie - zgodził się Ben. - To było aż nazbyt łatwe.

- Do zobaczenia, Ben.

- Wpadnę kiedyś na Ziemię. Odwiedź mnie, kiedy znajdziesz chwilę. Wpadnij na wieczór.

- Dzięki za zaproszenie - powiedział Greg. Z naszym trójwymiarowym urządzeniem to łatwe.

Wyciągnął rękę, przesunął przełącznik. Ekrany w biurze Wraila zgasły.

Wrail sięgnął po cygaro, zapalił je z namysłem. Oparł się w fotelu, zakładając nogi na biurko.

- Na Boga - powiedział z zadowoleniem. - W życiu nic nie sprawiło mi większej frajdy.

- Zgadza się - przytaknął obraz Manninga. - Nie ma żadnej dłoni.

- Ani zapraszanie cię, żebyś usiadł?

Manning pokręcił głową.

- W każdym razie cholernie się cieszę, że cię widzę albo tak mi się wydaje
- powiedział Wrail. - Nie wiem już, co jest prawdą. Możesz chyba zostać i pogadać chwilę?

- Jasne - odpowiedział Manning. - Po to właśnie przyszedłem. Chcę prosić o twoją pomoc.

- Słuchaj no, Manning - stwierdził Wrail. - Nie możesz być na Ziemi. Mówię do ciebie coś, a ty od razu odpowiadasz. To niemożliwe. To, co mówię, możesz usłyszeć dopiero po 45 minutach, a żeby usłyszeć twoją odpowiedź musiałbym czekać kolejne 45 minut.

- Zgadza się, o ile upierasz się pozostać przy prędkości światła - zgodził się obraz. - Odkryliśmy coś lepszego.

- My?

- Russell Page i ja. Mamy dwukierunkowy aparat telewizyjny, który działa właściwie bez opóźnienia. Jeśli chodzi o odległość między Ziemią a Kallisto, praktycznie nie ma żadnego.

Wrailowi opadła szczęka.

- A niech mnie. Co wy dwaj knujecie?

- Wiele rzeczy - odparł lakonicznie Manning. - Zamierzamy, na przykład, zniszczyć MSE. Całkowicie. Słyszałeś, Wrail?

Wrail wpatrywał się w niego oszołomiony.

- Jasne, że słyszałem. Ale nie mogę w to uwierzyć.

- Wobec tego w porządku, dostarczymy ci dowodów - powiedział poważnym tonem Manning. - Powiedz, Ben, co mógłbyś zdołać, gdybyś usłyszał od nas, co dzieje się na giełdzie w Nowym Jorku, nie musząc czekać 45 minut aż dotrą do was notowania?

Wrail poderwał się z siedzenia.

- Co mógłbym zrobić? Puściłbym z torbami wszystkich maklerów na giełdzie! Mógłbym zarabiać miliard na minutę! - Urwał i spojrzał na obraz. - Ale to do ciebie niepodobne. Ty nie grasz w ten sposób.

- Zależy mi wyłącznie na tym, żeby zaszkodzić Chambersowi - powiedział

Manning. - Oczywiście, jeśli w drogę wejdzie nam ktoś jeszcze, oberwie razem z nim. Naprawdę chciałbym dołożyć Chambersowi. To w tej sprawie chciałem się z tobą zobaczyć.

- Na Boga, zrobię to, Greg - powiedział Wrail. Zrobił szybki krok przed siebie i wyciągnął dłoń, żeby dobić umowy, ale napotkał tylko powietrze.

Obraz Manninga odrzucił głowę i roześmiał się głośno.

- Oto twój dowód, Ben. Wystarczy?

- Pewnie, że tak - odpowiedział niepewnie Wrail, spoglądając na pozornie solidną dłoń, przez którą przeniknęła jego własna.

Dzień 6 listopada 2153 długo wspomniano w kręgach finansowych całego Układu Słonecznego. Sesja giełdy w Ranthoor zaczęła się spokojnie przy małej aktywności. Potem kilka akcji zaczęło stopniowo zwyżkować. Akcje kopalń spadły odrobinę. Udziały przedsiębiorstwa Irygacji Marsa nadal utrzymywały się na niewytłumaczalnie niskim poziomie, podobnie jak akcje zakładów chemicznych na Plutonie i kopalń asteroid.

Ben Wrail kupił przez dwóch maklerów 10 000 akcji Farm Wenus SA, przy notowaniach 83,5 po otwarciu giełdy. Parę minut później kupił 10 000 akcji Kombinezonów Kosmicznych z o.o. po 106,4. Akcje farm spadły o jeden punkt. Kombinezony poszły o punkt w górę. Potem oba notowania zaczęły nagłe rosnać. W drugiej godzinie po otwarciu sesji akcje Wenus zyskały całe pięć punktów i Wrail sprzedał wszystkie. Dziesięć minut później zaczęły spadać, aż po zamknięciu sesji notowano je o dwa punkty niżej niż rano. Późnym popołudniem Wrail rzucił na rynek swoje 10 000 udziałów w Kombinezonach, sprzedając równo po 110. Przed zamknięciem sesji spadły znowu do poziomu tylko pół punktu wyżej od notowań w chwili otwarcia.

To tylko dwie transakcje. Były też inne. Przed spadkiem, Stocznie Kosmiczne poszły w górę o trzy punkty, a Wrail wykorzystał to. Metalurgia Merkury wzrosła o dwa punkty i pikowała z powrotem, pod koniec dnia tracąc pełen punkt. Wrail sprzedał wszystko tuż zanim zaczęły spadać. W połowie sesji zainkasował okrągłe pół miliona.

Następnego dnia doszedł do miliona, a wtedy ten ostrożny zwykle i zachowawczy gracz, wyraźnie pewny swego, zapuszczał się coraz głębiej. To było niesamowite. Wrail po prostu wiedział, kiedy kupować, a kiedy sprzedawać. Inni maklerzy obserwowali go uważnie i próbowali naśladować, ale zgubił ich, maskując swoje transakcje za pomocą różnych pośredników.

Gorączkowe dni następowały jeden po drugim. Ben Wrail nie pojawiał się na giełdzie. Do jego biura nie można było się dodzwonić. Pana Wraila nie ma. Przykro mi.

Opłacani dobrze pośrednicy milczeli. Kupowali tylko i sprzedawali. To wszystko.

Ben Wrail siedział w biurze, zajęty obserwowaniem dwóch ekranów telewizyjnych. Jeden pokazywał tablicę notowań giełdy nowojorskiej. Na drugim widział pochylonego w fotelu Gregory'ego Manninga, w górskim laboratorium Page'a na Ziemi. Greg również miał przed sobą dwa ekrany, z których jeden pokazywał tablicę giełdy nowojorskiej, drugi zaś skierowany był na biuro Bena Wraila.

- Akcje Turystyki Kosmicznej stoją całkiem nieźle -powiedział Greg. - Może kupisz pakiet? Tak się składa, że wiem przypadkiem, iż Chambers ma część udziałów. Złapiemy go tu.

Ben Wrail uśmiechnął się.

- Zyskały parę punktów, prawda? W tej chwili sprzedają się tutaj po 60. Za 45 minut osiągną 62.

Podniósł telefon.

- Kup wszystkie akcje Turystyki Kosmicznej, jakie uda ci się zdobyć - powiedział. - Zaraz. Powiem ci, kiedy sprzedać. O 10:30 pozbądź się wszystkich udziałów Zakładów Miedzi z Tytana.

- Lepiej pozbądź się udziałów w Kopule Ranthoor -zasugerował Greg. - Zaczynają spadać.

- Będę je obserwował - obiecał Ben. - Może znowu pójdą w górę.

Umilkli, obserwując notowania giełdy nowojorskiej.

- Wiesz co, Greg - powiedział w końcu Ben. - Naprawdę nie wierzyłem, że to prawda, dopóki nie zobaczyłem, jak na moim biurku zmaterializowały się te wszystkie kredyty.

- To proste - chrząknął Greg. - Nasze urządzenie pozwala nam przenieść wszystko w dowolne miejsce w kosmosie. Mógłbym w tej chwili sięgnąć, chwycić cię i w ułamku sekundy ściągnąć tutaj.

Ben wciągnął powietrze między zębami.

- W nic już nie wątpię. Dwa dni temu przesłałeś mi pół miliarda. Zdążył się już podwoić i mnoży się dalej.

Znowu podniósł telefon i odezwał się do pośrednika na drugim końcu linii.

- Pozbądź się udziałów Kopuły Ranthoor, kiedy osiągną 79.

Na giełdzie w Ranthoor zawrzało naprawdę, kiedy Wrail zdobył monopol na Zakłady Miedzi z Tytana. Działając szybko, kupował akcje wielkimi pakietami. Kiedy zauważono to na giełdach w całym Układzie, akcje strzeliły w górę. Pod przykrywką tej ekscytacji, zaczął wykupywać Kombinezony Kosmiczne z o.o. Akcje poszły mocno w górę.

Na głównych giełdach czterech światów zapanowała dwudniowa histeria, kiedy maklerzy obserwowali zwyżkujące gwałtownie akcje. Działający w imieniu MSE chcieli je kupić. Nikt nie sprzedawał. Akcje szły w górę.

Jednak w ciągu jednej godziny Wrail rzucił wszystkie swoje udziały w obu spółkach na rynek. Maklerzy MSE, histerycznie próbując zapobiec utracie kontroli nad obiema strategicznymi spółkami, kupowali ile mogli. Ceny pikowały.

Spencer Chambers stracił na tej wymianie trzy miliardy. Ben Wrail w ciągu jednej nocy stał się multimiliarderem. Greg Manning pomnożył swój majątek.

- Wystarczy - powiedział Greg. - Daliśmy Chamber sowi to, na co zasłużył. Kończymy.

- Chętnie - zgodził się Ben. - To było aż nazbyt łatwe.

- Do zobaczenia, Ben.

- Wpadnę kiedyś na Ziemię. Odwiedź mnie, kiedy znajdziesz chwilę.
Wpadnij na wieczór.

- Dzięki za zaproszenie - powiedział Greg. - Z naszym trójwymiarowym urządzeniem to łatwe.

Wyciągnął rękę, przesunął przełącznik. Ekran w biurze Wraila zgasł.

Wrail sięgnął po cygaro, zapalił je z namysłem. Oparł się w fotelu, zakładając nogi na biurko.

- Na Boga - powiedział z zadowoleniem. - W życiu nic nie sprawiło mi większej frajdy.

Rozdział ósmy

Na ekranie widniał gigantyczny cylindryczny kadłub z najlepszej berylowej stali: potężny statek, unieruchomiony uściskiem wykonanych ze lśniącej stali monstrualnych wsporników. Odbijając oświetlające tę scenę rozjarzone lampy, niknął w górze w cieniach fabryki, sprawiając, że uwijający się na nim tłum robotników przypominał karzełki.

- Ślicznotka - powiedział Russ, pykając fajkę.

Greg przytaknął.

- Pracują dniem i nocą, żeby go skończyć. Pewnego dnia może okazać się potrzebny i to szybko. Jeśli Chambers naprawdę uruchomi tę swoją maszynę, jedynym miejscem dość dużym, by się w nim ukryć, będzie kosmos.

Zaśmiał się ponurym, gardłowym śmiechem.

- Przynajmniej nie będziemy musieli ukrywać się długo. Tylko dopóki się nie zorganizujemy, a wtedy nadejdzie pora ostatecznej rozgrywki. Chambers będzie musiał odsłonić karty.

Russ pstryknął przełącznikiem i ekran zgasł. Laboratorium zmieniło się nagle w płataninę niesamowitych świateł i cieni. Zapchane ciasno groteskowymi maszynami i rozłożoną aparaturą dawało odczuć w mroczny sposób olbrzymią moc i potężne siły.

Naukowiec podniósł się w fotelu.

- Wiele zdołaliśmy, Greg. Naprawdę wiele. Dysponujemy największą znaną kiedykolwiek człowiekowi

mocą, prawie nie dającym się zrozumieć napędem kosmicznym, trójwymiarową telewizją.

- I udało nam się pognębić Chambersa na giełdzie -dodał oschłe Greg.

Siedzieli w milczeniu. Greg czuł zapach dymu z fajki Russa, zmieszany ze śladami środka nawilżającego i nikłą wonią zjonizowanego powietrza.

- Nie wolno nam jednak lekceważyć Chambersa -stwierdził. - Popęłił jeden błąd. Nie docenił nas. Nie wolno nam powtórzyć jego błędu. Wciąż jest niebezpieczny. Nie cofnie się przed niczym, nawet morderstwem.

- Na razie działa spokojnie - powiedział Russ. - Ma nadzieję, że Cravenowi uda się wynaleźć coś, co dorówna naszym odkryciom albo je przebije. Ale Craven nie miał dotychczas wielkiego sukcesu. Wciąż pracuje nad teorią promieniowania, wydaje się jednak, że nie robi większych postępów.

- Co to dla nas znaczy, jeśli mu się uda?

- Mnóstwo rzeczy. Mógłby zaprząć do pracy wszystkie rodzaje promieniowania, jakie występują w kosmosie. Promieniowanie kosmiczne, ciepło, światło, wszystko. Kosmos jest pełen promieniowania.

- Nie musielibyśmy martwić się Chambersem, gdyby nie Wilson - warknął Greg. - Chambers nie dowiedziałby się o niczym, dopóki nie bylibyśmy gotowi sami dać mu znać.

- Wilson! - zawołał Russ, pochylając się nagle do przodu. - Zapomniałem o nim. A może spróbujemy go znaleźć?

Harry Wilson siedział przy swoim stoliku w Klubie Marsjańskim i przyglądał się egzotycznemu tańcowi mesjańskiemu wykonywanemu przez prawie nagie dziewczęta. Mrużył oczy w snującym się leniwie ze zwisającego z ust papierosa. Coś w tym tańcu drażniło go.

Muzyka zabrzmiała głośniejsz, przycichła do szeptu, po czym nagle i nieoczekiwanie załomotała i urwała się. Dziewczęta zbiegały z parkietu. Przez stoliki przeszła lilia gładkich, uprzejmych oklasków.

Wilson westchnął i sięgnął po kieliszek z winem. Zgniół papierosa w popielniczkę i sączył wino. Rozejrzał się po sali, przyglądając się podskakującym malowanym twarzom nocnego życia - sławnym, prawie sławnym, dość bliskim, żeby zostać sławnymi. Maklerzy, biznesmeni, artyści, pisarze, aktorzy. Widział też innych, dziwne cienie nocnego życia, o których wiedziano niezbyt wiele lub słyszało aż nadto... playboye i dobrze

urodzone majątne damy, należycie wystrojeni mężczyźni, wspaniale i elegancko ubrane kobiety.

Oraz Harry Wilson. Kelnerzy zwracali się do niego pan Wilson. Słyszał jak pytano szeptem, kim jest. Chłonał to całą duszą i wołał o więcej. Dobre jedzenie, dobre drinki, pastelowe barwy ścian, łagodne światła i ta dziwna, egzotyczna muzyka. Chłodna, za to barwna poprawność wszystkiego dokoła.

Jeszcze dwa miesiące temu stał przed klubem, zupełnie obcy w tym mieście, mechanik z małego laboratorium na odludziu, któremu płacono za jego zdolności psie pieniądze. Stał na zewnątrz i obserwował, jak jego pracodawcy wchodzą po schodach i znikają za magicznymi drzwiami. Przyglądał się zgorzkniałym wzrokiem...

Za to teraz!

Orkiestra zaczęła grać. Jakaś blondynka przy stoliku obok kiwnęła w jego stronę głową. Z głową szumiącą od wina, oddał uroczyście ukłon.

Ktoś mówił do niego, wołał go po nazwisku. Rozejrzał się, ale w tej chwili nikt na niego nie patrol. I ponownie przez płynącą muzykę, szum rozmów, szum w jego własnej głowie przebił się zimny i ostry jak stal głos:

- Harty Wilson!

Przeszedł go zimny dreszcz. Wyciągnął ponownie dłoń po lampkę wina, ale zatrzymał ją w połowie drogi, zamarł i zadrżał na widok przed sobą.

Pojawiła się przed nim jakaś szara mgła, jakby migocząca pustka, z której wyłonił się ołówek.

Przyglądał się zdjęty grozą, podczas gdy czubek ołówka dotknął obrusa i powoli, precyzyjnie, zaczął się poruszać. Nie dowierzając własnym oczom, wpatrywał się zahipnotyzowany, czując w umyśle badawcze dotknięcia obłądu. Ołówek napisał:

Zdradziłeś mnie, Wilson.

Mężczyzna przy stole spróbował powiedzieć coś, wrzasnąć, ale gardło i język miał suche, i z ust wydobył się ze zgrzytem tylko chrapliwy oddech.

Ołówek bezlitośnie pisał dalej:

Zapłacisz mi. Znajdę cię, gdziekolwiek się udasz. Nie ukryjesz się przede

mną.

Ołówek wolno oderwał czubek od stołu i zniknął nagle, jakby nigdy go nie było. Szeroko otwartymi, pełnymi lęku oczami Wilson wpatrywał się w czarne słowa na obrusie.

Zdradziłeś mnie, Wilson. Zapłacisz mi. Znajdę cię, gdziekolwiek się udasz. Nie ukryjesz się przede mną.

Muzyka pulsowała w pomieszczeniu, w tle rozlegał się szum rozmów, ale Wilson nie słyszał ich. Całą świadomością skupił się na napisie, na przepelniających go grozą literach i słowach.

Wydawało się, że coś w nim pękło. Ogarnął go gwałtownie zimny powiew grozy. Wstał, zataczając się. Stracił dłonią lampkę wina ze stołu, roztrzaskując ją na dzwoniące okruchy.

- Nie mogą mi tego zrobić! - wrzasnął.

W pomieszczeniu zapadło milczenie, potwornie oskarżycielska cisza. Wszyscy przyglądali się mu z uniesionymi brwiami.

Kelner ujął go za łokieć.

- Źle się pan poczuł?

Odprowadził go, wciąż krocącego niepewnie. Z tyłu znów usłyszał muzykę, przybierający na sile szum rozmów.

Ktoś włożył mu na głowę kapelusz, pomógł mu założyć płaszcz. Twarz owiało mu zimne nocne powietrze i drzwi zamknęły się za nim z westchnieniem.

- Uważałbym na schodach, proszę pana - doradził portier.

Kierowca powietrznej taksówki otworzył drzwi pojazdu i dotknął palcami daszka czapki.

- Dokąd, proszę pana?

Wilson wtoczył się do taksówki i wyjąkał swój adres. Taksówka włączyła się do ruchu.

Wilson szarpał się z kluczem drżącymi dłońmi, otwierając drzwi do mieszkania przez całe minuty. W końcu zamek szczęknął i otworzył drzwi pchnięciem. Namacał palcem włącznik na ścianie. Pokój zalało światło.

Wilson odetchnął z ulgą. Tutaj czuł się bezpieczny. To miejsce należało do niego. To był jego dom, jego schronienie...

Usłyszał za sobą cichy śmiech, niewiele głośniejsi niż chichot. Okręcił się i mrużąc w świetle oczy przez chwilę nie widział nic. Potem przy jednym z okien coś się poruszyło, szare i niewyraźne, jak kłęb unoszącej się mgły.

Obserwował ją, cofając się pod ścianę, podczas gdy szarość pociemniała, przybrała ludzki kształt. A z niewyraźnych kłębów wyłoniła się twarz pozbawiona choćby krztyny uśmiechu, posępna twarz o płonących gniewem oczach.

- Manning! - zaskrzeczał Wilson. - Manning! - Odwrócił się i rzucił się do drzwi, ale szara postać również zaczęła się przemieszczać niewiarygodnie szybko, jakby była poruszana przez wiatr oparem, i zagroziła mu drogę do wyjścia.

- Dlaczego uciekasz? - drwił głos Manninga. - Nie boisz mnie się chyba?

- Posłuchaj, nie myślałem wtedy, co robię - jęknął Wilson. - Po prostu miałem dość harówki, do której zmuszał mnie Page. Dość marnej pensji, jaką mi płacił. Chciałem pieniędzy. Pragnąłem ich.

- I sprzedałeś nas - powiedział Manning.

- Nie - zawołał Wilson. - Nie myślałem o tym w ten sposób. Nie przemyślałem tego.

- W takim razie przemyśl to sobie teraz - powiedział posępnym głosem Manning. - Przemyśl to. Gdziekolwiek będziesz, dokądkolwiek się udasz, cokolwiek zrobisz, zawsze będę cię obserwował i nie pozwolę ci odpocząć. Nie dam ci nawet chwili spokoju.

- Proszę, odejź i zostaw mnie - błagał Wilson. - Proszę, oddam ci te pieniądze... jeszcze trochę zostało.

- Sprzedałeś nas za dwadzieścia tysięcy - powiedział Manning. - Mogłeś dostać dwadzieścia milionów. Chambers zapłaciłby tyle za to, co mogłeś mu powiedzieć, bo było warte nawet dwadzieścia miliardów.

Wilson dyszał płytko. Zrzucił płaszcz i cofnął się. Trafił kolanami na

krzesło i usiadł ciężko, nadal wpatrując się w szarą mgiełkę, z której przemawiał do niego człowiek.

- Pomyśl tylko, Wilson - ciągnął Manning szyderczym głosem. - Mogłeś być milionerem. Może nawet miliarderem. Mogłeś mieć wszystkie te wspaniałe rzeczy, które mają inni. Ale dostałeś tylko dwadzieścia tysięcy.

- Co mogę zrobić? - błagał Wilson.

Mglista twarz rozchyliła się w sardonicznym uśmiechu.

- Nie sądzę, żebyś mógł jeszcze coś zrobić.

Twarz rozwiała się przed oczami Wilsona, straciła rysy, wydawała się topnieć. Pozostały wirujące smugi mgły, potem zjawisko słabej refrakcji w powietrzu, wreszcie nic.

Wilson wstał powoli, sięgnął do stołu po butelkę whisky. Dłoń trzęsała mu się tak, że rozlewał alkohol. Kiedy nadal trzęsącą się dłonią podniósł szklankę do ust, połowę drinka wylał na białą koszulę.

Rozdział dziewiąty

Ludwig Stutsman zacisnął wąskie, proste wargi.

- A więc tak wygląda sytuacja - powiedział.

Spencer Chambers studiował go zza biurka. Stutsman przypominał wilka, okrutnego i złośliwego. Ze szczupłą, pociągłą twarzą, małymi, paciorkowatymi oczami i bladymi, wąskimi wargami przypominał wilka nawet z wyglądu. Był jednak człowiekiem, który nie zawsze czekał na instrukcje, ale działał, używając własnego osądu. A na swój bezwzględny sposób, jego osąd zawsze był trafny.

- Do drastycznych środków, które tak bardzo lubisz, możesz odwołać się tylko w ostateczności – ostrze gł Chambers. - Zawsze możemy zastosować je, gdyby okazało się to konieczne. Jednak jeszcze nie teraz. Chcę to załatwić możliwie najciszej. Page i Manning nie należą do ludzi, którzy mogliby tak po prostu zniknąć. Ogłoszono by poszukiwania, dochodzenie, sytuacja zrobiłaby się nieładna.

- Rozumiem - przytaknął Stutsman. - Coś mogłoby stać się z ich notatkami, ktoś mógł je na przykład znaleźć. Na przykład pan. Mógłby je pan znaleźć pewnego dnia na swoim biurku.

Obaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem, bardziej jak wrogowie, niż pracujący dla wspólnego celu ludzie.

- Nie na moim - uciął Chambers. - Na biurku Cravena. Żeby umożliwić mu odkrycie tej nowej energii. Wszystkie odkrycia Cravena należą do MSE.

Chambers wstał i podszedł do okna, wyglądając na zewnątrz. Po chwili, odwrócił się i wrócił do fotela. Oparłszy się w nim, złożył czubki palców i w uśmiechu błysnął spod wąsów zębami.

- Nie wiem o niczym, co robicie - powiedział. - Nie wiem nawet, czy ktoś odkrył energię materii. To już zależy od Cravena. To on musi ją odkryć. I

pan, i Craven pracujecie sami. Nie wiem o żadnym z was.

Stutsman zacisnął szczęki jak stalową pułapkę.

- Zawsze pracowałem sam.

- A tak przy okazji, jak stoją sprawy w Konfederacji Jowisza? - zapytał Chambers, łagodniejszym nagle tonem. - Ufam, że zostawił pan wszystko w należyтым porządku.

- Jak tylko można było tego oczekiwać - odparł Stutsman. - Ludność wciąż jest niespokojna, częściowo zbuntowana. Wciąż pamiętają Mallory'ego.

- Ale Mallory jest na statku więziennym - zaproponował Chambers. - W tej chwili, jak mi się wydaje, w pobliżu Merkurego.

Stutsman pokręcił głową.

- Wciąż go pamiętają. Pewnego dnia czekają nas tam rozruchy.

- Wolałbym, żeby do tego nie doszło - zauważył łagodnie Chambers. - Naprawdę byłoby szkoda. Wysłałem pana przecież, żeby dopilnował, aby nic nie zaszło.

- Te rozruchy to nic w porównaniu z tą sprawą, o której pan mówił - uciął Stutsman.

- To także zostawiam w pańskich rękach - odpowiedział Chambers. - Wiem, że potrafi pan się tym zająć.

Stutsman wstał.

- Potrafię.

- Byłem tego pewny - powiedział Chambers.

Wciąż stał, przyglądając się drzwiom, przez które wyszedł Stutsman. Może ściągnięcie go z Kallisto było jednak błędem. Może błędem było samo posługiwanie się nim. Nie podobało mu się mnóstwo spraw, których dopuszczał się ten człowiek, albo sposób, w jaki je załatwiał. Brutalny sposób.

Chambers usiadł powoli. Jego rysy stężały.

Stworzył międzyplanetarne imperium. Tego nie można było osiągnąć

łagodnymi metodami, nie wiedząc do czego się dąży. Walcząc o każdą planetę cal po calu, zdobywał władzę dzięki energii. Teraz zaś to imperium było zagrożone przez dwóch ludzi, którzy odkryli większą moc. Tę groźbę trzeba było zgnieść! I zostanie zgnieciona!

Chambers pochylił się naprzód i nacisnął brzęczyk.

- Tak, panie Chambers? - odezwał się głos w inter-komie.

- Przyślijcie do mnie doktora Cravena - polecił Chambers.

Craven wszedł niezdarnie, z rozczochranymi włosami, spoglądając zza okularów o grubych szklach.

- Wzywał mnie pan - warknął, sięgając po krzesło.

- Zgadza się - powiedział Chambers. - Może drinka?

- Nie. Cygara też nie.

Chambers wyjął długie cygaro z pudełka na biurku, przyciął koniec i obracał nim w ustach.

- Jestem zajęтым człowiekiem - przypomniał mu Craven.

Oczy Chambersa otoczyły ściągnięte zmarszczki rozbawienia, kiedy przyglądał się Cravenowi, paląc.

- Rzeczywiście wydaje się pan zajęty, doktorze - powiedział. - Szkoda tylko, że nie ma pan dla mnie żadnych konkretów.

Naukowiec zjeżył się.

- Może będę miał za kilka dni, o ile da mi pan spokój i pozwoli pracować.

- Zakładam, że wciąż pracuje pan nad kolektorem promieniowania. Jakies postępy?

- Niewielkie. Nie może pan oczekiwać, że będę odkrywał coś na rozkaz. Pracuję już właściwie dniami i nocami. O ile w ogóle można rozwiązać ten problem, dokonam tego.

Mina Chambersa pojaśniała.

- Tak trzymać. Chciałem jednak porozmawiać z panem o Czymś innym. Słyszał pan pewnie, że straciłem kupę forsy na giełdzie w Ranthoor.

Craven wykrzywił wargi w sardonicznym uśmiechu.

- Obiło mi się o uszy.

- Tak też myślałem - powiedział kwaśno Chambers.

- W przeciwnym wypadku byłby pan jedynym czło wiekiem, który nie słyszał o tym, jak Ben Wrail oszwabił Chambersa.

- A więc naprawdę pana załatwił - stwierdził Craven.

- Myślałem, że może to tylko jakaś zmyślona historyjka.

- Tak, oszukał mnie, ale nie to mnie martwi. Chcę wiedzieć, jak to zrobił. Żaden człowiek, nawet najbystrzejszy badacz rynku, nie potrafiłby przewidzieć trendów rynku tak, jak on to robił. A Wrail nie jest bardzo przenikliwy. Kiedy ktoś, kto zawsze grał ostrożnie, zacina nagle wywracać giełdę do góry nogami, nie wygląda to naturalnie. A wygląda jeszcze mniej naturalnie, gdy ten ktoś nigdy się nie myli.

- Czy pan chce, żebym coś w tej sprawie zrobił? -zapytał Craven. - W życiu nie posiadałem żadnych akcji. Jestem naukowcem.

- W tej sprawie jest coś, co może pana zainteresować - powiedział gładko rozparty w fotelu Chambers, pykając cygaro. - Wrail jest bliskim przyjacielem Manninga. Na dodatek Wrail nie miał pieniędzy potrzebnych do zawarcia tych transakcji. Ktoś mu je zapewnił.

- Manning? - zapytał Craven.

- A jak pan sądzi?

- Jeśli Manning maczał w tym palce, to nic nie zrobimy - powiedział kwaśno Craven. - Pan łączy w sobie geniusz i pieniądze. Manning to niezgorszy naukowiec, a Page jest od niego jeszcze lepszy. To udany tandem.

- Myśli pan, że są dobrzy? - zapytał Chambers.

- Dobrzy? A nie odkryli energii materii? - naukowiec Spiorunował pracodawcę wzrokiem. - Już to samo wystarczy za odpowiedź.

- Tak, wiem - zgodził się rozdrażniony Chambers. - Ale może mi pan powiedzieć, w jaki sposób dokonali tego przekrętu na giełdzie?

Craven skrzywił się.

- Mogę się domyślać. Chłopcy nie poprzestali na odkryciu sposobu

ujarzmienia energii materii. Prawdopodobnie odkryli więcej, niż może się pan choćby domyślać. Proszę pamiętać, że kiedy dokonali swojego odkrycia, pracowali z polami siłowymi, a wciąż niewiele o nich wiemy. Bawiąc się nimi, można spodziewać się niemal wszystkiego.

- Do czego pan zmierza?

- Zgadywałbym, że posiadają nowy rodzaj telewizji, który działa w czwartym wymiarze, wykorzystując czynnik czasu. Mogłaby przeniknąć przez wszystko. Nic by jej nie zatrzymało. Docierałaby wszędzie, z wielokrotnością prędkości światła, prawie bez opóźnienia.

Chambers wyprostował się w fotelu.

- Jest pan tego pewien?

Craven pokręcił głową.

- Tylko zgaduję. Próbowałem dojść do tego, co zrobiłbym na miejscu Page'a i Manninga, dysponując tym, co oni. To wszystko.

- I co by pan zrobił?

Craven uśmiechnął się ponuro.

- Użyłbym tej telewizji w tym właśnie biurze - powiedział. - Cały czas obserwowałbym pana i siebie. Jeśli moje domysły są prawdziwe, Manning obserwuje nas w tej chwili i słyszy każde nasze słowo.

Twarz Chambersa zmieniła się w srogą, gniewną maskę.

- Nie wierzę, że to możliwe!

- Doktor Craven ma rację - powiedział cichy głos.

Chambers okręcił się w fotelu i wciągnął powietrze.

Tuż przed jego biurkiem stał Greg Manning.

- Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko tej wizycie - powiedział Greg. - Już od jakiegoś czasu mam chęć na pogawędkę z panem.

Craven zerwał się z fotela z błyskiem w oku.

- Trójwymiarowy obraz! - wyszeptał. - Jak pan to zrobił?

Greg zachichotał.

- Nie opatentowałem jeszcze pomysłu, doktorze. Wolałbym jeszcze tego

nie zdradzać.

- Ale przyjmie pan moje gratulacje? - spytał Craven.

- To piękny gest z pańskiej strony. Nie oczekiwałem aż tyle.

- Naprawdę chciałbym panu pogratulować - powiedział Craven. - Niech mnie diabli, jeśli myślę inaczej.

Chambers wstał i wyciągnął dłoń, pochylając się nad biurkiem. W odpowiedzi, Greg wyciągnął powoli prawą dłoń.

- Przykro mi, ale nie możemy naprawdę uścisnąć sobie dłoni - powiedział.

- Rozumie pan, nie jestem tu tak naprawdę obecny. To tylko mój obraz.

Chambers opuścił dłoń.

- Głupio, że nie zdałem sobie z tego sprawy. Wyglądał pan tak naturalnie. A zatem obserwował mnie pan? - Chambers gładził siwy wąs. Wargi wykrzywił mu uśmiech.

- Od czasu do czasu - powiedział Greg.

- A co jest powodem tej wizyty? - zapytał Chambers. - Pozostając niewidzialnym, zachowałby pan wyraźną przewagę. Wie pan, nie do końca wierzyłem w to, co mówił Craven.

- Nie o to chodzi - stwierdził Greg. - Może uda nam się porozumieć.

- A więc dojrzał pan do rozmowy o interesach.

- Nie w tym znaczeniu, jakie ma pan na myśli - powiedział Greg. - Nie zamierzam iść na ustępstwa, ale nie widzę powodu, dla którego musielibyśmy walczyć.

- Rzeczywiście, nie ma takiego powodu - stwierdził Chambers. - Z chęcią odkupię pańskie odkrycie.

- Nie zamierzam go panu sprzedawać - odpowiedział Greg.

- Czyżby? Dlaczego nie? Jestem gotów zapłacić.

- Zgadza się, zapłaciłby pan. Ile bym tylko zażądał, nawet gdyby doprowadziło to pana do ruiny. Potem wrzuciłby to pan w kosza i odłożył energię materii na półkę. A chce pan wiedzieć dlaczego?

W biurze panowało przerażające milczenie, kiedy obaj mężczyźni

mierzili się wzrokiem przez biurko.

- Nie wykorzystaliby jej pan, ponieważ uwolniłaby planety z pańskiego uścisku - ciągnął Greg. - Sprawiałaby, że energia stałaby się zbyt tania, eliminując zapotrzebowanie na pańskie ogniwa energetyczne. Mars i satelity Jowisza stanęłyby mocno na własnych na nogach, nie potrzebując przesyłanej im przez pana energii. Mógłby pan w legalny sposób zbić miliardy dochodu, sprzedając aparaturę do wytwarzania energii... ale tego chciałby pan uniknąć. Chce pan stać się dyktatorem Układu Słonecznego. I temu właśnie zamierzam zapobiec.

- Posłuchaj, Manning - powiedział Chambers. - Jesteś rozsądnym człowiekiem. Porozmawiajmy o sprawie bez emocji. Co planujesz zrobić?

- Mógłbym wprowadzić na rynek moje silniki zasilane energią materii - powiedział Greg. - To doprowadziłoby pana do ruiny. Nie sprzedałby pan potem nawet jednego ogniwa, a akcje MSE okazałyby się nie warte papieru, na którym je wydrukowano. Energia materii mogłaby cię zniszczyć.

- Zapominasz, że mam franszyzę na te planety - przypomniał mu Chambers. - Ciągałbym cię po sądach, aż do sądowego dnia.

- Dowiodłbym wygody, ekonomii i potrzeby naszego wynalazku. Rację przyznałyby mi wszystkie sądy na wszystkich światach.

Chambers pokręcił głową.

- Nie na Marsie czy na Jowiszu. Zleciłbym rozstrzygnięcie na moją korzyść, a sądy poza Ziemią robią, co im każe.

Greg wyprostował się i cofnął od biurka.

- Nie mam ochoty pana zrujnować. Ciężką pracą stworzył pan wielką firmę. W zamian za obietnicę zachowania neutralności, wstrzymałbym się z ogłoszeniem naszego odkrycia, żeby dać panu czas na wycofanie się i uratowanie wszystkiego, co się da.

Na twarz Chambersa wystąpiła zimna furia.

- Nigdy nie uda ci się zbudować silnika na energię materii poza laboratorium. Nie martw się o mój majątek. Nie pozwolę ci stanąć mi na

przeszkodzie. Mam nadzieję, że to rozumiesz.

- Aż nazbyt dobrze. Ale choć na Marsie i Wenus jest pan dyktatorem, choć należą do pana Merkury i rządy Konfederacji Jowisza, dla mnie jest pan tylko człowiekiem. Człowiekiem, który opowiada się za sprawami, które nie podobają mi się.

Greg urwał. Oczy lśniły mu jak lodowe kryształy.

- Wczoraj rozmawiał pan ze Stutsmanem - powiedział. - Na pańskim miejscu, nie pozwoliłbym mu na żadne pochopne działania. Możemy uznać z Russem Page'em, że powinniśmy się bronić.

Głos Chambersa był podszyty drwiną:

- Czy mam to uznać za wypowiedzenie wojny, panie Manning?

- Niech pan to uznaje, za co tylko chce - odpowiedział Greg. - Przyszedłem tu złożyć panu propozycję, a pan powiada mi, że mnie zniszczy. Powiem panu tylko tyle, Chambers: jeśli szykuje się pan, by mnie zniszczyć, niech pan lepiej poszuka sobie głębokiej i ciemnej kryjówki. Ponieważ wszystko, co pan we mnie rzuci, oddam w dwójnasób.

Rozdział dziesiąty

- Cały czas jeden z nas będzie musiał czuwać - powiedział Russowi Greg.
- Nie możemy ryzykować. Prędzej czy później Stutsman spróbuje dotrzeć do nas. Musimy być na to gotowi.

Zerknął na nowy ekran radaru, który ustawili tego rana obok szeregu innych przyrządów. Każdy statek, który pojawiłby się w promieniu stu mil od laboratorium, zostałby natychmiast wykryty i namierzony z maksymalną dokładnością.

Tablica właśnie rozbłysła. Na ekranie zobaczyli pędzący w stronę położonego na południu lotniska wielki statek pasażerski.

- Tak blisko lotniska będziemy odbierać całe mnóstwo sygnałów - stwierdził.

- Kazałem belgijskiej stoczni przyspieszyć prace nad statkiem, ale i tak potrwają jeszcze parę tygodni - powiedział Greg. - Musimy po prostu siedzieć i czekać. Kiedy tylko będziemy mieli statek, zaczniemy rozgrywkę z Chambersem, ale do tej pory, musimy utrzymać pozycję i bronić się.

Studiował wzrokiem ekran. Statek wyrównał właśnie i wchodził do portu. Odwrócił wzrok od radaru, obejmując spojrzeniem zatłoczone masą maszynerii laboratorium.

- Co do Chambersa, nie wolno nam się oszukiwać - powiedział. - Może na Ziemi nie ma takiej władzy, jak na innych planetach, ale i tak ma jej mnóstwo. Gdyby postawić się na jego miejscu, spróbuje nas teraz pospiesznie wykończyć.

Russ sięgnął do stojącego obok przyrządów stołu i podniósł z niego mały, skomplikowany mechanizm, zaopatrzony w dziewięć zegarów, z których trzy wyraźnie coś wskazywały, pozostałe spoczywały bez ruchu.

- Co to takiego? - zapytał Greg.

- Automatyczny detektyw - powiedział Russ. - Coś w rodzaju mechanicznego cienia. Zbudowałem ich kilka, kiedy zajmowałem się tym przekrętem na giełdzie. Mam aparat dla Wilsona, dla Chambersa i jeszcze jeden dla Cravena. - Podniósł i opuścił trzymane w dłoni urządzenie. - Ten pilnuje Stutsmana.

- Cień? - zapytał Greg. - Chcesz powiedzieć, że to coś potrafi wysledzić Stutsmana?

- Nie tylko - powiedział Russ. - To urządzenie znajdzie go, gdziekolwiek będzie. Każdy nosi przy sobie lub na sobie jakiś przedmiot wykonany z żelaza lub innego metalu o właściwościach magnetycznych. Ten aparat mieści w sobie drobny okruch tego śmiesznego odznaczenia wojskowego, z którym Stutsman się nie rozstaje. Znajdź ten medal, a znajdziesz Stutsmana. Inny zawiera odprysk sprzączki z paska Wilsona - wiesz tej pamiątki z uczelni, z której jest tak dumny. Kolejna maszyna ma w sobie przynętę z żelaza z meteorytu z sygnetu Chambersa. W maszynie przeznaczonej dla Cravena umieściłem odłamek jego okularów. Łatwo było to wszystko zdobyć. Nasze pole pozwala na przechwycenie wszystkiego, czego tylko zapragniesz, od masywnej maszyny po mikroskopijną cząstkę materii. Zdobycie potrzebnych nam rzeczy to pestką.

Russ zachichotał i odstawił maszynę na stół. Wskazał ją gestem.

- Maszyna podtrzymuje niewielkie pole podobne do naszego pola telewizyjnego - wyjaśnił. - Zmodyfikowałem je jednak według specjalnej derywacji z wynikiem w skali magnetycznej. Potrafi wysledzić i odnaleźć źródło pochodzenia każdej włożonej do środka substancji metalicznej.

- Sprytne - zauważył Greg.

Russ zapalił fajkę, pykał z zadowoleniem.

- Potrzebowaliśmy czegoś takiego.

Na tablicy ożyło i zamrugało czerwone światelko. Russ sięgnął do przełącznika, przekręcił go, obrócił zegary. To tylko kolejny statek pasażerski. Uspokoili się, choć niezbyt mocno.

- Ciekawe, co też on knuje - powiedział Russ.

Samochód Stutsmana zatrzymał się w dokach Nowego Jorku. W mroku wznosiły się mrocznie jak ponure duchy niszczące nabrzeża i stare, walące się magazyny, porzucone i opuszczone od czasów, gdy po oceanie żeglował ostatni statek, zanim ustąpił pola powietrznemu transportowi towarów.

Stutsman wysiadł z samochodu i powiedział;

- Zaczekaj tutaj.

- Tak jest, proszę pana - odpowiedział głos kierowcy.

Stutsman odszedł sprężystym krokiem w dół ciemnej ulicy. Nadajnik dotrzymywał mu kroku. Na ekranie był widoczny jako ciemniejszy kształt przemieszczający się wśród cieni tej starej, prawie zapomnianej części największego miasta Układu Słonecznego.

Z mroku ulicy wyłonił się inny cień, podszedł do Stutsmana.

- Proszę pana - powiedział jęczącym głosem. - Nie jadłem...

Zauważyli szybki ruch. Stutsman uderzył łaską. Kiedy zetknęła się z głową drugiego cienia, rozległo się głuchoe stuknięcie. Cień skulił się na chodniku. Stutsman ruszył dalej.

Greg wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby.

- Nie jest dziś szczególnie towarzyski.

Stutsman skręcił w alejkę, w której zalegał jeszcze głębszy mrok. Russ, przekręcił delikatnie stery, posyłając nadajnik za nim, zbliżył się do Stutsmana, nie chcąc stracić go z oczu ani na chwilę.

Mężczyzna skręcił nagle w wejście tak czarne, że nie było widać nic. Z ekranu dochodziło silne, niecierpliwe stukanie uderzającego łaską o drzwi Stutsmana.

Nad wejściem zapłonęło nagle jasne oświetlenie, ale Stutsman pukał dalej, zdając się go nie zauważać. Kolory na ekranie były dziwnie zniekształcone.

- Ultrafiolet - sapnął Greg. - Ten, kogo odwiedza, chce się dobrze przyjrzeć gościom, zanim ich wpuści.

Drzwi otworzyły się skrzypiąc i na ulicę wypadła smuga zwykłego

światła, zmieniając mrok w bladą żółć.

Stutsman wszedł do środka.

Mężczyzna przy drzwiach zarzucił głową.

- Na zapleczu - powiedział.

Nadajnik prześliznął się w ślad za Stutsmanem przez drzwi do oświetlonego pomieszczenia. Na boazerii i podłogach zalegała gruba warstwa kurzu. Tynk odpadł wielkimi kawałami. Podłogę przecinały bruzdy znaczące trasę, którą z całkowitym lekceważeniem podłogi przesuвано ciężkie meble. Ze ścian zwisała w strzępach tania tapeta, poznaczona smugami wody z jakiejś pękniętej rury.

Pomieszczenie na zapleczu okazało się zdumiewająco odmienne od pierwszego. Wypełniały je drogie, wygodne meble. Podłogę pokrywał stalowy dywan, a ściany okrywały barwne stalowe zasłony.

Pod lampą, czytając gazetę, siedział jakiś człowiek. Uniósł się nagle jak rozwijająca się sprężyna.

Russ wstrzymał oddech. Ta twarz była jedną z naj lepiej znanych w całym Układzie Słonecznym. Szczurza twarz, z rysującą się na niej okrutną przebiegłością, goszcząca często na pierwszych stronach gazet i ekranach telewizyjnych, choć nigdy nie pobierała za to zapłaty.

- Scorio! - szepnął Russ.

Greg przytaknął i zacisnął mocno wargi.

- Stutsman - powiedział Scorio, zdziwiony. - Jesteś ostatnią osobą, której bym się spodziewał. Wejdz. Usiądź. Rozgość się.

Stutsman parsknął.

- To nie jest wizyta towarzyska.

- Tak też myślałem - odpowiedział gangster. - Mimo wszystko, usiądź.

Stutsman usiadł ostrożnie na krawędzi krzesła, pochylając się do przodu. Scorio usiadł ponownie i czekał.

- Mam dla ciebie robotę - powiedział bezpośrednio Stutsman.

- Świetnie. Nieczęsto się to zdarza. Ostatni raz jakieś trzy, cztery lata

temu, prawda?

- Mogą nas obserwować - ostrzegł Stutsman.

Gangster zerwał się z fotela, strzelając wzrokiem po pokoju.

Stutsman chrząknął z niesmakiem.

- Jeśli nas obserwują, nic na to nie poradzimy.

- Nic nie poradzimy, co? - warknął gangster. - Dlaczego nie?

- Ponieważ obserwator jest poza naszym zasięgiem, na Zachodnim Wybrzeżu. Jeśli nas obserwuje, widzi każdy nasz ruch, słyszy każde nasze słowo.

- Kto to?

- Greg Manning albo Russ Page - powiedział Stutsman. - Słyszałeś o nich?

- Jasne. Słyszałem.

- Stworzyli nową telewizję, dzięki której widzą i słyszą wszystko, co dzieje się na Ziemi, a może nawet w całym Układzie Słonecznym - powiedział Stutsman. - Ale nie wydaje mi się, żeby nas teraz obserwowali. Craven zbudował maszynę, która potrafi wykryć ten ich nadajnik. Rejestruje pewne efekty wykorzystywanego przez nich pola. Nie obserwowali nas, kiedy parę minut temu wychodziłem z laboratorium Cravena. Może zaczęli mnie śledzić później, ale nie wydaje mi się, żeby tak było.

- A więc Craven zbudował wykrywacz - powiedział spokojnym głosem Greg. - Wie, kiedy go obserwujemy.

- Spryciarz - zgodził się Russ.

- Sprowadź zaraz tę maszynę - przynaglał Scorio. - Sprawdź, czy jesteśmy obserwowani. Nie trzeba było tu przychodzić. Mogłeś dać mi znać, a ja gdzieś bym się z tobą spotkał. Nie mogę pozwolić, żeby ktoś poznał moją kryjówkę.

- Uspokój się - uciął Stutsman. - Nie mam tej maszyny przy sobie. Waży pół tony.

Scorio zapadł głębiej w fotel, zmartwiony.

- Chcesz zaryzykować i porozmawiać o interesach?

- Oczywiście. Dlatego tu jestem. Oto moja propozycja. Manning i Page pracują w górskim laboratorium na Zachodnim Wybrzeżu. Dokładne położenie podam ci później. Mają tam pewne potrzebne nam dokumenty. Nie zaszkodziłoby, gdyby przy okazji coś się stało w samym laboratorium. Mogłoby na przykład wybuchnąć. Ale przede wszystkim zależy nam na tych papierach.

Scorio milczał. Minę miał spokojną i przebiegłą.

- Dasz mi je, a ja zadbam o to, żebyś dostał się na wybraną przez siebie planetę - powiedział Stutsman. - Dołożę też dwieście tysięcy w obligacjach MSE. Dostarcz mi dowód, że laboratorium wybuchło, stopiło się czy też stało się tam coś innego, a podniosę tę sumę do pięciuset tysięcy.

Scorio nawet nie drgnął.

- Dlaczego nie każesz załatwić tego komuś z własnej ferajny? - zapytał.

- Ponieważ nie mogę być z tą sprawą w żaden sposób powiązany — powiedział Stutsman. - Jeśli nawalisz i coś się stanie, nie będę mógł nic dla ciebie zrobić. Dlatego cena jest tak wysoka.

Gangster zmrużył oczy w szparki.

- Jeśli te papiery są tyle dla ciebie warte, dlaczego nie miałyby być cenne dla mnie?

- Dla ciebie nie byłyby warte miedziaka.

- Dlaczego nie?

- Ponieważ nie potrafiłbyś ich przeczytać - powiedział Stutsman.

- Potrafię czytać - odciął się gangster.

- Nie w języku, w jakim są napisane. W całym Układzie Słonecznym są może niespełna dwa tuziny ludzi, którzy potrafiliby je przeczytać, może tuzin, którzy potrafiliby je zrozumieć, i pół tuzina takich, którzy potrafiliby wykonać wskazówki w nich. - Pochylił się do przodu i dźgnął gangstera palcem. - A tylko dwóch ludzi w całym Układzie potrafiłoby je zapisać.

- Cholera, co to za język, który potrafią przeczytać tylko dwa tuziny ludzi?

- Tak naprawdę to nie język. To matematyka.

- Ach, arytmetyka.

- Nie, matematyka - powiedział Stutsman. - Widzisz? Nawet nie potrafisz ich odróżnić, więc na co byłyby ci te papiery?

Scorio przytaknął.

- No tak, masz rację.

Rozdział jedenasty

Gigantyczny statek ekspresowy Paryż-Berlin toczył się z grzmotem przez noc, lecąc wysoko nad Ziemią. Daleko w dole widać było przyćmione światła wschodniej Europy.

Harry Wilson przycisnął twarz do okna, spoglądając w dół. Widać było tylko małe światła. Byli sami, on i pozostali pasażerowie statku... sami w otaczającej ich ciemności.

Jednak Wilson wyczuwał na statku jeszcze jakąś obecność, kogoś poza pilotem i mechanikami na dziobie, poza stewardesą i trzema nudnymi podróżnymi, którzy byli jego współpasażerami.

Włosy u podstawy czaszki nastroszyły mu się, zamrowiły nieznanym, wstrząsającym lękiem.

- A więc uciekasz, Harry Wilson! - szepnął mu do ucha jakiś głos.

Zwyczajny, cichy, ledwie słyszalny głos, który zdawał się dochodzić równocześnie z bardzo daleka i bardzo bliska. Zabarwiony nutą chłodu głos, którego nigdy by nie zapomniał.

Skulił się, jęcząc, w siedzeniu.

Głos odezwał się znowu:

- Czy nie mówiłem, że nie zdołasz uciec? Że znajdę cię, gdziekolwiek pójdziesz?

- Odejdź - wyszeptał chrapliwie Wilson. - Daj mi spokój. Dość tego prześladowania!

- Nie - odpowiedział głos. - Nie dość. Jeszcze nie. Zdradziłeś nas. Ostrzegłeś Chambersa o naszym odkryciu, a on wysłał teraz ludzi, żeby nas zabili. Ale nie uda im się, Wilson.

- Nie możesz mnie skrzywdzić - powiedział Wilson wyzywającym tonem.
- Możesz tylko do mnie mówić. Próbujesz wpędzić mnie w obłąd, ale nie uda

ci się. Nie pozwolę ci na to. Nie będę więcej zwracał na ciebie uwagi.

Głos zachichotał.

- Nic mi nie zrobisz - perorował zawzięcie Wilson. -Możesz tylko do mnie mówić. Zawsze robiłeś tylko tyle. Wypędziłeś mnie z Nowego Jorku i z Londynu a teraz z Paryża. Ale na Berlinie się skończy. Nie będę cię więcej słuchał.

- Zajrzyj do torby, Wilson - szepnął głos. - Do tej torby, w której nosisz te pieniądze. Ten stosik obligacji. Prawie jednaście tysięcy dolarów, tyle zostało z dwudziestu tysięcy, które zapłacił ci Chambers.

Wilson szarpnął z dzikim okrzykiem za torbę, otworzył ją gwałtownym ruchem, zaczął w niej gmerać.

Obligacje zniknęły!

- Zabrałeś moje pieniądze - zaskrzeczał. - Zabrałeś wszystko, co miałem. Nie mam ani centa. Nic, o-prócz paru dolarów w kieszeni.

- Ich też już nie masz, Wilson - szepnął głos.

Rozległ się odgłos rozdieranej tkaniny, kiedy jakaś wielka, potężna dłoń odchyliła płaszcz Wilsona i rozerwała wewnętrzną kieszeń. Ujrzał przelotnie portfel i plik papierów, które rozplynęły się w powietrzu.

W jego stronę pędziła stewardesa.

- Czy coś się stało?

- Zabrali... - zaczął Wilson i urwał.

Co mógł jej powiedzieć? Że został okradziony przez człowieka znajdującego się po drugiej stronie kuli ziemskiej?

Trzej podróżni przyglądali się mu.

- Przepraszam panią - wyjąkał. - Naprawdę. Zasnąłem i coś mi się przyśniło.

Usiadł ponownie, wstrząśnięty. Drżąc, wtulił się znowu w kąt swojego siedzenia. Badał dłońmi rozdartą kieszeń płaszcza. Utknął, zawieszony w powietrzu, gdzieś między Paryżem a Berlinem... utknął bez pieniędzy, bez paszportu, mając tylko ubranie na sobie i kilka przedmiotów osobistych w

torbie.

Starając się uspokoić, próbował przemyśleć swoje położenie. Samolot wlatywał właśnie nad terytorium Federacji Środkowoeuropejskiej, a z pewnością nie było to miejsce, w którym można by nie mieć paszportu. Przez myśli przemknęło mu tysiąc możliwości. Mogli go wziąć za szpiega. Mógł zostać zatrzymany za nielegalne przekroczenie granicy. Mogła go zgarnąć tajna policja.

Groza przysiadła mu na ramieniu, szepcząc do ucha. Zadrżał gwałtownie i wcisnął się głębiej w róg siedzenia. Zacisnął dłonie, uderzył nimi o skulone kolana.

Skontaktuje się z przyjaciółmi w Ameryce i poprosi, żeby potwierdzili jego tożsamość i poręczyli za jego charakter. Pożyczy od nich trochę pieniędzy, tyle żeby wrócić do Ameryki. Ale do kogo zatelegrafuje? Z bolesną goryczą w piersi, Harry Wilson uświadomił sobie z potworną wyrazistością, że na całym świecie, w całym Układzie Słonecznym, nie było choćby jednej osoby, którą mógłby nazwać przyjacielem. Nie miał kto mu pomóc.

Schował głowę w dłoniach i łkał. Ramiona drgały mu spazmatycznie, szloch wstrząsał jego ciałem.

Podróżni wpatrywali się w niego, nie mogąc zrozumieć. Stewardesa przybrała wyraz energicznej bezradności. Wilson wiedział, że wyglądał jak przerażony głupiec, ale nie dbał o to.

Naprawdę był przerażony.

Gregory Manning przrzucił plik kredytów, portfel, paszport i inne dokumenty leżące przed nim na biurku.

- To zamyka jedną małą sprawę - powiedział posępnie. - Naszego przyjaciela Wilsona mamy już z głowy.

- Może byłś dla niego trochę nazbyt surowy, Greg - zasugerował Russell Page.

Greg pokręcił głową.

- To zdrajca, najpodlejsza z żywych istot. Sprzedał pokładane w nim zaufanie. Sprzedał coś, czego nie miał prawa sprzedawać. Zrobił to dla pieniędzy, a teraz mu je odebrałem.

Przesunął plik kredytów na bok.

- Teraz, kiedy je mam, nie wiem co z nimi zrobić -powiedział. - Nie chcę ich zatrzymać.

- Może odesłać je Chambersowi? - zaproponował Russ. - Rano znajdzie na biurku paszport i pieniądze. Będzie miał jutro nad czym myśleć.

Rozdział dwunasty

Scorio warknął do czwórki swoich ludzi:

- Macie to załatwić, jak trzeba. Nie chcę żadnej fuszerki. Zrozumiano?

Zwalisty mężczyzna o płaskiej twarzy z blizną na policzku poruszył się niespokojnie.

- Omawialiśmy to z tuzin razy. Wiemy, co robić.

Wyszczrzył się do Scorio zdeformowanym uśmiechem, który przypominał raczej szyderczy grymas. Swego czasu nie udało mu się uniknąć promienia ciepłego, który pozostawił mu na prawym policzku schludną czerwoną linię i urwał końcówkę ucha.

- Dobra, Pete - powiedział Scorio, piorunując go wzrokiem. - Ty zajmujesz się ciężką robotą i po prostu skup się na niej. Bierzesz dwa miotacze i swój sprzęt.

Pete znowu uśmiechnął się krzywo.

- Mój własny sprzęt. Mogę nim otworzyć wszystko.

- Dziś czeka cię sporo roboty - warknął Scorio. - Dwoje drzwi i sejf. Na pewno dasz radę?

- Zostaw to mnie, szefie - warknął Pete.

- Chizzy, ty będziesz pilotował - rzucił Scorio. -

Znasz współrzędne?

- Jasne, na pamięć - powiedział Chizzy. - Dolecę tam z zamkniętymi oczami.

- Lepiej miej je otwarte. Nie może być żadnych błędów. Ta sprawa jest zbyt ważna. Nurkujesz z pełną prędkością i lądujesz na dachu. Zostajesz przy sterach i trzymasz rękę na ciężkim miotaczu, na wypadek jakichś kłopotów. Pete, Max i Reg idą do drzwi. Reg zostaje tam z rozpylaczem i trzema magazynkami.

Obrócił się w stronę Rega.

- Masz amunicję?

Reg kiwnął emfatycznie głową.

- Cztery magazynki - powiedział. - Jeden załadowany magazynek twardej. W zapasie jeszcze jeden magazynek twardej i dwa wybuchowej.

- W każdym magazynku jest tysiąc pocisków, ale starczą tylko na minutę, więc strzelaj krótkimi seriami — uciął Scorio.

- Szefie, strzelając z rozpylacza przez te wszystkie lata, musiałem czegoś się o nich dowiedzieć.

- Jest tam tylko dwóch ludzi i pewnie będą spali - powiedział Scorio. - Zejdziecie z wyłączonym silnikiem. Dach laboratorium jest gruby i ładowanie nie powinno ich obudzić. Ale zachowajcie czujność. Pete i Max przejdą przez drzwi do laboratorium i otworzą sejf. Zgarniecie do worków wszystkie papiery, pieniądze i co tam jeszcze znajdziecie i szybko uciekacie. Wskakujecie do samolotu i startujecie. Kiedy będziecie daleko od budynku, używacie miotaczy. Ma się cały stopić, razem z ludźmi i przedmiotami w środku. Nie zostawcie nawet guzika. Jasne?

- Jasne, szefie - powiedział Pete. Zatarł dłonie.

- Teraz w drogę. Spadajcie.

Czterej mężczyźni odwrócili się i wyszli rzędem z pomieszczenia, przez drzwi prowadzące do zrujnowanego magazynu, w którym stał ukryty metalowy statek o opływowych kształtach. Weszli prędko na pokład. Statek uniósł się delikatnie naprzód, wypadł przez połamany, pozbawiony ram świetlik, wzbijając się ponad połyskujące wieże Nowego Jorku.

Sam w obwieszonym stalowymi zasłonami pomieszczeniu, Scorio zapalił papierosa i zarechotał.

- Nie mają żadnych szans - powiedział.

- Kto nie ma? - zapytał cienki głosik rozlegający się niemal przed nim.

- No, Manning i Page... - powiedział Scorio i urwał. Zapałka wypaliła się i poparzyła mu palce. Upuścił ją. -Kto to powiedział? - ryknął.

- Ja - odpowiedział piskliwy głosik.

Scorio spuścił wzrok. Na biurku na pudełku zapalek siedział trzycalowy człowieczek!

- Kim jesteś? - krzyknął gangster.

- Nie pamiętasz? - powiedział człowieczek. - Jestem Manning, ten którego zamierzasz zabić.

- Do diabła z tobą! - wrzasnął Scorio. Otworzył z ręką szufladę i wyjął z niej miotacz ciepłoty. Uniósł lufę i wystrzelił. Trafienie z ustawionego na najmniejszą średnicę miotacza było zabójcze. Z lufy wypłynęła nie większa od ołówka prosta włócznia płomieni, otoczyła człowieczka, wbiła się w blat stołu. Pudełko zapalek eksplodowało z czerwonym błyskiem, ciemnym na tle błękitnych płomieni miotacza.

Postać człowieczka nadal stała wewnątrz płomienia! Stała tam, machając ręką do Scorio. Piskliwy głosik dobiegał z samego środka wyziewów pistoletu.

- Może się zmniejszę? Trudniej będzie mnie trafić. Zabawa będzie lepsza.

Scorio zdjął palec ze spustu. Płomień zgasł nagle. Z dymiącej jeszcze, wrytej w dębowym blacie bruzdy wdrapywał się mozolnie Greg Manning, nie większy niż cal.

Gangster położył broń na stole, zbliżył się ostrożnie. Uderzył brutalnie potężną dłonią w małą postać.

- A mam cię!

Postać zdawała się jednak przeciekać mu między palcami. Spokojnie zeszła z jego dłoni na stół i zaczęła rosnąć. Obserwujący ją Scorio zobaczył, jak urosła do sześciu cali i zatrzymała się.

- Kim ty jesteś? - sapnął.

- Mówiłem ci - odpowiedział mały obraz. - Jestem Gregory Manning. Człowiek, którego chcesz zabić. Śledziłem każdy twój ruch i znam wszystkie twoje plany.

- Ale to niemożliwe - zaprotestował Scorio. - Przecież ty jesteś teraz na

Zachodnim Wybrzeżu. To jakaś sztuczka. Po prostu mam zwidy.

- Nie masz żadnych halucynacji. Naprawdę jestem z tobą w tym pomieszczeniu. Gdybym chciał, mógłbym zabić cię kiwnięciem palca... może powinienem to zrobić.

Scorio cofnął się o krok.

- Ale nie zrobię - powiedział Manning. - Zaplanowałem dla ciebie coś lepszego. Coś bardziej właściwego.

- Nie możesz mnie dotknąć!

- Patrz - powiedział surowym tonem Manning. Wskazał palcem na krzesło. Krzesło nagle straciło wyrazistość, zmieniło się w smugę kłębiącego się dymu, zniknęło.

Gangster cofnął się, wbijając wzrok w miejsce, z którego zniknęło krzesło.

- Patrz tu - zapiszczał głosik. Scorio odwrócił głowę i spojrzał.

Manning miał krzesło w dłoni. Maleńkie krzesło, ale to samo które przed chwilą zniknęło z pomieszczenia.

- Uwaga! - ostrzegł Manning i cisnął krzesłem. Maleńkie krzesło zdawało się płynąć w powietrzu. Wtem urosło i nabrało prędkości. W ułamku sekundy wróciło do pełnych rozmiarów, mknąc prosto w stronę głowy gangstera.

Ze zdławionym okrzykiem, Scorio zasłonił się rękami. Krzesło uderzyło w niego i przewróciło go na podłogę.

- Teraz mi wierzysz? - zapytał Manning.

Wstając niezgrabnie, Scorio bełkotał jak oszalały, ponieważ sześciocalowa postać zaczęła teraz rosnąć. Osiągnęła wielkość przeciętnego człowieka i rosła dalej, przewyższając go sporo. Brakowało tylko paru cali, żeby sięgnęła głową wysokiego sufitu. Postać wyciągnęła w stronę gangstera potężne ręce.

Scorio próbował odczołgać się na czworakach, skowycząc ze zgrozy.

Wydało mu się, że potężne dłonie chwyciły go i uniosły. Zniknęło pomieszczenie na tyłach magazynu. Zniknęła Ziemia. Znalazł się w miejscu, gdzie nie istniało nic. Ani światło, ani ciepło, ani grawitacja. Przez jedną

palącą chwilę wydawało mu się, że unosi się w osobliwym stanie zawieszzonego istnienia. Potem ze wstrząsem zaczął dostrzegać nowe otoczenie.

Zamrugał oczami i rozejrzał się. Znajdował się w wielkim, wypełnionym olbrzymią aparaturą laboratorium, rozbrzmiewającym ledwie słyszalnym szumem sugerującym ogromną mocą i pachnącym ozonem.

Przed nim stało dwóch ludzi.

Zatoczył się do tyłu.

- Manning! - sapnął.

Manning uśmiechnął się zjadliwie.

- Usiądź, Scorio. Nie będziesz długo czekać. Twoi chłopcy powinni się zjawić łąda chwila.

Chizzy pochylał się nad sterami, ze wzrokiem utkwionym w mapę nawigacyjną. Ciszę na statku zakłócał jedynie wysoki pisk przecinanego powietrza. To i powolne, precyzyjne stukanie kart w rozgrywanej przez Rega i Maxa z zimną, beznamiętną precyzją partyjce.

Samolot leciał blisko stratosfery, z dala od uczęszczanych szlaków powietrznych. Leciał zaciemniony, jedynym źródłem światła było starannie zamaskowane oświetlenie kabiny.

Pete siedział obok Chizzy'ego na fotelu drugiego pilota. Patrzył wprost przed siebie pustym, pozbawionym wyrazu wzrokiem.

- Nie podoba mi się ta robota - poskarżył się.

- Dlaczego? - zapytał Chizzy.

- Page i Manning to nie są faceci, których należałoby drażnić. To nie jakieś tam zwykłe tępaki. Zadrzyj z kimś takim, a wpakujesz się w kłopoty.

Pochylony nad sterami Chizzy warknął na niego z niesmakiem.

Na wprost przed nimi wisiał cienki pasek nienawidzonego Księżyca, rzucający tylko tyle światła, by móc dostrzec ogromne poszarpane bloki gór, jak ciemne, cieniste pociągnięcia pędzla na nowym płótnie.

Pete wzdrygnął się. Coś było w tym słabym, wodnistym świetle księżyca i

tych malowanych wzgórzach...

- Dziwnie to wygląda - powiedział.

- Cholera, mięknie na starość - warknął Chizzy.

Zapadło milczenie. Dalej słyhać było stukanie kart.

- Nie masz się czego bać - powiedział Pete'owi Chizzy. - Ta łajba to najbezpieczniejsze miejsce na świecie. Ma aż za dużo mocy. Prześcignie wszystko, co lata. Jest odporna na promieniowanie, pociski i bomby. Nic nas nie zrani.

Pete nie słuchał.

- Przez to światło księżyca człowiek zaczyna mieć zwidy. Widzi dziwne rzeczy. Nocne obrazy.

- Sfiksowałaś - stwierdził Chizzy.

Pete zerwał się z fotela. Zabułgotał gardłowo. Drżącym palcem wskazywał coś na zewnątrz pośród nocy.

- Patrz! - krzyczał. - Patrz!

Chizzy podniósł się z fotela... i zamarł zdjęty nagle grozą.

Na wprost przed statkiem, widział wyrzeźbioną srebrzystymi liniami księżycowego światła na tle obsypanego gwiazdami nieba ponurą przerażającą twarz.

Wielką i twardą jak góra.

Rozdział trzynasty

Na statku zapadła cisza. Ucichł nawet szept kart. Reg i Max wstali, zaniepokojeni okrzykami Pete'a i Chizzy'ego.

- To Manning! - wrzasnął Pete. - Obserwuje nas!

Dłoń Chizzy'ego wystrzeliła w stronę sterów jak atakujący wąż. Chwyciwszy je, zbladł śmiertelnie. Stery były zablokowane! Opierały się, choć szarpał je z całych sił, a statek wciąż mknął w stronę zawieszanej nad Ziemią szyderczej twarzy.

- Zrób coś! - krzyczał Max. - Zrób coś, cholerny głupcze!

- Nie mogę - jęknął Chizzy. - Nie kontroluję statku.

To zdawało się niemożliwe. Statek był szybki, zwinny i miał rezerwy mocy wykraczające daleko poza wszelkie wyobrażalne potrzeby. Sterowny jak marzenie stanowił szczytowe osiągnięcie awiacji. Nie ulegało jednak wątpliwości, że kontrolę nad statkiem przejęła jakaś siła potężniejsza niż jego silniki i stery.

- To Manning nas dopadł! - zapiszczał Pete. - Przylecieliśmy go załatwić, a to on załatwił nas!

Statek nabierał prędkości. Przenikliwy wizg powietrza na poszyciu stawał się coraz wyższy. Słuchając, można było niemal poczuć i usłyszeć ciąg potężnej mocy, wlekącej go z coraz większą prędkością przez rzadką atmosferę.

Twarz zniknęła z nieba. Został tylko Księżyc. Księżyc i malowane góry daleko w dole.

Wtem statek zwolnił nagle i poszybował w dół, prosto na zębatą piłę gór.

- Spadamy! - krzyknął Max, a Chizzy warknął na niego.

Nie spadali jednak. Statek wyrównał lot i zawisł nad rozkraczonym na szczycie góry laboratorium.

- To laboratorium Manninga - szepnął Pete zdjętym grozą głosem.

Stery poddały się nieoczekiwanie. Chizzy szarpnął mocno za dźwignię sterowania mocą, kierując do silników całą moc szeregu ogniwi, całą rezerwę mocy. Statek szarpnął się, ale nie poruszył. Torturowane silniki jęczały i wyły. Kabinę zalała fala ciepła, duszący smród dymu i gorącej gumy. Od potężnego ciągu silników zaczęła skrzypieć ciężka kratownica ramy... ale statek nadal wisiał nieruchomo nad laboratorium w górach.

Przesunąwszy dźwignię z powrotem, poblady Chizzy odwrócił się. Zaczął macać dłonią w poszukiwaniu miotacza ciepłego. Nagle zatoczył się do tyłu. W kabinie było z nim tylko dwóch ludzi - Reg i Max. Pete zniknął!

- Po prostu zniknął - bełkotał Max. - Stał tu przed nami. Potem nagle zbladł, jakby zmieniał się w dym. A potem zniknął.

Pete'a coś otoczyło. Nie słyszał żadnego dźwięku, nie widział światła, nie czuł ciepła. Stracił poczucie wagi. Zupełnie jakby jego umysł opuścił nagle ciało.

Wzrok, słuch i świadomość wróciły mu, jak włączone światło. Z pozbawionego zdarzeń istnienia i czerni sprzed ułamka sekundy, został wystrzelony w świat światła i dźwięku.

Był to świat pełen poszumu mocy i rozpalonego światła: laboratorium, które wyglądało na zastawione potężnymi rzędami olbrzymiej maszyny, oświetlone wielkimi kulami kremowego światła, rzucającymi światło białe jak blask słońca, a jednak pozbawione cienia jak w pochmurny dzień.

Przed nim stało dwóch przyglądających mu się mężczyzn. Na wargach jednego rysował się lekki uśmiezek, twarz drugiego znaczyły zmarszczki strachu. Uśmiechniętym mężczyzną był Gregory Manning, a tym przerażonym - Scorio!

Pete wyrwał nagłym ruchem miotacz z kabury. Podniósł broń i nacisnął spust, celując w Manninga. Jednak fala przeszywającego ciepła, która opuściła lufę, nawet nie dotarła do Manninga. Wydawało się, że w odległości niecałej stopy uderzyła o jakąś przeszkodę, zmieniając się w podmuch

płonącej jasności, która przeszła ciało gangstera igłami bólu.

Zwolnił spust i broń zwiła mu bezwładnie z dłoni. Jęknął, poczuwszy ból oparzeń na nieosłoniętych dłoniach i twarzy. Bił słabo w biegnące mu po ubraniu maleńkie, pełgające płomienie.

Manning nadal uśmiechał się w jego stronę.

- Nie dosięgniesz mnie, Pete - powiedział. - Zrobisz tylko sobie krzywdę. Jesteś zamknięty za ścianą nieprzemakalnej dla materii mocy.

- Następny będzie Chizzy - odezwał się jakiś głos z kąta pomieszczenia.

Pete odwrócił się i zobaczył po raz pierwszy Russella Page'a. Naukowiec siedział przed wielką tablicą rozdzielczą, szybkimi zręcznymi palcami przemykając po rzędach klawiszy, obserwując przyrządy i zawieszony ukośnie nad panelem sterowania ekran.

Spojrząwszy na ekran, Pete poczuł zawroty głowy. Widział wnętrze statku, z którego został przed chwilą porwany. Widział swoich trzech towarzyszy, którzy rozprawiali z ożywieniem, przerażeni jego zniknięciem.

Oderwał wzrok od ekranu, spojrzał w górę przez świetlik nad sobą. Na tle nieba rysowała się sylwetka wiszącego statku. Metalową konstrukcję trzymały, jak szczęki potężnego imadła, dwie półkule białobłękitnej poświaty.

Wrócił wzrokiem do ekranu, w samą porę, żeby zobaczyć jak znika Chizzy. Zupełnie jak narysowana kredą na tablicy postać, którą ktoś starł nagle gąbką.

Russ przebiegł palcami po klawiszach. Przesunął kciukiem jakąś dźwignię. Rozległ się lekki szum mocy.

Obok niego stanął Chizzy.

Chizzy nie wyciągnął broni. Skomlał i kulił się wewnątrz niewidzialnego pola siłowego.

- Cykor - warknął Pete w jego stronę, ale Chizzy tylko zakrył oczy ramionami.

- Słuchaj, szefie - powiedział Pete, zwracając się do Scorio. - Co ty tu

robisz? Zostawiliśmy cię w Nowym Jorku.

Scorio nie odpowiedział. Piorunował go tylko wzrokiem. Pete zamilkł, obserwując.

Manning stanął przed więźniami, kołysząc się do przodu i do tyłu na piętach.

- Niezły połów jak na jeden wieczór - powiedział do Russa.

Russ uśmiechnął się szeroko i nabił fajkę.

Manning zwrócił się do szefa gangsterów.

- Jak sądzisz, co mamy zrobić z tymi gośćmi? Nie możemy zostawić ich zbyt długo w polu siłowym, bo umrą z braku powietrza. A uwolnić ich nie możemy, ponieważ mogliby użyć broni.

- Posłuchaj, Manning, wymień tylko cenę, jakiej żądasz za naszą wolność

- zgrzytnął ochryple Scorio. -Zrobimy, co tylko zechcesz.

Manning przestał się uśmiechać.

- Nic mi nie przychodzi do głowy. Wydaje się, że po prostu na nic się nam nie przydadacie.

- W takim razie co u diabła zamierzacie z nami zrobić? - spytał trzęsącym się głosem gangster.

- Wiesz, pod pewnymi względami bywam nieco staroświecki — powiedział Manning. — Tak już mam. Po prostu nie podoba mi się idea zabijania ludzi dla pieniędzy. Nie podoba mi się, kiedy ktoś kradnie rzeczy, na które ktoś inny ciężko pracował. Nie lubię złodziei, morderców i korumpujących zarządy miast opry chów, ściągających daninę od każdego mężczyzny, kobiety i dziecka w naszych metropoliach.

- Zrozum, Manning, bylibyśmy dobrymi obywatelami, gdyby dano nam szansę - błagał Scorio.

Manning spojrzał na niego zimnym wzrokiem.

- Wysłałeś tu dziś tych ludzi, żeby nas zabili, prawda?

- No, nie do końca. Stutsman tak jakby chciał, żeby was zabić, ale powiedziałem chłopcom, żeby tylko wyciągnęli rzeczy z sejfu i dali sobie

spokój z zabijaniem. Powiedziałem, że jesteście całkiem fajnymi gośćmi i nie miałem ochoty was sprzątnąć, rozumiesz?

- Rozumiem - powiedział Manning.

Odwrócił się plecami do Scorio i zaczął odchodzić. Szef gangsterów zaczął podnosić się z krzesła, a kiedy to zrobił, Russ wyciągnął palec i przycisnął klawisz. Scorio wrzasnął i uderzył pięściami w mur, który go nagle otoczył. To dotknięcie klawisza na wielkiej tablicy rozdzielczej, które zwolniło pułapkę, było jedynym czynnikiem potrzebnym do stworzenia przygotowanego i czekającego w gotowości pola siłowego.

Manning nie odwrócił się nawet na wrzask Scorio. Szedł powoli wzdłuż szeregu stojących gangsterów. Zatrzymał się przed Pete'em i spojrzał na niego.

- Nawiałeś już z niejednego więzienia, prawda Pete? - powiedział.

- To fakt. W całym Układzie nie ma pudła, w którym mogliby mnie przyskrzynić - pochwalił się Pete.

- Wydaje mi się, że jednak jest - powiedział Greg.

- Takie, z którego nikt jeszcze nie uciekł ani nigdy nie ucieknie.

- Gdzie to jest? - zapytał Pete.

- Flota Wulkana - powiedział Greg.

Pete spojrzał w oczy stojącego przed nim człowieka i dostrzegł w nich zdecydowanie.

- Nie wysyłaj mnie tam! Wszędzie, ale nie tam!

Greg odwrócił się do Russa i skinął głową. Russ odtańczył palcami taniec grozy nad klawiaturą. Kciukiem przesunął jakąś dźwignię w dół. Pięć olbrzymich silników na energię materii zadudniło z rykiem mocy.

Pete zniknął.

Silniki grzmiały rykiem, który zdawał się zanurzać laboratorium w namacalnych falach dźwięku. Kiedy przestrzeń wokół sprężających się olbrzymich silników zakrzywiła się pod wściekłym uderzeniem ich mocy, powstał między nimi osobliwy efekt odbicia.

Russ i Greg już od miesiący dysponowali lepszym sposobem przesyłania mocy niż za pomocą sztab metalu czy wiązek przewodzących. Wiązki mocy o sile, jaką w tej chwili wytwarzali, w jednej chwili rozłożyłyby atomy na protony i elektrony. Przez okienko w ścianie pobliskiego silnika, Greg widział kurczącą się pod działaniem zasysającej siły sztabę żelaza, która służyła jako paliwo.

Dudnienie ucichło. Pozostał szum.

- Znalazł się w więzieniu, z którego nigdy się nie wydostanie - powiedział spokojnie Greg. - Ciekawe, co pomyślą, kiedy znajdą go w cywilnym ubraniu z miotaczem promieni ciepłych. Wsadzą go do celi świetlnej i będą w niej trzymać, dopóki nie zakończą dochodzenia. A kiedy odkryją, kim jest, już się stamtąd nie wydostanie. Ma dość nie odsiedzianych wyroków na jedno lub dwa stulecia.

Pete znalazł się na jednym ze statków Floty Wulkana, statków śmierci floty więziennej. Osadzano tam tylko najbardziej brutalnych i najbardziej zdeprawowanych przestępców Układu Słonecznego, zmuszonych do pracy pod płonącymi biczami Słońca w promieniowaniu tak intensywnym, że zwykle skafandry kosmiczne nie dawały żadnej ochrony. Pracujący na statkach Floty Wulkana nosili kombinezony, które w rzeczywistości były bateriami słonecznymi, zamieniającymi zabójcze promieniowanie w energię elektryczną. Ponieważ o ile ciepła nie można się pozbyć, z elektrycznością jest to możliwe.

Truchlejąc wewnątrz pola siłowego, Scorio patrzył jak jego ludzie znikali jeden po drugim. Widział, jak czarodziejskie dotknięcie klawiatury unosiło ich i przerzucało przez głębiny kosmosu. Otwartymi szeroko ze zgrozy oczyma przyglądał się, jak Russ wprowadzał równania, przesuwał przełącznik, jak ludzie znikali, słuchał grzmiącego pomruku potężnych silników.

Chizzy trafił na Bastion, surowe więzienie na satelicie Neptuna. Reg trafił do osławionej kolonii karnej na Tytanie, po drugiej stronie Układu

Słonecznego, gdzie ludzie trudzili się w zamarzniętych pustkowiach tego księżycy Saturna. Max trafił na Westę, więzienną asteroidę, która od dawna stanowiła cel reformatorów, twierdzących, że 50 procent jej więźniów umierało z nudy lub strachu.

Zniknął Max i został sam Scorio.

- To Stutsman nas w to wpakował - zawył gangster. - To jego chcecie dopaść. Nie mnie. Nie chłopaków. Stutsmana.

- Obiecuję ci, że zajmiemy się Stutsmanem - powiedział Greg.

- I jeszcze Chambers - trąkotał Scorio. - Ale jego nie tkniecie. Nie odważylibyście się.

- O Chambersa jesteśmy spokojni - powiedział mu Greg. - W ogóle jesteśmy spokojni. Za to ty lepiej zacznij się niepokoić.

Scorio skulił się.

- Pozwól, że opowiem ci o pewnym miejscu na Wenus - powiedział Greg. - Leży pośrodku wielkiego bagna, które ciągnie się w każdym kierunku przez setki mil. To taka góra wyrastająca z tego bagna. Samo bagno roi się od wszelkich zwierząt i gadów, żarłocznych, spragnionych krwi bestii. Na tę górę jednak nie wchodzi. Gdyby się jej trzymać, człowiek byłby bezpieczny. Można tam znaleźć jedzenie. Korzenie, jagody, owoce, nawet małe zwierzęta, które można upolować. Przez jakiś czas człowiek mógłby cierpieć głód, ale wkrótce znalazłby rzeczy nadające się dojedzenia.

- Byłby jednak sam. Do tej góry nikt się nie zbliża. Jestem jedynym człowiekiem, który postawił na niej nogę. Może nikt już nie powtórzy tego wyczynu. W nocy słychać wrzaski i krzyki stworzeń na bagnach, ale nie trzeba zwracać na nie uwagi.

Scorio otworzył szeroko oczy.

- Nie wyślesz mnie tam!

- Znajdziesz tam ślady moich ognisk, o ile nie zmył ich deszcz - powiedział Greg. - Sporo tam pada. Deszcze są tak częste i tak ponure, że nabierzesz ochoty, żeby z własnej woli zejść z góry, wejść w bagno i

pozwoić potworom cię zjeść.

Scorio siedział oniemiały. Nie poruszał się. Oczy zaszklily się mu z przerażenia.

Greg machnął do Russa. Russ, zacisnąwszy fajkę w zębach, sięgnął palcami do klawiszy. Silniki zaszumiały.

Manning podszedł powoli do tablicy rozdzielczej nadajnika telewizyjnego, usiadł w fotelu i przesunął dźwignię. Z ekranu spoglądała na niego twarz, wypełniona osobliwie gniewem i częściowo jakby strachem.

- Widziałeś to, prawda Stutsman? - zapytał Greg.

Stutsman przytaknął.

- Widziałem. Nie ujdzie ci to na sucho, Manning. Nie możesz brać prawa w swoje ręce w ten sposób.

- Chambers i ty robicie to od łąt - powiedział Greg. - Ja oczyściłem dziś tylko Ziemię z paru szkodników. Każdy z tych ludzi był winny morderstwa... i gorszych przestępstw.

- Co w ten sposób zyskałeś? - zapytał Stutsman.

Greg roześmiał się gorzko.

- Przekonałem cię, że nie tak łątmo mnie zabić, Stutsman - powiedział. - Sądę, że minie jakiś czas, zanim znowu spróbujesz. Więcej powodzenia następnym razem.

Pstryknął przełącznikiem i odwrócił się w krześle.

Russ wskazał kciukiem na świetlik.

- Teraz możemy skończyć ze statkiem.

Greg skinął głową.

W chwilę później góry w promieniu wielu mil rozświetliło nieznośnie mocne, białobłękitne światło. Przez chwilę rozbłysło gwałtownie, wybuchając milionami nieszkodliwych isker, które zgasły w mroku, zanim dotknęły ziemi. Statek gangsterów został zniszczony bez śladu, uległ całkowitej dezintegracji. Metal i kwarc, z których był zbudowany, po prostu zniknęły.

Russ skierował ponownie wzrok na świetlik, zerknął na przyjaciela.

- Stutsman zrobi wszystko, co może, żeby nas sprzątnąć. Do jutra uruchomi już całą maszynę MSE w jednym celu - żeby nas zgnieść.

- Zgadza się - przytaknął Greg. - Ale jesteśmy już przygotowani. Kilka godzin temu nasz statek opuścił stocznię w Belgii. *Kometa* zaholowała go w przestrzeń i czeka na nas. Za parę godzin *Kometa* przyleci tu po nas.

- Oto, co nas czeka - powiedział rozmarzonym głosem Russ. - Wojna w kosmosie.

- Chambers i jego zgraja nie będą trzymać się żadnych reguł. Wszystkie chwytaki dozwolone, żadnych słabych prób, jak ta dzisiejsza. Od tej pory potrzebujemy bazy, której po prostu nie da się namierzyć.

- Statku - powiedział Russ.

Rozdział czternasty

Pusty, pozbawiony powietrza kadłub największej jednostki kosmicznej, *Niezwyknięzonego*, wisiał w przestrzeni.

Godziny wcześniej spotkały się przy nim wynajęte frachtowce, przylatujące z portów w położonych z dala od siebie rejonach Ziemi, wyładowały upakowaną w skrzyniach maszynię do zięjącego pustką kadłuba, po czym odleciały.

W tej chwili wielki statek był holowany w przestrzeń, pół miliona mil poza orbitę Księżyca, przez *Ko-metę*, solidny mały jacht kosmiczny, stopniowo oddalając się od prawdopodobieństwa odkrycia.

Praca nad instalacją aparatury zaczęła się właściwie kiedy tylko *Kometa* zaczęła holować potężną masę. Pozostawiwszy na pokładzie jachtu szkieletową obsadę, reszta załogi *Komety* zaczęła składać potężne silniki, które miały zmienić *Niezwyknięzonego* w statek o niewyobrażalnej mocy i prędkości.

Zamknięto i uszczelniono drzwi, po czym wypuszczono zgromadzone w zbiornikach statku powietrze. Lekkie przyspieszenie *Komety* ułatwiło pracę, stwarzając sztuczne ciężenie, choć nie na tyle mocne, żeby utrudniało przemieszczanie cięższych elementów maszynierii. Doprowadzono przewód energetyczny z jachtu i *Niezwyknięzony* wziął pierwszy oddech.

Praca posuwała się szybko naprzód, ponieważ wszyscy członkowie załogi byli kimś więcej niż zwykłymi inżynierami i kosmonautami. Była to wybrana ekipa ludzi, którzy pomogli rozślawić imię Gregory'ego Manninga w całym Układzie Słonecznym.

Najpierw złożono silniki, potem dwa zestawy pięciu potężnych agregatów oraz mniejszy silnik służący jako pomocniczy agregat generatorów światła, ciepła, powietrza.

W jednym potężnym skoku prądu opróżniono ogniwa *Komety* i generator pomocniczy zaczął działać, budząc z kolei do życia pozostałe. Generatory działały w uśpieniu, na biegu jałowym, ale gotowe w każdej chwili do wytworzenia mocy, której posiadanie i naginanie do własnej woli jeszcze nikomu się nie śniło.

Wtedy, za pomocą zasilanych przez silniki olbrzymich narzędzi, opartych na działaniu czystej energii i osobliwych pól grawitacyjnych, szybko ukończono pracę. Zamontowano tablice zasilania, przyspawane do podłoża nagłym uderzeniem rozpalonego do białości metalu, po czym równie nagle schłodzone, ogrzewane i schładzane starannie dalej, aż do osiągnięcia maksymalnej wytrzymałości berylowej stali. Kadłub zaroił się od ubranych w skafandry kosmiczne ludzi, używających tej nowej, dziwnej energii do obrabiania upartego metalu w niemożliwy dotychczas sposób.

Generatory ładowały atomy berylowo-stalowej powłoki statku tą samą niejasną siłą, która schwytała statek gangsterów i trzymała go w potężnym uścisku. Naładowanego w ten sposób kadłuba nie mogła przeniknąć żadna materia. Największy meteor, przemieszczający się z prędkością i o sile penetracji, o osiągnięciu których nie mógł nawet marzyć wystrzelony z broni palnej pocisk, zostałby zgnieciony i zmieniony w chmurę pyłu, nie zadrapawszy nawet tej ściany ogromnej mocy.

Zasilany samodzielnie napędem skupiającym linie grawitacji, odporny na wszelkie znane siły, skrywający wewnątrz kadłuba tajemnice wielu dziwnych urządzeń. *Niezwycięzony* obrócił się w przestrzeni.

Russell Page siedział wygodnie w fotelu przed ręcznymi sterami teletransportera. Pykając pogodnie fajkę, wyglądał przez wielkie okno obserwacyjne. Widział przed sobą czerń kosmosu, błysk gwiazd, miękki blask odległego Jowisza.

Greg Manning pochylał się nad przyrządami nawigacyjnymi, obserwując czujnie panoramę przestrzeni.

Russ spojrzał na niego i uśmiechnął się szeroko. Greg uśmiechał się, ale

oczy otaczały mu wywołane czujnością i zamyśleniem zmarszczki. Nie cofający się nigdy przed niebezpieczeństwem, obdarzony duchem pragnącym rozciągających się między światami rozległych przestworzy próżni, za sterami statku takiego jak *Niezwyciężony* Greg Manning był w swoim żywiole.

Russ oparł się w fotelu, posyłając dym z fajki w stronę sklepionego wysoko sufitu sterowni.

Spalili za sobą mosty. Laboratorium w górach zostało zniszczone. Zabezpieczone polem siłowym przed wszelkimi możliwymi atakami, dopóki nie przenieśli teletransporterem pewnych urządzeń, zmieniło się w masę stopionego metalu, który utworzył staw na szczycie góry i spłynął po zboczu tryskającymi, ognistymi wstęgami, tworząc świetliste kurtyny na urwiskach. Zapewne łatwiej byłoby poddać je dezintegracji w jednym oślepiającym błysku energii. W ten sposób jednak rozerwaliby całe pasmo gór, uderzyliby i zniszczyli oddalone o setki mil miasta, zadając Ziemi dotkliwy cios.

Kometa wróciła na Ziemię ze szkieletową załogą i wylądowała w majątku Grega. Po raz kolejny użyli teletransportera, owijając jego palce wokół ludzi, którzy opuścili mały statek. Zostali przeniesieni z powrotem na *Niezwyciężonego*, pokonując milion mil kosmosu i ściany samego statku szybciej niż trwa błysk lampy stroboskopowej. W jednej chwili byli na Ziemi, w kolejnej znaleźli się w sterowni *Niezwyciężonego*, uśmiechając się szeroko, salutując Gregowi Manningowi, oddalając się do kwater w maszynowni.

Russ wyglądał na zewnątrz w kosmos i myślał, pykając fajkę.

Tysiąc lat wcześniej mężczyźni brali udział w tak zwanych turniejach. Rycerze w zbrojach stawali w szranki i kruszyli kopie, aby dowieść, który był lepszym wojownikiem. Dziś miał się zacząć kolejny turniej. Ich rumakiem miał być ten statek, a rękawicę cisnęli Spencerowi Chambersowi i Międzyplanetarnej Spółce Energetycznej. Szrankami zaś miał być cały kosmos.

To była wojna. Wojna bez barwnych oznaczeń, bez fanfar, zaciekły konflikt, od którego zależała przyszłość Układu Słonecznego. Wojna, która miała zdjąć z zamieszkanym przez ludzi światów jarzmo ogniw MSE i zniszczyć ponure marzenia jednego człowieka o budowaniu imperium. Wojna o prawo do obdarzenia zamieszkujących kosmos ludzi źródłem energii, która miała ich na zawsze wyzwolić.

W tamtych czasach, tysiąc lat wcześniej, ludzie stworzyli system władzy nazwany przez historyków feudalizmem. Niektórych ludzi w tym systemie nazywano lordami, baronami czy też innymi tytułami. Posiadali oni władzę życia i śmierci nad ludźmi „pod” sobą.

To właśnie próbował stworzyć Spencer Chambers w Układzie Słonecznym... i osiągnąłby to, o ile ktoś go nie powstrzyma.

Russ zacisnął wściekłe zęby na ustniku fajki.

Ten stary sposób rządzenia nie mógł powrócić na Ziemię. Kolonizujących inne planety, zrodzonych na Ziemi dumnych ludzi, nie można zmusić do kłaniania się przed jakimś władcą w roli jego podwładnych.

W myślach czuł dudnienie mocy, dochodzące z maszynowni brzęczenie i szum energii, która raz na zawsze miała zniszczyć ostatnią groźbę dyktatury na wszystkich światach. Energii, która miała uwolnić ludzi i pomóc sięgnąć wyżej i dalej po czekające ich wielkie przeznaczenie.

A wszystko dlatego, że wiedziony ciekawością, działając po omacku, spróbował ogrzać odcinek smukłego drucika w polu siłowym 348, a ktoś inny wysłuchał go i udostępnił swój majątek, żeby kontynuować eksperymenty. Ślepe szczęście i ludzka ciekawość... może nawet pewne szalone ludzkie marzenie... dzięki temu właśnie powstał ten wielki statek, ta ogromna potęga, liczne urządzenia, które mogły dokonywać niezgadywanych jeszcze przed niecałym rokiem cudów.

Greg Manning obrócił się na fotelu.

- Możemy zaczynać, Russ. Najpierw skontaktujemy się z Wrailem.

Russ przytaknął w milczeniu, wciąż częściowo zajęty umykającymi

myślami. Z roztargnieniem wytrząsnął fajkę i włożył ją do kieszeni, odwrócił się do sterów nadajnika telewizyjnego. Wystukał palcami wzór na klawiaturze.

Na ekranie pojawiła się i skoczyła im na spotkanie Kallisto. Powierzchnia zamrożonego świata zaczęła obracać się prędko i ujrzeni kopułę.

Nadajnik zanurkował przez kopułę i popędził przez miasto, wprost do luksusowego apartamentu na najwyższym piętrze wieżowca.

Ben Wrail siedział oklapły w fotelu. U jego stóp leżała pognieciona gazeta. Na podółku leżało przeżute zgasłe cygaro.

- Greg! - krzyknął Russ. - Greg, coś jest nie tak!

Greg skoczył do przodu, wpatrzył się w ekran. Russ usłyszał zduszony okrzyk wściekłości.

Wrail miał w czole maleńką kropkę, otwór, z którego sączyła się samotna kropla krwi.

- Zabili go! - zawołał Russ.

- Zgadza się, zabili - powiedział Greg, z nagłym spokojem w głosie.

Russ chwycił sterownik nadajnika. Przed sobą widzieli z góry ulice Ranthoor, dziwnie ciche i opustoszałe. Tu i tam leżały ciała. Kilka wystaw sklepowych było rozbitych. Ale jedyną żywą istotą był pies, który przemknął przez ulicę i zniknął w cieniach bocznej alejki.

Nadajnik mknął ulicami miasta. Na ekran wmaszerował z brzękiem oddział policji rządowej pędzący przed sobą pół tuzina więźniów. Ludzie ci mieli związane za plecami ręce, ale szli unosząc wysoko głowy.

- Rewolucja - sapnął Russ.

- Nie rewolucja. Czystka. Stutsman oczyszcza miasto z każdego, kto mógłby stanowić dla niego zagrożenie. Tak będzie na każdej planecie kontrolowanej przez Chambersa.

Russ manipulował sterami, czując spływający mu po czole i wpadający do oczu pot.

- Stutsman uderzył pierwszy - powiedział Greg spokojnym, o wiele za

spokojnym tonem. - Umacnia swoją pozycję, prawdopodobnie pod pretekstem odkrycia spisku.

Kilka budynków wysadzono. U stóp stalowej ściany leżał szereg wygiętych ciał, znacząc miejsce, w którym ludzi ustawiono pod ścianą i skoszono jedną szeroką wiązką miotacza.

Russ przekręcił stery nadajnika.

- Sprawdźmy, co dzieje się na Wenus i Marsie.

Widoki z Ranthoor powtórzyły się w Sandebar na Marsie i w stolicy Wenus, Nowym Chicago. Stutsman uderzył wszędzie. Czystki zmiatały w krwawy sposób każdego, kto mógłby zbuntować się przeciw narzuconym przez Chambersa rządów. Przemoc maszerowała przez Układ Słoneczny, podkutymi żelazem butami depcząc prawa wolnych ludzi, aby zacieśnić uchwyt MSE na ich światach.

W sterowni *Niezwykłego* obaj mężczyźni spoglądali po sobie nawzajem.

- Potrzebujemy jednego człowieka - powiedział Greg. - O ile jeszcze żyje, a sądzę, że tak.

- Kto to taki? - zapytał Russ.

- John Moore Mallory - odparł Greg,

- Gdzie się znajduje?

- Nie wiem. Siedział w więzieniu w Ranthoor, ale Stutsman przeniósł go gdzieś indziej. Prawdopodobnie na statek floty więziennej.

- Moglibyśmy się tego dowiedzieć, gdybyśmy mieli akta z więzienia na Kallisto - zasugerował Russ.

- Gdybyśmy je mieli...

- Zdobędziemy je! - powiedział Russ.

Odwrócił się z powrotem do klawiatury.

W chwilę później na ekranie pojawiły się biura administracji więzienia.

Mężczyźni przeszukiwali wzrokiem ekran.

- Akta będą najprędzej w sejfie - powiedział Russ. - A sejf jest zamknięty.

- Nie przejmuj się zamkiem - uciął Greg. - Po prostu sprowadź tu całe to cholerstwo; sejf, akta i całą resztę.

Russ skinął poważnie głową. Uruchomił kciukiem teletransporter i z maszynowni rozległ się szum mocy. W więzieniu w Ranthoor sejf otoczyło pole siłowe, owijając go potężnymi pasmami energii. Silniki *Niezwy* *ciężonego* zawyły i sejf został wydarty ze stalowej ściany z równą łatwością co odrywany od koszuli guzik.

Rozdział piętnasty

John Moore Mallory siedział na jedynym metalowym krześle w swojej celi, przyciskając twarz do maleńkiego iluminatora. Przesiadywał tak całymi godzinami, wpatrując się w czerni kosmosu.

W głębi duszy John Moore Mallory czuł rozgoryczenie, przerażające i bezowocne. Jak długo przebywał w więzieniu w Ranthoor, istniała szansa ucieczki. Teraz jednak, na pokładzie statku więziennego, nie było żadnej nadziei. Nic oprócz drwiącej przestrzeni kosmicznej, szyderczych punkcików gwiazd, pohukującego śmiechu silników.

Czasami wydawało mu się, że oszaleje. Wieczna rutyna, pozbawiony znaczenia marsz godzin. Czas pracy, czas snu... czas pracy, czas snu... niekończąca się monotonia bezcelowej egzystencji pogrzebanych żywcem w kosmosie ludzi.

- Johnie Moore Mallory - powiedział jakiś głos.

Mallory usłyszał, ale nie poruszył się. Przez głowę przemknęła mu okropna myśl. Zaczynał słyszeć głosy wypowiadające jego imię!

- Johnie Mallory - powtórzył głos.

Mallory odwrócił się powoli i zerwał się z krzesła.

W celi stał jakiś człowiek! Człowiek, którego nigdy przedtem nie spotkał. Musiał wejść cicho, ponieważ nie słyszał pisku otwieranych drzwi.

- Pan jest John Moore Mallory, prawda? - zapytał człowiek.

- Zgadza się, jestem Mallory. A pan...?

- Gregory Manning.

- Gregory Manning - powiedział Mallory w zadumie. - Słyszałem o panu. To pan uratował ekspedycję na Plutona . Ale dlaczego pan się tu znalazł? Jak pan się tu dostał?

- Przybyłem zabrać pana stąd z powrotem na Kallisto - powiedział Greg. -

Lub gdziekolwiek indziej zechce się pan udać.

Z poblądłą w niedowierzaniu twarzą, Mallory oparł się na przepierzeniu.

- Ależ ja jestem na statku więziennym. Nie mogę stąd odchodzić i wracać wedle woli.

Greg zachichotał.

- Od tej pory może pan stąd odchodzić i wracać, kiedy pan zapragnie - powiedział. - Nie powstrzymają pana nawet statki więzienne.

- Pan oszalał - wyszeptał Mallory. - Pan albo ja. Śni mi się pan. Obudzę się, a pan zniknie.

Manning przyglądał mu się w ciszy. Mallory nosił wyraźne ślady uwięzienia. Wzrok miał udręczony, a jego surowa twarz była wymizierowana i chuda.

- Niech pan posłucha uważnie, Mallory - powiedział łagodnym tonem Greg. - Nie oszalał pan jeszcze, ani ja nie jestem szalony. Nie ma pan zwidów ani omamów słuchowych. Naprawdę pan ze mną rozmawia.

Na twarzy Mallory'ego nie zaszła zmiana.

- Mam to, czego panu było cały czas potrzeba, Mallory - ciągnął Greg. - Sposób wytwarzania niemal nieograniczonej energii przy praktycznie zerowych kosztach. Posiadłem sekret wytwarzania energii materii. Sekret, który zgniecie MSE i uwolni Układ Słoneczny od Spencera Chambersa. Ale nie mogę udostępnić go ludziom, dopóki nie zniszczę Chambersa i nie przekonam się, że nie będzie w stanie mi go odebrać. A do tego potrzebna mi pańska pomoc.

Twarz Mallory'ego rozświetliło nagłe zrozumienie, ścierając z niej wyraz oszołomienia. Głos miał jednak surowy i zgorzkniały.

- Przybywa pan za późno. Nie mogę panu pomóc. Proszę pamiętać, że jestem na statku więziennym, z którego nie można uciec. Niech pan robi, co może... musi pan to zrobić. Ale ja nie mogę pana w tym wesprzeć.

Manning zrobił krok do przodu.

- Nic pan nie rozumie. Powiedziałem, że wydostanę pana stąd i zrobię to.

W tej chwili mógłbym przechwycić ten statek i przenieść go, gdziekolwiek zechcę. Ale nie chcę tego robić. Zależy mi tylko na panu.

Mallory wpatrywał się w niego szeroko otwartymi oczami.

- Niech się pan tylko nie wystraszy - powiedział Greg. - Zaraz coś się zacznie dziać. Proszę się przygotować.

W metalowym korytarzu na zewnątrz zabębniły czyjeś stopy.

- Hej, ty, zamknij się! - krzyknął strażnik. - Wiesz, że nie wolno teraz gadać. Idź spać.

- To strażnik - szepnął Mallory z przejęciem. - Zatrzymają nas.

Greg uśmiechnął się złośliwie. - Ależ skąd.

Strażnik pojawił się w zakratowanych drzwiach.

- A więc to ty Mallory... - zaczął i urwał zdumiony. - Hej, ty! - krzyknął do Grega. - Kim jesteś? I jak dostałeś się do tej celi?

Greg machnął ręką w pozdrowieniu.

- Przyjemny wieczór, prawda?

Strażnik sięgnął ręką do drzwi, ale nie udało mu się chwycić krat. W odległości sześciu cali powstrzymała go jakaś siła. Niewidoczna, niewyczuwalna, ale nie do pokonania, mimo napierania na nią.

- Wychodzimy z Mallorym - rzucił Greg do strażnika. - To miejsce nam się nie podoba. Za duszno tu.

Strażnik uniósł gwizdek i zadął w niego. Na zewnątrz zadudniły stopy. W jednej z cel krzyknął jakiś więzień. Inny gwizdnął przeciągle. W jednej chwili na statku podniosła się wrzawa. Skazańcy podjęli okrzyk, potrząsając kratami w drzwiach.

- Ruszajmy - powiedział Greg do Mallory'ego. - Proszę się mocno trzymać.

Mallory'ego otoczyła czerń. Poczuł osobliwy uści-sk, po czym znalazł się w sterowni statku przed uśmiechającymi się do niego Gregorym Manningiem i jakimś innym mężczyzną. Z wiązki kul na suficie sączyło się białe światło. Silniki mruczały gdzieś i szumiały, pełne mocy. Czując świeże

i czyste powietrze sobie sprawę, jak podłe i stęchłe było ono na statku więziennym.

- Witamy na naszym statku. - Greg wyciągnął przed siebie dłoń.

Mallory uściskał ją, mrugając w świetle.

- Gdzie jestem?

- Znalazł się pan na pokładzie *Niezwykłego*, pięć milionów mil od Kallisto.

- Był pan tu cały czas? - zapytał Mallory. - Był pan w mojej celi czy nie?

- Naprawdę byłem w pańskiej celi - zapewnił go Greg. - Oczywiście, mogłem wysłać po prostu mój obraz, ale chciałem prowadzić pana osobiście. Przenieść się pomógł mi obecny tu Russ Page. Kiedy dałem mu znak, ściągnął nas obu.

- Cieszę się, że pan z nami jest - powiedział Russ. -Może kawy albo coś do jedzenia?

- Oczywiście - powiedział niepewnie Mallory. Roześmiał się głośno. - Racje na statku więziennym nie były zbyt pożywne.

Usiedli, podczas gdy Russ zadzwonił do kambuza po kawę i przekąski.

Greg rzeczowo przedstawił Mallory'emu sytuację.

- Chcemy jak najszybciej zacząć wytwarzać te silniki - tłumaczył. - Nie odważyliśmy się jednak nawet ich opatentować. Gdybym spróbował zrobić to na Ziemi, Chambers po prostu przekupiłby urzędników i opóźnił nadanie patentu o kilka dni, po czym podesłał dokumenty skopiowane z naszych. Wie pan, co by zrobił z naszym odkryciem, gdyby zdobył prawa patentowe. Zarzuciłby je, a interes z ogniwami kręciłby się jak zawsze. Gdybym spróbował zrobić to na jakimkolwiek innym świecie, z jakimkolwiek innym rządem, dopilnowałby uchwalenia blokującego nas prawa. Prawdopodobnie nakazałby sądom zakazanie produkcji silników na podstawie orzeczenia o stwarzaniu zagrożenia.

Mallory miał poważną minę.

- Możliwa jest tylko jedna odpowiedź - powiedział. - W tej sytuacji, kiedy

na planetach trwają czystki, o których pan mi opowiedział, zrobić można tylko jedno. Musimy działać natychmiast. Każda minuta zwłoki daje Stutsmanowi więcej czasu na likwidację opozycji.

- Jaka to odpowiedź? - zapytał Russ.

- Rewolucja - powiedział Mallory. - Rewolucja, przeprowadzona równocześnie w Konfederacji Jowisza, na Marsie i na Wenus. Raz uwolnione, dzięki waszym silnikom, planety pozostaną już wolne. Spencer Chambers i jego pomysł na panowanie nad Układem Słonecznym będą spóźnieni.

Greg zmarszczył w namyśle czoło, napinając mięśnie twarzy.

- Przede wszystkim trzeba skontaktować się ze wszystkimi, których zdołamy odnaleźć - powiedział. -Z ludźmi, którzy z pewnością wesprą nas w realizacji naszych planów. Będziemy potrzebować więcej nadajników telewizyjnych, więcej maszyn do teleportacji. Niektóre będą potrzebne na Marsie i Wenus, inne na satelitach Jowisza. Będziemy musieli sprowadzić tu ludzi, żeby nauczyli się je obsługiwać. To zajmie kilka dni. Zaraz każemy części załogi zacząć pracę nad budową maszyn.

Zaczął wstawać z krzesła, ale w tej właśnie chwili przyniesiono kawę i kanapki.

Greg uśmiechnął się szeroko.

- Właściwie to najpierw możemy coś przekąsić.

Mallory wyglądał na wdzięcznego i próbował powstrzymać się przed żarłocznym pochłanianiem jedzenia. Pozostali udawali, że nie zauważają.

Nastąpiły pełne napięcia godziny nieustępliwego poszukiwania ludzi uznanych przez Mallory'ego za lojalnych wobec sprawy, ludzi gotowych narazić życie, żeby zrzucić jarzmo MSE, na dwóch planetach i czterech księżycach.

Trudno było ich znaleźć. Wielu zginęło podczas ciastek. Pozostali ukrywali się i trudno było czegokolwiek o nich się dowiedzieć.

Powoli wyszperali jednak jednego po drugim, objaśniali im swój plan

działania, po czym ściągnęli na *Niezwykłego* za pomocą teletransportera.

Godzina po godzinie, rozebrani do pasa ludzie pracowali w oślepiającym żarze potężnych pól siłowych, budując nowe zestawy telewizyjne, uruchamiane zaraz po zmontowaniu.

Praca posuwała się szybciej, niż można by się spodziewać, a jednak nieznośnie powoli.

Z każdą mijającą godziną bowiem Stutsman zacieśniał na planetach swój stalowy uścisk. Obozy koncentracyjne były przepełnione. Bombardowano i palono budynki. Morderstwa i egzekucje stały się tak powszechne, że nie stanowiły już żadnej sensacji.

I wtedy sytuacja uległa kolejnej zmianie.

- Greg, Craven coś odkrył! - zawołał Russ. - Nie mogę go znaleźć!

Greg, nadzorujący montaż nowego zestawu telewizyjnego, odwrócił się.

- Co takiego?

- Craven! Nie mogę do niego dotrzeć. Blokuje mnie!

Greg spróbował mu pomóc, ale nadajnik nie mógł

przeniknąć do nowojorskiej siedziby MSE. Zablokowane były też inne, przylegające do budynku części miasta. Jedynym miejscem w Układzie Słonecznym, do którego nie mogli dotrzeć, była - oprócz Słońca - siedziba Międzyplanetarnej Spółki Energetycznej.

Craven stworzył pole, od którego odbijały się ich próby inwigilacji. Nadajnik zdawał się spływać po nim jak kropla rtęci. W ten sposób skończyło się ostatecznie podglądanie Cravena i Chambersa.

Russ otarł czoło, ssąc wygasłą fajkę.

- To pole jest przenikalne dla światła - powiedział. - Podobnie dla materii, elektryczności i wszystkich zwykłych sił. Ale nie dla naszego pola. To... cóż, cokolwiek odkrył Craven, wygląda na to, że jest przeciwstawne w stosunku do naszego pola. Ta sama istota rzeczy, przeciwne cechy. Odpycha nasze pole, nie wpływając na nic poza tym. To znaczy, że przestudiował nasze pola. Możemy podziękować za to Wilsonowi.

Greg przytaknął z powagą.

- Za jedno możemy być wdzięczni - stwierdził. -Prawdopodobnie wcale nie jest bliżej odkrycia naszej energii. Teraz jednak nie możemy go obserwować. A to jego pole wskazuje na to, że ma do dyspozycji jakąś ogromną moc.

- Nie możemy go obserwować, ale możemy śledzić -poprawił Russ. - Nie zgubi nas. Żadnemu z nich to się nie uda. Automatyczny detektyw już o to zadba. Mam aparat zbudowany dla Cravena, z okruczem jego okularów, a na pewno będzie je nosił, bez obaw. Bez nich jest ślepy jak kret. Chambersa wytropimy za pomocą jego sygnetu.

- Zgadza się, ale musimy przyspieszyć prace - powiedział Greg. - Craven zaczął działać. Skoro udało mu się to, może odkryć coś innego. Coś, co naprawdę nam zaszkodzi. To niezły spryciarz... aż nazbyt wielki, cholera.

Rozdział szesnasty

W Ranthoor zdarzył się cud, kiedy na ulicach miasta pojawił się nagle człowiek na ujrzanie którego porzucono już wszelką nadzieję. Wydawał się jednak nie do końca ziemską postacią, ponieważ nie wyglądał na człowieka z krwi i kości. Błady, jak kosmiczne widmo, był przejrzysty, choć wciąż miał te same odzywki i sztuczki.

Wieści rozeszły się przerażonym, zadziwionym szeptem... do miasta powrócił duch Johna Moore'a Mallory'ego. Był cztery razy wyższy od zwykłego człowieka i miał te szczególne cechy upodabniające go do ducha. Zdawało się, że nikt nie wiedział, skąd przybył, w jaki sposób, ani dlaczego.

Kiedy jednak dotarł do schodów budynku rządu federacji, przeszedł prosto przez ustawiony pospiesznie szereg zagrządzających mu drogę żołnierzy, odwrócił się na schodach i przemówił do zebranych ludzi, nikt nie wątpił, że oto wreszcie nadszedł znak. Znak, że teraz, jeśli w ogóle miało to nastąpić, nadszedł czas zemsty za terror. Przyszedł czas na rewanż za spływającą rynsztokami krew, za gardłowy rechot miotaczy płomieni, pozbawiających życia ustawionych pod stalową ścianą ludzi.

Błady, ale wyraźnie widoczny, John Moore Mallory przemawiał ze schodów do ludzi na placu poniżej, dobrze przez nich pamiętanym głosem. Widzieli, jak zarzucał grzywą czarnych włosów, widzieli wzniesioną w strasliwym gniewie pięść, słyszeli moc wypowiedzianych przez niego słów.

Słowa te rozeszły się po mieście jak przenikliwy alarm, odbijając się od kopuły i wyciągając z kryjówek zbiegów. Z każdego zakątka miasta, z najgłębszych piwnic i najciemniejszych alejek, wylewała się masa ludzi, którzy otaczali teraz siedzibę rządu. Płac i zbiegające się na nim ulice pociemniały od wykrzykującego swoją nienawiść i ryczącego gniewem tłumu.

- Energia! - grzmiał stojący na schodach potężny cień. - Energia bez ograniczeń! Nadmiar energii. Energia ogrzewająca kopułę, zasilająca kopalnie, napędzająca statki kosmiczne!

- Energia! - odpowiedział głos tłumu. - Energia! - zabrzmiało to jak okrzyk wojenny.

- Koniec z ogniwami MSE! - zaryczał olbrzymi cień. - Nie jesteście już skazani na dostawy energii Spencera Chambersa. Kallisto należy do was. Ranthoor należy do was.

Czarny tłum ruszył falą naprzód, dotarł do schodów i zaczął wspinać się po nich, wyrzucając z gardeł dzikie okrzyki, z szaleństwem zwycięstwa w oczach. Uzbrojeni wyłącznie w gołe dłonie mężczyźni, wrzeszczące kobiety, drwiące dzieci, szli w górę schodów.

Oficerowie rzucili rozkazy stojącym w szeregu na schodach żołnierzom, ale ci spojrzawszy w okropną, szalejącą paszczę nadciągającego tłumu, rzucili broń i uciekli, chroniąc się w budynku Kapitolu, ścigani przez krzyczący przeraźliwie tłum, dyszący żądzą krwi i pragnieniem długo oczekiwanej zemsty.

Z czerwono-żółtych pustynnych pustkowi do Sandebar na Marsie przybył pewien człowiek od dawna uważany za zmarłego. Funkcjonariusze rządu twierdzili, że zginął, a on ukrywał się przez sześć lat.

Brodę miał długą i siwą, oczy przyćmione trudami życia na pustyni, na ramiona opadały mu siwe włosy, ubrany zaś był w podarty, skórzany strój kosmonauty.

Ludzie pamiętali go jednak.

Tom Brown poprowadził ostatni bunt przeciwko rządowi Marsa, niefortunna rewolucja, która skończyła się właściwie zanim się na dobre zaczęła; kiedy żołnierze włączyli ciężkie miotacze i zalali ulice falami płynnego ognia.

Kiedy wspiął się na cokół pomnika w Techor Park, żeby zwrócić się do zebranego tłumu, policja wezwała go do zejścia. Zignorował to wezwanie.

Wtedy wspięli się na pomnik, żeby go ująć, ale ich dłonie przeszły przez niego na wylot.

Tom Brown stał wyraźnie widoczny przed ludźmi i przemawiał do nich, ale nie było go tam fizycznie!

Tego dnia w Sandebar wydarzyły się inne dziwne rzeczy. Z powietrza przemówił jakiś głos, mówiący ludziom, że rządy MSB dobiegły końca. Opowiadał o potężnym, nowym źródle energii. Energii, która praktycznie nic nie kosztowała. Energii, która uwolniłaby ludzi od ogniw energetycznych. Głos powiedział, że aby zdobyć potrzebną energię, ludzie nie muszą już wybierać jarzma rządów Spencera Chambersa.

Nikogo tam nie było... nikogo widocznego. Głos mówił jednak i mówił. Wielki tłum zebrał się, aby go słuchać, wznosząc przy tym okrzyki. Policja próbowała rozpedzić go bez powodzenia. Wezwano żołnierzy. Ludzie walczyli z nimi, dopóki głos nie nakazał im rozejść się spokojnie i wrócić do domów.

Na całym Marsie działo się to samo.

Głos przemówił w kilkunastu miejscach w Sandebar. Pojawił się też znikąd w Malacon, Alexon i Adebron.

Rozpłynąwszy się w powietrzu po skończonym przemówieniu, Tom Brown pojawił się kilka minut później w Debro, a kiedy stanął na ławce w parku, żeby zwrócić się do ludzi, tamtejsza policja ostrzeżona o zajściach w Sandebar otworzyła do niego ogień. Płomienie przeszły przez niego, nie czyniąc mu krzywdy. Z piersią zakrytą długą białą brodą, z szaleńczym błyskiem w oczach, Tom Brown stał w ryczącym ognistym podmuchu z luf miotaczy płomieni i przemawiał spokojnie.

Na Wenus, w Nowym Chicago do komisarza policji zadzwonił komendant miejski. - Mamy tu w parku po drugiej stronie ulicy jakiegoś gościa, który namawia do zdrady. Podburza ludzi do obalenia rządu.

Twarz komisarza w matowym szkle spurpurowiała.

- Aresztować go - rozkazał komendantowi. - Za-puszkować. Musicie do

mnie dzwonić za każdym razem, kiedy któryś z tych chłopców z rozognionym wzrokiem postanowi skierować odezwę do ludu? Zgarnijcie go.

- To niemożliwe - powiedział komendant.

Zdawało się, że komisarz policji zaraz pęknie.

- Niemożliwe? Dlaczego do cholery jasnej?

- No, zna pan to wzgórze w centrum parku? Wzgórze Pamięci?

- Co ma do tego jakieś wzgórze? - ryknął komisarz.

- Gość siedzi na szczycie tego wzgórza. Ma jakiś tysiąc stóp wysokości. Głową sięga nieba, a głos ma jak grzmot. Jak mam aresztować kogoś takiego?

W całym Układzie rozpałał się ogień buntu. Między planetami wędrowały nowe pieśni bojowe, zawzięte pieśni niosące w sobie nutę gniewu. Wydobyto broń z ukrycia i czyszczono ją. W rosnącej wciąż fali oporu przeciw uciskowi wzniesiono nowe sztandary.

Znowu trwał pochód wolności. Prawa człowieka do wyboru sposobu, w jaki chciał być rządzony. Nowa deklaracja niepodległości. Magna Carta Układu Słonecznego.

Pojawili się nowi przywódcy, kierowani przez wędrujące po niebie duchy. Przez głosy przemawiające z powietrza. Przez znaki, odrodzoną odwagę i przemożne, głębokie przekonanie, że sprawiedliwość musi w końcu zwyciężyć.

Spencer Chambers piorunował wzrokiem Ludwiga Stutsmana.

- Tym razem posunąłeś się za daleko.

- To nie byłoby konieczne, gdyby dał mi pan wcześniej wolną rękę - powiedział Stutsman. - Ale okazał się pan miękki. Kazał mi działać łagodnie, kiedy trzeba ich było zgnieść. Otworzył pan drogę do powstania wszelkiego rodzaju spisków, konspiracji i przywódców.

Mężczyźni spoglądali po sobie, gładki, płowy lew naprzeciw warczącego wilka.

- Wzbudziłeś do siebie nienawiść, Stutsman - powiedział Chambers. -

Jesteś najbardziej znienawidzonym człowiekiem w całym Układzie Słonecznym. A z twojego powodu, nienawidzą też mnie. Nie o to mi chodziło. Potrzebowałem cię, ponieważ potrzebna mi była żelazna pięść, ale chciałem używać jej z rozważą. Ty zaś działałeś lekkomyślnie. Używałeś siły, gdzie trzeba było mediacji.

Stutsman parsknął otwarcie.

- Wciąż ten stary sen o dobrotliwej, dyktaturze. Wciąż ma się pan za ustawianego w każdym domu odlanego z brązu bożka. Dyktaturą nie da się rządzić w ten sposób. Trzeba dać ludziom poznać, kto tu rządzi.

Chambers opanował nerwy.

- Kłótnie nic nam już nie dadzą. Szkód już pan narobił. Wszystkie planety ogarnęła rewolucja. Musimy działać.

Spojrzał na Cravena, siedzącego w niedbałej pozie w fotelu obok biurka, za którym stał Stutsman.

- Może pan nam pomóc, doktorze? - zapytał.

Craven wzruszył ramionami.

- Być może - powiedział kwaśno. - Gdyby tylko zostawiono mnie w spokoju w pracy, zamiast ciągać mnie na te głupie narady, może mógłbym coś zdziałać.

- Coś się już panu udało, prawda? - zapytał Chambers.

- Niewiele. Udało mi się zablokować używany przez Manninga i Page'a nadajnik, ale to wszystko.

- Ma pan jakieś pojęcie, gdzie oni są?

- Skąd miałbym to wiedzieć? - powiedział Craven. - Gdzieś w kosmosie.

- To oni stoją za tym wszystkim - warknął Stutsman. - To ich cholerne sztuczki i propaganda.

- Wiemy, że oni za tym stoją. To nic nowego - powiedział Craven. - Gdyby nie oni, to mimo pańskiej fuszerki, nie mielibyśmy teraz tych kłopotów. Ale ta wiedza niewiele nam daje. Za pomocą mojego nowego odkrycia udało mi się uniemożliwić im obserwację tego budynku. Nie mogą

nas już podglądać. Niestety, tylko tyle udało mi się zdziałać.

- Wczoraj nadawali na żywo tajną naradę rady kryzysowej w Satellite City na Ganimesie - powiedział Chambers. - Zanim to odkryto, przez pełne dziesięć minut cała Konfederacja Jowisza oglądała ją i przysłuchiwała się naszym tajnym planom wojennym. Czy nie dałoby się zapobiec powtórce podobnych sytuacji za pomocą pańskich osłon?

- A może lepiej zablokujemy całego satelitę - zasugerował Stutsman. - Pozbawiona widmowych przywódców Manninga, rewolta załamie się pod własnym ciężarem.

Craven pokręcił głową.

- Wytworzenie pola i utrzymanie go tylko w tym budynku wymaga pięćdziesięciu ton ogniwi i tony paliwa dziennie. Zablokowanie całej planety czy księżycy byłoby niemożliwe.

- A jak praca nad pańskim kolektorem energii? - zapytał Chambers. - Posuwa się do przodu?

- Trochę - przyznał Craven. - Za dzień lub dwa będę już coś wiedział.

- To dałoby broń w walce z Manningiem i Page'em, prawda?

- Tak - zgodził się Craven. - To pozwoliłoby nam z nimi walczyć. Jeśli uda mi się stworzyć pole kolektora energii, będziemy mogli wykorzystywać wszystkie rodzaje promieniowania występujące w kosmosie, od ciepła po promieniowanie kosmiczne. W Układzie Słonecznym będziemy dysponować praktycznie nieograniczoną energią. Magazynowanie energii w pańskich ogniwach polega tylko na jednym rodzaju promieniowania - cieplnym. Za pomocą mojego wynalazku mógłby pan wykorzystywać wszystkie jego rodzaje.

- Powiada pan, że potrafiłby ujarzmić nawet promieniowanie kosmiczne? - zapytał Chambers.

Craven skinął głową.

- O ile dojdę do czegokolwiek z tym polem, to tak.

- W jaki sposób? - chciał wiedzieć Stutsman.

- Rozszczepiając je, głupcze, rozdzielając krótkie fale o wysokim potencjale energetycznym na mnóstwo dłuższych fal o niższym potencjale - Craven odwrócił się do Chambersa. - Proszę jednak nie uwzględniać tego jeszcze w planach - ostrzegł. - Jeszcze nie jestem gotowy.

- Musi się panu udać - nalegał Chambers.

Craven uniósł się z fotela z płonącymi gniewnie za grubymi szklami okularów błękitnymi oczyma.

- Jak często muszę panu powtarzać, że badań naukowych nie da się przyspieszyć? Trzeba ciągle próbować, podążając od jednej małej wskazówki do drugiej. Trzeba być cierpliwym i mieć nadzieję. Ale pracy nie da się przyspieszyć na siłę.

Wyszedł zamaszystym krokiem z pomieszczenia, zatraskując za sobą drzwi.

Chambers odwrócił się powoli do Stutsmana. Szarymi oczami wwiercał się w wilczą twarz.

- A teraz może powiesz mi, dlaczego to zrobiłeś - zaproponował.

Stutsman wykrzywił wargi.

- Pan wolałby zapewne, abym pozwolił tym maści-wodom działać, ustalić jakiś plan. Konieczne było jedno - zlikwidować ich, wyrwać z korzeniami. I to właśnie zrobiłem.

- Wybrałeś sobie na to kiepski czas - powiedział łagodnym tonem Chambers. - Musiałeś zrobić coś takiego, akurat kiedy gdzieś w Układzie Słonecznym czai się Manning z zapasem energii wystarczającym, żeby zetrzeć nas z powierzchni Ziemi, jeśli zechce.

- Właśnie dlatego to zrobiłem - zaproponował Stutsman. - Wiedziałem, że Manning coś planuje. Obawiałem się, że zacznie działać, więc ja zrobiłem pierwszy ruch. Myślałem, że uda mi się zastraszyć ludzi, zniechęcić ich do pójścia za Manningiem, kiedy już zacznie.

- Nie masz pochlebnej opinii o ludzkości, prawda? - powiedział Chambers. - Uważasz, że przemocą da się ludzi wpędzić w bezradność i

strach nie do pokonania.

Chambers podniósł się z fotela, uderzył dla podkreślenia słów w biurko.

- Tego nie da się zrobić, Stutsman. Od samego zarania historii inni próbowali tego przed tobą. Można zniszczyć ludziom domy i zabić ich dzieci. Można palić ich na stosie lub na krzesłach elektrycznych, wieszać ich, wyrzucać w kosmos lub zapędzać do komór gazowych. Można spędzić ich jak bydło do obozów koncentracyjnych, dostarczać narzędziom tortur stale świeżej krwi, ale ludzkości nie da się złamać. Ponieważ ludzkość przetrwa wszystko. Odwaga ludzkości jest zawsze większa niż odwaga jakiegokolwiek pojedynczego człowieka lub grupy ludzi. Zawsze dosięgnie w końcu uciskającego ją człowieka i ściągnie go z tronu, nie obchodząc się z nim przy tym nazbyt łagodnie. Ludzkość zawsze w końcu wygrywa.

Chambers sięgnął przez biurko i chwycił Stutsmana za połą koszuli. Okręcił materiał dłonią, zaciskając go wokół szyi Stutsmana. Finansista zbliżył twarz do wilczego skrzywienia warg.

- Oto co czeka ciebie i mnie. Przejdziemy do historii jako dwaj cholerni głupcy, którzy próbowali rządzić ludzkością i nie sprostali zadaniu. A zawdzięczamy to tobie i twojej cholernej głupocie. Tobie i twojemu terrorowi!

Policzki Stutsmana zapłonęły gniewnymi plamami. W oczach zalśniły mu łzy, wargi pobladyły. Drwiąco rozgoryczonym głosem wyszeptał jednak:

- W takim razie może trzeba było hołubić ich i rozpieszczać. Sprawić, żeby poczuli się niewymownie szczęśliwi pod władzą starego, złego MSE. Żeby zaczęli stawiać w domach pańskie brązowe posążki. Żeby stał się pan słonecznym bóstwem!

- Nadal myślę, że ten sposób byłby lepszy - Chambers wyprostował rękę, odpychając Stutsmana. Ten zatoczył się i potknął na pokrytej dywanem podłodze. -Zejdź mi z oczu!

Stutsman wygładził koszulę, odwrócił się i wyszedł.

Chambers opadł w fotel. Zaciskając dłonie na oparciu po obu stronach

swojego wielkiego ciała, wyglądał przez okno zalane ostatnimi promieniami popołudniowego Słońca.

W głowie dudniły mu bębny... werble kosmicznej rebelii, rewolucji na innych światach... werble zagłuszające i miażdżące bezpowrotnie zbudowane przez niego marzenie. Pragnął ekonomicznej dyktatury - nie zimnej, pozbawionej emocji, przerażającej dyktatury, jaką uosabiał Stutsman, ale takiej, która przyniosłaby Układowi Słonecznemu pokój, dobrobyt i szczęście.

Zamknął oczy i myślał. Urywki ambicji, urywki nadziei... ale myślenie było bezużyteczne, bo bębny i wyobrażone okrzyki zagłuszały jego myśli.

Ludzkości nie zależało na sprawnym ekonomicznym zarządzaniu ani na dobrobycie, pokoju czy szczęściu. Wolność i prawo do sprawowania rządów, prawo do narażania własnego życia - zdobywania gór, pokonywania pustyni czy badania bagien, prawo do sięgania ku odległym gwiazdom, do rzucenia kosmicznym otchłaniom drwiącego wyzwania, do wydzierania badanej niezgrabnymi palcami naturze jej sekretów - oto czego pragnęła ludzkość. O to walczyli ludzie na Marsie, Wenus i satelitach Jowisza. Nie walczyli przeciwko Spencerowi Chambersowi, Ludwigowi Stutsmanowi czy MSE, ale o to, co gnało ludzi naprzód i zmieniało ich w pochodnie, za którymi mogli podążać inni. Walczyli o dziedzictwo, które po raz pierwszy znalazło wyraz, kiedy pierwszy człowiek warknął w wejściu do swojej jaskini, rzucając światu wyzwanie, by spróbował mu ją odebrać.

Spencer Chambers przymknął oczy, kołysząc się w swoim fotelu.

To była dobra, twarda walka, która dała mu wiele satysfakcji. Po tych wszystkich latach jednak, dostał łanie. Miał największą wizję przyszłości spośród żyjących kiedykolwiek ludzi. Aleksander, Napoleon, Hitler, Stalin i cała reszta byli przy Spencerze Chambersie ostrożnymi graczami. Dążyli jedynie do ziemskich podbojów, podczas gdy on pragnął dotrzeć do innych światów i przejąć je. I, na Boga, prawie mu się udało!

Zgrzytnęły otwierane drzwi.

- Chambers! - powiedział jakiś głos.

Dotknął stopami podłogi z głuchym stukiem i siedział nieruchomo, wpatrując się w stojącą przed nim postać.

W wejściu stał mocno czymś przejęty Craven. Okulary ześliznęły mu się na nos, włosy miał w nieładzie, krawat całkiem przekrzywiony.

- Mam! - zawołał triumfalnie Craven. - Nareszcie mam!

Chambers poczuł chwytającą się go kurczowo nadzieję, ale niemal bał się odezwać.

- Co pan ma? - wyszeptał w napięciu.

- Pole kolektora energii! Cały czas było pod moim nosem, ale nie widziałem go!

Chambers podniósł się z fotela i przeszedł przez biuro. W czaszce czuł szumiący mętlik.

Lanie? Do diabła, przecież jeszcze nawet nie zaczął walki! Jeszcze może wygrać. Już on im pokaże rebelię! Zagoni Manninga i Page'a na koniec wszechświata i wypchnie ich na zewnątrz!

Rozdział siedemnasty

To była dziwna rewolucja. Niewiele było bitew, niewiele rozlewu krwi. Zdawało się, że nie towarzyszyły jej żadne tajne spiski. Żadnych przemykających się chyłkiem przywódców, tajnych haseł, niczego co dawniej stanowiło znak rozpoznawczy rebelii przeciw tyranii.

Była to rewolucja prowadzona całkowicie otwarcie. Tajna policja była bezradna, ponieważ rewolucja nie była tajna. Regularna policja i wojsko również były bezradne, ponieważ ludzie, których chcieli aresztować, byli pojawiającymi się przelotnie to tu, to tam cieniami - wielkimi i solidnymi, ale niemożliwymi do schwytania i osadzenia w więzieniu.

Przemierzający planety widmowi przywódcy poznawali niemal natychmiast każdy ułożony w kręgach rządowych plan. Oddziały policji, uzbrojone w nakazy aresztowania uczestników jakichś działań naznaczających ich jako czynnych buntowników, po wyłamaniu drzwi do domu odkrywały, że podejrzani już zniknęli ostrzeżeni. Wysyłani pospiesznie do punktów wybuchu zamieszek żołnierze zastawali po przybyciu na miejsce puste sceny, noszące jednak ślady niedawnych starć. Uczestnicy zamieszek zdążyli zwać, w porę ostrzeżeni.

Kiedy zaś rebelianci uderzali, robili to zawsze o najbardziej sprzyjającej porze, kiedy rząd tracił czujność lub działał chaotycznie.

Ranthoor padło w pierwszym dniu rebelii, kiedy zachęcana słowami widmowego Johna Moore'a Mallory'ego rozwścieczona ludność przypuściła atak na budynki federalne. Rząd uciekł do Satellite City na Ganimesedzie, porzucając wszystkie akta.

W pierwszym tygodniu padły trzy miasta na Marsie, ale stolica, Sandebar, wciąż się broniła. Na Wenus, w dwadzieścia cztery godziny po tym jak planety usłyszały pierwsze wezwanie do buntu, rebelianci opanowali Radium

City, ale siły rządowe nadał utrzymywały siedzibę rządu w Nowym Chicago, szykując się do oblężenia.

Rządowi spece od propagandy szerzyli pogłoski, że silniki na energię materii nie były bezpieczne. Nadawano doniesienia o przynajmniej dwóch przypadkach eksplozji, w których zginąć mieli obsługujący je ludzie.

Propaganda nie wzbudziła jednak zainteresowania, ponieważ w przejętych przez rebeliantów miastach technicy pracowali pełną parą, produkując i montując nowe silniki. Odbywały się pokazy ich działania. Ludzie zobaczyli je nareszcie i przekonali się, jak ogromną moc wytwarzały.

Russ Page wpatrywał się z niedowierzaniem w ekran telewizora. Obraz wydawał się przesuwac do tyłu i do przodu. W jednej chwili widać było zniekształcony widok Satellite City na Ganimesie, a w następnej pejzaż chaotycznej lodowej pustyni gdzieś poza miastem.

- Spójrz, Greg - powiedział. - Coś jest nie tak.

Greg Manning oderwał się od pracy z kalkulatorem i spojrział na ekran.

- Jak długo tak się zachowuje? - spytał.

- Właśnie zaczął - powiedział Russ.

Greg wyprostował się i spojrział na rząd maszyn telewizyjnych. Część z nich była wygaszona i odłączona, ale na wielu ekranach widać było ten sam efekt. Operatorzy gmerali bezradnie przy tablicach rozdzielczych, próbując skupić obraz, wyostrzyć go.

- Nic nie mogę złapać, proszę pana - powiedział jeden z ludzi. - Obserwowałem stację paliw na Io i ekran nagle zszedł.

- Mój wydaje się działać dobrze - powiedział inny. -Przez ostatnie parę godzin był ustawiony na Sandebar i wszystko działa.

Szybka kontrola ujawniła jedno: maszyny ustawione na satelity Jowisza nie chciały działać. We wszystkich innych miejscach przestrzeni spisywały się znakomicie.

Russ nabił fajkę i zapalił ją, wyłączył swoją maszynę i obrócił się w fotelu operatora.

- Ktoś w okolicach Jowisza próbuje pomieszać nam szyki - stwierdził spokojnie.

- Spodziewałem się czegoś podobnego - powiedział Greg. - Obawiałem się tego, od kiedy tylko Craven odciął nas od siedziby MSE.

- Tym razem naprawdę musiał coś odkryć - zgodził się Russ. - Udało mu się zablokować cały układ Jowisza. Cały Jowisz jest otoczony polem kosmicznym o niskim natężeniu, obejmującym wszystkie księżyce. Cały czas zmienia natężenie pola, więc choć możemy się przez nie przebić, te nieregularne zmiany zupełnie uniemożliwiają dostrojenie. Skutek praktycznie rzecz biorąc jest taki sam, jakbyśmy w ogóle nie mogli się przebić.

Greg gwizdnął bezgłośnie przez odsłonięte nagle zęby.

- To wymaga mocy - powiedział. - A obawiam się, że Craven ją ma. Aż nadto.

- Pole kolektora? - zapytał Russ.

Greg przytaknął.

- Pole zasysające wszelką swobodną energię opartą na promieniowaniu, którą po prostu przechwytuje. Nie jest już zależny tylko od Słońca. Przypuszczalnie wykorzystuje wszystkie typy promieniowania występujące w kosmosie.

Russ opadł w fotelu. Palił, marszcząc w zamyśleniu czoło.

- Jeśli właśnie to udało mu się odkryć, trudno będzie go załatwić - stwierdził w końcu. - Może przechwytywać wszelką energię promienistą pod każdą postacią, wszelkie promieniowanie kosmiczne. Może je przesuwać, rozszczepiać i magazynować. Może uwalniać je i nim kierować. Stworzył opartą na promieniowaniu elektrownię, która jest najbardziej poręczną maszyną wojenną, jaka kiedykolwiek istniała.

Greg okręcił się nagle na pięcie i podszedł do szafki na ścianie. Wyjął z niej skrzynkę i, otworzywszy ją, uniósł mały mechanizm.

Roześmiał się gardłowo.

- Mechaniczny detektyw. Maszyna, która zawsze pomoże nam znaleźć

Cravena - o ile ma przy sobie swoje okulary.

- Zawsze je nosi - rzucił rzeczowo Russ. - Bez nich jest ślepy jak kret.

Greg postawił maszynę na stole.

- Kiedy znajdziemy Cravena, znajdziemy też urządzenie blokujące Jowisza i jego księżycy.

Zegary urządzenia zawirowały, wskaźniki rozchwiały się. Russ spisał szybko odczyty na kartce papieru. Wcisnął klawisze kalkulatora, pociągnął za aktywator. Maszyna zabrzczała, zawarczała, zbulgotała.

Russ zerknął na wydrukowany na rolce papieru wynik.

- Craven znajduje się nieopodal Jowisza - stwierdził. - Około 75 000 mil od powierzchni, w płaszczyźnie zgodnej z promieniowaniem słonecznym.

- Statek kosmiczny - zasugerował Greg.

Russ skinął głową.

- To jedyne rozwiązanie.

Spojrzeli po sobie.

- To coś, czym możemy się zająć - powiedział Greg.

Podszedł do sterów statku i usiadł w fotelu pilota. Wyciągnął dłoń i przesunął dźwignię.

Niezwyciężony poruszył się.

Z maszynowni dobiegł nagły jęk olbrzymiego agregatu tworzącego i podtrzymującego przed statkiem ośrodek skupienia grawitacji.

Stojąc przy kokpicie obok Grega, Russ wyjrzał w przestrzeń i zadumał się. Mimo braku prawdziwego napędu, pędzili przez przestrzeń kosmiczną, przyspieszając w zawrotnym tempie. Odkrycie wiązki skupiającej grawitację odstawiło do lamusa dawne sposoby napędzania statków kosmicznych. Mknęli, opadając w ziejącą paszczę stworzonego sztucznie pola grawitacyjnego, w sposób pozwalający na rozwinięcie przerażających prędkości.

Zdawało się, że Jowisz wprost wyskoczył na nich. Stał się wielką, wypełniającą prawie pół okna, szkarłatno-żółtą kulą.

Niezwyciężony wytracał prędkość, leciał coraz wolniej, aż w porównaniu do poprzedniej prędkości zdawał się ledwie pełznąć.

Okrążyli powoli wielki okrąg Jowisza, spoglądając w przyrządy w poszukiwaniu statku Cravena. Zbliżali się do pozycji wskazanej przez radar.

- Mamy go - powiedział nagle Russ, wstrzymawszy oddech.

Daleko w kosmosie, na tle ogromnej masy olbrzymiej planety, unosiło się drobne, maleńkie światełko, ledwie pyłek. *Niezwyciężony* powoli pełzł naprzód. Dro bina światła stała się lśniącem srebrzyście potężnym statkiem, dorównującym wielkością nawet *Nie-zwyciężonemu!*

- To na pewno oni - powiedział Greg. - Schowali się tutaj, mieszając nam w naszej aparaturze telewizyjnej. Może zaczepimy ich i przekonamy się, czym dysponują.

Odszedł od kokpitu do innej tablicy rozdzielczej. Russ nadal stał przed oknem, przyglądając się zawieszonemu w przestrzeni statkowi.

Za nim rozległo się przenikliwe wycie agregatu. *Niezwyciężony* zachwiał się lekko. W przestrzeń wystrzelił intensywnie niebieski promień, jak palec szturchający drugi statek.

Kiedy promień dotarł do statku Cravena i uderzył go, wybuchając rozbłyskiem oślepiająco granatowego światła, przestrzeń wokół zabarwiła się nagle w promieniu tysięcy mil. Trafiony wiązką, tłoczącą w niego potężną moc wyjących w maszynowni silników, statek zachwiał się i zakołysał.

- Co się stało? - Greg przekrzyczał ryk silników.

Russ wzruszył ramionami.

- Zadrapałeś go ledwie. Przepchnąłeś o kilkaset mil w kosmosie. Wiedzą, że coś ich trafiło, ale nie wydaje się, żebyś narobił jakichś szkód.

- Przecież użyłem na nich czystego promieniowania kosmicznego! Pięć miliardów jednostek, a on tylko się zachwiał!

- Posiada soczewkę pochłaniającą energię kosmiczną - powiedział Russ. - Za jej pomocą skupia energię i przesyła ją do komory odbiorczej, prawdopodobnie potężnej baterii świetlnej. Nikomu jeszcze nie udało się

spalić takiej w układzie zamkniętym.

Greg zmarszczył czoło skonsternowany.

- Musi mieć jakieś specjalne pole zmniejszające długość i natężenie fał. Cały czas przyjmuje naturalne promieniowanie kosmiczne i daje sobie z nim radę.

- To akurat nie byłoby wielkie dokonanie - zauważył Russ. - Ale poradzić sobie z promieniowaniem kosmicznym zasilanym przez pięć miliardów jednostek - to co innego!

Greg uśmiechnął się złośliwie.

- Spróbuję posłać mu długie fale promieniowania cieplnego. Jeśli użyje tego poła do skrócenia fał, otrzyma wiązkę radiową i szlag trafi jego baterie świetlne.

Uderzył zajadłe klawisze na tablicy rozdzielczej i z rufy statku ponownie doszło ich przenikliwe wycie silników. Przez przestrzeń przemknęła lanca czerwieni, która dotknęła drugiego statku. Kosmos zapłonął ponownie, tym razem pasową poświatą.

Russ pokręcił głową.

- To nic nie daje.

Greg usiadł i spojrzał na Russa.

- Jest w tym coś dziwnego. Po prostu stali w miejscu, pozwalając nam wpakować w nich dwa ładunki, przyjęli na siebie wszystko, co rzuciliśmy, i nawet nie spróbowali się zrewanżować.

- Może nie mają czym nam przyłożyć - zasugerował Russ z nadzieją w głosie.

- Muszą coś mieć. Craven nie ruszyłby w kosmos z czysto defensywnym uzbrojeniem. Wiedział, że go znajdziemy i że czeka go walka.

Russ zauważył, że jego fajka zgasła. Pstryknął zapalniczką, przyłożył płomień do poczeriałego tytoniu. Podeszedłszy powoli do szafki ściennej, wyjął z niej dwie inne skrzynki, położył je na stole i wyjął z nich urządzenia śledzące. Uruchomił je i pochylił się nad nimi, obserwując wirujące zegary i

wahające się igły wskaźników.

- Greg - szepnął. - Chambers i Stutsman są na tym statku z Cravenem! Patrz, ich odczyty są identyczne z urządzeniem śledzącym Cravena.

- Tak też podejrzewałem - odparł Greg. - Udało nam się osaczyć całe stado. Gdyby jeszcze udało nam się ich pozbyć, jednym uderzeniem wygralibyśmy całą wojnę.

Russ podniósł znad rzędu małych urządzeń udreńczoną twarz.

- To nasza wielka szansa. Może już nigdy takiej nie dostaniemy. Następną godziną zadecyduje, kto wygra.

Greg podniósł się z fotela i stanął przed tablicą rozdzielczą, wciskając z poważną miną serię klawiszy. Silniki zawyły znowu. Greg przekręcił jakiś zegar i wycie przeszło w przenikliwy wizg.

Z *Niezwycięzonego* wystrzelił kolejny promień, potem kolejny i jeszcze jeden. Jedna po drugiej, kosmos przesywały kolejne, ciskane z wielkiego statku włócznie promieni.

Promienie przeszły szybko cały zakres, od fal radiowych i krótkich, przez światło podczerwone, światło widzialne, ultrafiolet, aż po promieniowanie Roentgena, gamma i promieniowanie kosmiczne - przerażający zalew o mocy miliardów jednostek.

Pod uderzeniem tego gwałtownego bombardowania statek Cravena odkształcił się lekko i przechylił, ale poza tym wydawał się nietknięty!

Odwróciwszy się od sterów, Greg spojrział na Russa z bardziej niż zwykle posępną miną.

- Użyliśmy wszystkiego, co mamy - powiedział. - Nie możemy go tknąć.

Russ zadrżał. Wydawało się, że sterownię ogarnęła nagle fala przerażającego chłodu.

- Ma baterie świetlne i stos kilku tysięcy ton ogniwa. Nie zostało mu w nich wiele mocy. Mógłby ładować je godzinami energią i miałby miejsce na jeszcze.

Greg skinął ze znużeniem głową.

- Czyli dostarczaliśmy mu tylko energii.

Silniki szumiały cicho, śpiewając cichą pieśń ujarzmionej energii.

Wtem zawyły jak piła motorowa, wgryzająca się w twarde jak żelazo pień białego dębu. Wydały z siebie pojedynczy, straszliwy, agonalny krzyk, przesyłając całą wytwarzaną przez siebie energię w otaczające *Niezwycięzonego* pole ochronne.

W jednej chwili powietrze na statku wypełniło się mglistą, błękitną poświatą i ostrym, gryzącym zapachem ozonu.

Na zewnątrz *Niezwycięzonego* ogarnęło potężne wyładowanie rozlewających się po kadłubie i rozpryskujących błękitnobiałych płomieni. Żywe błyskawice rozbiegły się, trzaskając wokół okna sterowni i ciekły, płonąc, po płytach poszycia.

Russ krzyknął i cofnął się, osłaniając oczy ręką. Zupełnie jakby spojrzął w eksplodującą mu przed oczami Novą.

W tej chwili wycie ucichło i rozlewające się płomienie zniknęły, pozostawiając tylko przygasającą gwałtownie poświatę.

- Co to było? - spytał oszołomiony Russ. - Co się stało? Dziesięć generatorów o takiej mocy, a wszystkie wyły!

- To Craven - powiedział poważnym tonem Greg. - Rzucił w nas wszystko, co miał. Po prostu opróżnił ogniwa i posłał to prosto na nas. Ale to wszystko. To był jego jedyny strzał. Teraz musi zmagazynować energię, a to chwilę potrwa. Ale nie moglibyśmy znieść wiele więcej.

- No to pat - powiedział Russ. - Nie możemy go skrzywdzić, on nie może skrzywdzić nas.

- A diabła tam - rzucił Greg. - Mam jeszcze sztukę czy dwie w zanadrzu.

Wypróbował swój pomysł. Dziesięć silników zagrzmiało szaleńczym, wstrząsającym statkiem rykiem, kiedy z *Niezwycięzonego* wystrzelił pocisk żywego światła i ognia o potężnej mocy.

Kiedy ich strzał trafił statek Cravena, kosmos rozjarzył się sztucznymi

ogniami. Osłony eksplodowały jedna po drugiej jaskrawymi, płonącymi iskrami, ale statek przyjął szaleńczy ładunek, a w końcu powstrzymał napór energii. Promień osłabł i zgasł.

Greg pochylił się z ociekającą potem twarzą nad kalkulatorem i wprowadził wzór na pola magnetyczne. Stworzył pole o tak niewyobrażalnym natężeniu, że zgmiotłoby na twardą masę każdy przedmiot ze stali berylowej w promieniu mili od niego. Nawet oddalony o sto mil *Niezwycięzony* szarpnął się pod jego przyciąganiem. Ale po pierwszym szaleńczym szarpnięciu, statek Cravena nie poruszył się nawet. Ze statku wylała się dziwna poświata, zmieniła gwałtownie kierunek i zniknęła w polu magnetycznym.

Greg zaklął cicho.

- Odcina je równie szybko, jak ja próbuję je wzmocnić - wyjaśnił. - A bliżej nie mogę podejść.

Kolejna błyskawica wystrzeliła ze statku Cravena i silniki znowu zawyły przerażającym chórem, posyłając energię do potrójnej osłony statku. Pierwsza warstwa osłony zatrzymywała wszystkie przedmioty materialne, druga odbijała promieniowanie, przekierowując je do czwartego wymiaru. Trzecia warstwa osłony była oparta na polu powstrzymującym entropię, zatrzymującym wszelką materię. Mimo tych zabezpieczeń, wszystkie silniki zaryczały jak oszalałe, kiedy Craven użył przejętej energii, którą uraczył go Greg, żeby cisnąć w nich płonącymi błyskawicami.

W głosie Grega Manninga brzmiał gniew, straszliwy gniew. Zaciśnął pięści i potrząsał nimi w kierunku wiszącego daleko w dole przy Jowiszu lśniącego statku.

- Została mi jeszcze jedna sztuczka - krzyknął, zupełnie jakby spodziewał się, że Craven go usłyszy. - Tylko jedna. Przekonajmy się, cholera, czy uda ci się to zablokować!

Wprowadził na tablicy rozdzielczej wzór i wcisnął aktywator. Moc zadudniła w dziesięciu silnikach, po czym wycie ucichło.

Silniki cztery razy zaczynały wyć i cztery razy przycichały do łagodnego szumu.

- Usiądź za sterami! - zawołał Greg. - Przygotuj statek na pełne przyspieszenie.

Greg skoczył do fotela, chwycił dźwignię przyspieszenia.

- Uważaj, Craven - warknął. - Idziemy po ciebie!

Zaciskając zęby, szarpnął gwałtownie dźwignię przyspieszenia.

Kosmos przesunął się nagle z przerażającym, przyprawiającym o mdłości głuchym uderzeniem, które zdawało się wstrząsać samymi fundamentami Wsze chświata.

Rozdział osiemnasty

Jowisz i jego księżyce skoczyły nagle w tył, przechodząc w zieleń, potem w błękit, aż wreszcie przygasły momentalnie do fioletu. Słońce wirowało szaleńczo, oddalając się i przygasając, aż stało się maleńką rubinową gwiazdą.

Olbrzymie generatory *Niezwycięzonego* pracowały głośniej, coraz głośniej, rozbrzmiewając rykiem stalowych gardeł wibrującym w każdej płycie poszycia, w każdym dźwigarze, w każdym kawałku metalu na pokładzie.

Statek pędził w kosmos, mknąc jak zbiegła gwiazda w głęboką przestrzeń poza Układem Słonecznym. Za nim mknął statek Cravena schwytyany przez pole holujące i wleczony za pędzącym przez kosmos *Niezwycięzonym*.

Kiedy statek przeszedł w jednym momencie do prędkości zbliżonej do prędkości światła, kompensator przyspieszenia zaczął w pełni sprawnie działać. Nie stworzono go jednak do pracy przy tak nagłym, intensywnym przeciążeniu, i przez chwilę Russowi i Gregowi wydało się, że zostaną zmiażdżeni przez potężną masę, jaka w nich uderzyła. Poczucie zniknęło jednak wkrótce, kiedy kompensator złagodził przeciążenie.

Greg potrząsnął głową, strząsając ciekący mu do oczu pot.

- Mam nadzieję, że ich kompensator spisał się równie dobrze jak nasz - powiedział.

- W przeciwnym wypadku, holujemy statek pełen trupów - stwierdził Russ.

Russ zerknął na wskaźnik prędkości. Zbliżali się prawie do prędkości światła.

- Jeszcze nie zaczął nas zwalniać.

- Zaskoczyliśmy go. Jego napęd polega w dużej mierze na wykorzystaniu

masy jakiejś planety jako ciała do zapoczątkowania reakcji statku. Jowisz idealnie się do tego nadaje... ale właśnie zostawił go za sobą. Musi coś zaraz zrobić albo będzie za późno.

- Przechwytuje też mniej energii - dodał Russ. - Oddalamy się od jego głównych źródeł energii, Słońca i Jowisza, z prędkością zbliżoną do prędkości światła, co na pewno drastycznie zmniejsza jego pobór energii. Musi korzystać ze zgromadzonego w ogniwach zapasu, a po tym ostatnim strzale do nas, są pewnie prawie wyczerpane.

Wskaźówka prędkości opadła lekko. Russ wstrzymał oddech. Wskaźówka zaczęła się cofać. Prędkość spadała.

- Craven wykorzystuje wszelką dostępną energię - powiedział. - Na pewno żyją. Próbuje chwycić się Jowisza i wykorzystać do swoich celów jego grawitację.

Niezwyciężony poczuł nareszcie opór drugiego statku, kiedy Craven posłał energię do silników, próbując uwolnić się od więżącej go niewidzialnej cumy, broniąc się przed zawleczeniem w głęboką przestrzeń na ognie pędzącego przed siebie z przerażającą prędkością potężnego statku.

Dźwigary *Niezwyciężonego* jęczały, silniki zawodziły i dudniły. Wskaźówka prędkościomierza pełzła w dół zegara, powoli, niechętnie, stawiając opór przy każdym spadku prędkości. Craven spowalniał ich jednak, a robiąc to, był w stanie przechwytywać za pomocą soczewki kolektora więcej energii. Walczył jednak z dwoma czynnikami - pędem i zmniejszającym się stale oddziaływaniem grawitacyjnym Jowisza i Słońca. Przyciąganie Słońca spadało powoli, Jowisza raptownie.

Igła nadal pełzła w dół.

- Kiedy zrówna się z nami? - zapytał Greg. - Uda mu się?

Russ pokręcił głową.

- Potrwa całe godziny, zanim się dowiemy. Uda mu się nas spowolnić... może nawet zatrzymać albo uwolnić się, choć w to akurat wątpię. Z każdą minutą oddała się jednak od głównego źródła energii, promieniowania

Układu Słonecznego. Oczywiście, może przechwytywać energię w całym kosmosie, ale najlepiej robić to w pobliżu wielkich ciał.

Russ nadal pochylał się nad wskaźnikiem, z niechęcią obserwując każde wahnięcie igły.

To właśnie było ostatnie rozdanie, ostateczna rozgrywka. Gdyby udało im się zawlec Cravena ze statkiem poza Układ Słoneczny i zostawić go w głębokiej próżni z dala od wszelkich źródeł promieniowania, wygraliby, ponieważ sami mogliby wrócić i dokończyć dzieła zniszczenia MSE.

Gdyby jednak Craven wygrał, gdyby udało im się zatrzymać ich szalony pęd w kosmos, gdyby udało mu się uwolnić - nie mieliby drugiej szansy. Zbadałby otaczające go teraz pole i następnym razem był na nie przygotowany. Może nawet udałoby mu się stworzyć podobne i użyć go na *Niezwykłym*. Gdyby udało mu się powrócić w jakiś sposób do Słońca, miałyby nad nimi przewagę, górowałby nad nimi zapasem energii. Zniweczyłby wtedy ich plany, a planety ponownie musiałyby złożyć hołd Międzyplanetarnej Spółce Energetycznej i Spencerowi Chambersowi.

Russ obserwował wskaźnik. Prędkość wynosiła już niewiele ponad dziesięć mil na sekundę i szybko spadała. Przygarbiony, siedząc bez ruchu, ssał wygasłą fajkę, przysłuchując się dudnieniu generatorów.

- Gdybyśmy tylko mieli jakiś zapas mocy - jęknął.
- Ale zużyliśmy wszystko. Silniki pracują już z pełną mocą!

Greg klepnął go delikatnie w ramię. Russ odwrócił głowę i spojrzał w twarz przyjaciela. Mina Grega była posępna jak zawsze, ale w kącikach oczu dał się dostrzec cień uśmiechu.

- A może pozwolimy działać Jowiszowi? - powiedział.
- Może okazać się bardzo pomocny.

Russ przyglądał mu się przez chwilę, nie rozumiejąc. Wtem, z radosnym okrzykiem wyciągnął dłoń i przesunął dźwignię. Zwierciadła antyentropii poruszyły się, zmieniając kąt, i *Niezwykły* wykonał nagły zwrot. Nie oddalali się już od Słońca po linii prostej, ale pod kątem przecinającym

Układ Słoneczny.

Greg uśmiechnął się szeroko. - Opadamy teraz za Jowisza, który ucieka przed nami, okrążając orbitę wokół Słońca. W ten sposób zyskujemy dodatkową prędkość ucieczki, nawet jeśli wskaźniki tego nie pokazują.

Ponure kosmiczne zawody w przeciąganiu liny trwały dalej. Oba statki zmagaly się w walce, jeden - próbując uciec, drugi - starając się zawlec przeciwnika w nieprzyjazną otchłań otwartej przestrzeni.

Prędkość spadła do pięciu mil na sekundę, potem jeszcze odrobinę. Igła wahała się, nie sposób było stwierdzić, czy opada czy nie. Zaś dziesięć potężnych generatorów w maszynowni wyło, próbując sprawić, by ponownie ruszyła w górę.

Russ zapalił, nie odrywając oczu od wskaźnika. Igła znowu pełzła w dół, do trzech mil na sekundę.

Wypuścił kłęb dymu i zamyślił się. Na szczęście Saturn leżał o dziewięćdziesiąt stopni w stosunku do nich na swojej orbicie. Przy obecnym kursie, od otwartej przestrzeni oddzielał ich tylko Neptun. Pluton znajdował się daleko, ale nawet gdyby był bliżej, niewiele by to znaczyło z powodu jego małej wielkości i słabego przyciągania.

Za chwilę, Ganimedes i Kallisto miały pojawić się po oddalonej stronie Jowisza, a to mogło im pomóc. W tej chwili liczyło się wszystko.

Wskaźnik spadł do dwóch mil na sekundę i zatrzymał się. Stanął bez ruchu. Russ obserwował go spod przymrużonych oczu. Do tej pory Craven z pewnością porzucił nadzieję na wykorzystanie Jowisza. Jeśli nie zdołał wykorzystać wcześniej wielkiej planety, z pewnością nie mógł zrobić tego teraz. Za godzinę czy dwie Słońce zostanie przesłonięte przez Ziemię, a to zmniejszy nieco ilość energii promieniowania do przechwycenia. Tymczasem jednak Craven ładował baterie świetlne i ogniwa, magazynując zapas energii do wykorzystania w ostatniej rozpaczliwej próbie ucieczki, uwolnienia się od *Niezwycięzonego*.

Russ czekał na to. W tej chwili nic nie mógł zrobić. Silniki dawały z siebie ostatnie waty energii, jakie dawało się z nich wycisnąć. Jeśli Craven posiadał

energię potrzebną do uwolnienia się, to uwolni się... i tyle.

Minęła godzina. Wskaźnik podniósł się o ułamek punktu. Russ nadal obserwował go z odrętwiałym od zachowywania skupienia umysłem.

Nagle *Niezwycięzony* zdawał się drzeć i chwiać, jakby jakaś potężna siła wymierzyła mu przerażający cios. Igła cofnęła się prędko, opadając do mili na sekundę, a wreszcie do pół mili.

Wstrzymawszy oddech, Russ siedział wyprostowany, zaciskając wściekle zęby na ustniku fajki.

Craven zużył w tym uderzeniu całą zmagazynowaną energię! Wyczerpał ogniwa energetyczne do końca.

Russ wyskoczył z fotela i rzucił się do urządzeń obserwacyjnych. Pochylił się nad nimi, wpatrzony w obraz kosmosu. Daleko za nimi, statek Cravena kołysał się w próżni jak srebrna bombka. Kołysał się w tę i z powrotem jak potężne, kosmiczne wahadło. Obserwował bez tchu. Statek nadal tkwił w uścisku pola kosmicznego!

- Greg! Mamy go! - zawołał.

Wrócił pędem do tablicy rozdzielczej, rzucił okiem na wskaźnik prędkościomierza. Wskazówka wznosiła się szybko, osiągając pełną milę na sekundę. Po kolejnych piętnastu minutach doszła do półtorej mili. *Niezwycięzony* nabierał prędkości!

Silniki nadal zawodziły i wyły, z rykiem rzucając wyzwanie stawianemu im oporowi.

Po godzinie wskazówka wskazywała cztery mile na sekundę. Dwie godziny później doszła do dziesięciu i wznosiła się wyraźnie, w miarę jak zostawiali za sobą Jowisza, a Słońce stało się tylko rozżarzoną węgielką.

Russ przesunął stery, żeby wywołać przyspieszenie boczne i oba statki przeskoczyły daleko poza Neptuna. Zamierzali minąć tę masywną planetę w bezpiecznej odległości setek milionów mil.

- Wie, że oberwał - powiedział Greg. - Nawet nie spróbuje.

- Pewnie próbuje zgromadzić trochę energii - zasugerował Russ.

- Niewielka szansa, że mu się uda... - stwierdził Greg. - Obserwuj ten wskaźnik, dobrze? Za parę godzin osiągniemy prędkość światła, a wtedy równie dobrze może wyłączyć to swoje pole. Nie zdoła już złapać żadnego promieniowania.

Przy Neptunie Craven nie próbował niczego. Kiedy przecięli jego orbitę, planeta była daleko... co więcej, statki otoczyła teraz ściana ciemności. Podróżowali z potrójną prędkością światła i wciąż przyspieszali!

Godzina za godziną, dzień po dniu, wlokąc za sobą swoją ofiarę *Niezwyciężony* pędził zawzięcie w głąb próżni, w zupełne pustkowie przestrzeni międzygwiazdnej, gdzie gwiazdy przypominały plamki światła, jak obserwujące go z wielkiej oddali małe oczy.

Russ rozsiadł się na siedzeniu pilota i wyglądał przez panoramiczne okno sterowni. Niewiele widział, nie miał nic do roboty. Od całych dni nie było co oglądać ani co robić. Silniki wciąż grzmiały ryczącą pieśnią szybkości i mocy. Przed nimi rozciągała się pusta otchłań, której przypuszczalnie nigdy wcześniej nie przebyli przedstawiciele inteligentnych form życia, w każdy razie z pewnością nie ludzie.

Miał przed sobą tajemnice przestrzeni międzygwiazdnej. Tyle że wcale nie wydawała się tajemnicza. Była całkiem pospolita i zwyczajna, prawie monotonna. Russ zacisnął fajkę w zębach i roześmiał się gardłowo.

Były czasy, kiedy utrzymywano, że podróże z prędkością większą od światła są niemożliwe. Twierdzono też, że niemożliwe jest zmuszenie natury do odsłonięcia tajemnicy energii materii. A oto pędzili szybciej od światła, słysząc ryk silników zasilanych energią materii.

Zapuscili się lata świetlne poza ostatnią rubież Układu Słonecznego, tworząc nowy kosmiczny szlak, wytyczając nową drogę przez kosmiczne pustkowie.

W pomieszczeniu rozbrzmiały kroki Grega.

- Zalecieliśmy wystarczająco daleko, Russ, od spirali naszej Galaktyki. Może lepiej zacznijmy zwalniać.

- W porządku - zgodził się Russ. Pochylił się i chwycił stery. - Zwalniamy - powiedział.

Na statku zapadła nagła cisza. Uszy, nawykłe do gardłowego ryku silników, rezonowały w udręce brakiem dźwięku.

Po kilku ciągnących się minutach, usłyszeli inny dźwięk - łagodny szum pojedynczego silnika zasilającego aparaturę wewnętrzną i podtrzymującego osłony zewnętrzne.

- Kiedy tylko zejdziemy poniżej prędkości światła, przerzucimy nadajnik na statek Cravena i dowiemy się, czego tylko można, o jego masonerii - powiedział Greg. - Teraz nie ma sensu nawet próbować. Znajdujemy się w tej samej płaszczyźnie przestrzeni, z której on korzysta, więc nie moglibyśmy go nawet użyć.

- Rzeczywiście, poza poruszaniem się niewiele możemy zrobić - roześmiał się Russ. - W przestrzeni, w której się znaleźliśmy, energia po prostu nie może się przemieszczać. Utknęliśmy tu.

Greg usiadł w fotelu, spojrzał poważnie na Russa.

- Jaką dokładnie największą prędkość osiągnęliśmy? - zapytał.

Russ uśmiechnął się szeroko. - Przekroczyliśmy tysiąc razy prędkość światła - powiedział.

Greg gwizdnął bezgłośnie.

- No to jesteśmy daleko od domu.

Gwiazdy lśniły w oddali jak maleńkie główki szpilek, jak odbijające światło drobne kryształki. Maleńkie punkty świetlne i połyskujące zwoje srebrzystej koronki - upiornego i dziwnego pyłu gwiazdowego, który w rzeczywistości był zbiorowiskiem wielu milionów potężnych gwiazd.

I rozległe przestrzenie czarnej pustki pozbawione choćby jednego światła, w których rozciągała się niezmacona niczym ciemność.

Greg wypuścił delikatnie oddech.

- No to jesteśmy na miejscu.

- Gdziekolwiek to jest - uzupełnił Russ.

Nie dostrzegali żadnych znanych konstelacji, ani jednej znanej gwiazdy. Zniknęły wszystkie punkty orientacyjne znanej im przestrzeni.

- Nie ma tu naprawdę żadnych jasnych gwiazd - powiedział Russ. - Ani jednej. Dolecieliśmy do kompletnej pustki, miejsca, które jest względnie wolne od wszelkich gwiazd.

Greg skinął trzeźwo głową.

- Dobrze, że mamy te urządzenia śledzące. Bez nich nigdy nie znaleźlibyśmy drogi powrotnej. Na szczęście, mamy kilka, które nas doprowadzą z powrotem.

Za oknem sterowni widzieli statek Cravena. Uwolniony od pola holującego, dryfował powoli nadal popychany siłą pędu, jaka wytworzyła się podczas ich szaleńczej gonitwy w przestrzeni. Był tak blisko, że widzieli napis na dziobie.

- Nazwali go *MSE-I*- zauważył Russ.

Greg skinął głową.

- Chyba czas już porozmawiać z nimi. Obawiam się, że mogą być dość nerwowi.

- Masz jakieś pojęcie, gdzie jesteśmy? - dopytywał Ludwig Stutsman.

Craven pokręcił głową.

- Nie bardziej niż ty. Manning holował nas miliardy mil w przestrzeń międzygwiazdną, z dala od Układu Słonecznego. Przyjrzyj się tym gwiazdom, a zyskasz jakieś pojęcie.

Gładząc siwe wąsy, Spencer Chambers zapytał spokojnie:

- Jak pan sądzi, jakie mamy szanse na powrót?

- Tego dowiemy się pewnie trochę później - powiedział Craven. - W tej chwili nie wygląda to zbyt różowo. Ale nie to mnie martwi. Ciekaw jestem, co zrobią teraz Manning i Page, skoro udało im się nas tu zawlec.

- Też się nad tym zastanawiałem - powiedział głos dobiegający z powietrza.

Spojrzeli w miejsce, z którego wydawał się dobiegać. W powietrzu

pojawił się lekki efekt refrakcji, z którego wyłonił się szybko ludzki kształt. Był to Manning. Stanął przed nimi z uśmiechem.

- Witaj Manning - powiedział Craven. - Domyślałem się, że nas odwiedzisz, kiedy już zbierzesz siły.

- Słuchaj no... - warknął Stutsman, ale urwał, kiedy Chambers opuścił mu dłoń na ramię, ściskając je mocno.

- Macie dość powietrza? - zapytał Greg.

- Powietrza? No jasne. Generatory atmosfery działają świetnie - odpowiedział Craven.

- W porządku - powiedział Greg. - A co z jedzeniem i wodą? Wystarczy wam?

- Mamy go mnóstwo - powiedział Craven.

- Słuchaj, Manning, do czego zmierza całe to przesłuchanie? - wtrącił się Chambers. - Co chowasz w rękawie?

- Chciałem się tylko upewnić - powiedział mu Greg. - Nie chciałbym, żebyście z mojej winy głodowali tu lub czuli pragnienie. Nie chciałbym zastać was po powrocie martwymi.

- Po powrocie? - zapytał Chambers zaintrygowanym tonem. - Obawiam się, że nie rozumiem. Czy to jakiś żart?

- Nie - odparł poważnie Greg. - Sądziłem, że już się pan domyślił. Zostawię was tutaj.

- Zostawisz tutaj? - ryknął Stutsman.

- Trzymaj nerwy na wodzy - uciął Greg. - Tylko na chwilę, dopóki nie wrócimy do Układu Słonecznego i nie doprowadzimy do końca pewnej sprawy. Potem wrócimy tu, żeby was zabrać.

Craven skrzywił się.

- Sądziłem, że zrobicie coś w tym stylu. - Zerknął z ukosa na Manninga przez grube soczewki. - Nigdy nie przegrywasz, co?

Greg roześmiał się.

- Staram się do tego nie dopuszczać.

Między trójką mężczyzn a obrazem Manninga zapadło krótkie milczenie. Przerwał je Greg.

- Jak tam pański kolektor energii? - zapytał Cravena. - Da radę utrzymać tu statek? Dociera tu promieniowanie kosmiczne. Obawiam się, że niewiele poza tym.

Craven uśmiechnął się cierpko.

- Masz rację, ale poradzimy sobie. Za to ogniwa są praktycznie wyczerpane i nie będziemy w stanie nic zmagazynować. Nie miałbyś nic przeciwko temu, żeby przesłać nam trochę energii? Tylko tyle, żeby naładować ogniwa na wypadek nagłej potrzeby.

Obejrzał się przez ramię, z niemal zaniepokojoną miną.

- Wiesz, zawsze coś się może zdarzyć. Nie wiemy niczego o tym miejscu.

- Dam wam trochę energii - zgodził się Greg.

- Dziękuję bardzo - powiedział Craven, częściowo drwiącym tonem. - Niewątpliwie, ponieważ udało ci się nas tu zawlec, uważasz się za spryciarza, Manning. Wiesz, że utknęliśmy tu, nie mogąc zgromadzić więcej energii niż potrzeba nam do przeżycia.

- Dlatego właśnie to zrobiłem - powiedział Greg i rozpląnął się w powietrzu.

Craven przyglądał się, jak *Niezwyciężony* nabrał prędkości i sunął prędko przez czerń malejąc, a w końcu znikając całkiem, pochłonięty przez odległość lub przeskoczywszy do osobliwości nadprzestrzeni istniejącej poza prędkością światła.

Rozdział dziewiętnasty

Odwrócił się od okna, śmiejąc się głośno.

- Co cię tak bawi? - warknął na niego Stutsman.

Naukowiec spojrział gniewnie na wilczą twarz i nie odzywając się, podszedł do biurka i usiadł. Sięgnął po ołówek i papier.

Chambers podszedł, żeby go obserwować.

- Pan coś odkrył, doktorze - powiedział cicho.

Craven roześmiał się na całe gardło.

- Zgadza się, odkryłem. Całe mnóstwo rzeczy. Manning sądzi, że uda mu się nas tu zatrzymać, ale myli się. Przylecimy do Układu Słonecznego w niecały tydzień po jego powrocie.

Chambers stłumił westchnienie, spróbował mówić spokojnie.

- Naprawdę tak pan sądzi?

- Oczywiście, że tak. Nie tracę czasu na jakieś błazenady.

- Zdobył pan sekret wytwarzania energii materii?

- Nie - warknął naukowiec. - Ale mam coś równie cennego. Znam tajemnicę napędu Manninga: wiem, w jaki sposób udaje mu się przekroczyć prędkość światła - podróżować dziesięć tysięcy razy szybciej... Bóg jeden wie, o ile szybciej, gdyby tylko zechciał.

- Tego nie dokonałby żaden zwykły napęd - powiedział Chambers. - Do osiągnięcia takiej prędkości trzeba czegoś więcej niż energii.

- A żeby pan wiedział. A Manning ma to coś. Wykorzystuje pole kosmiczne. Myślę, że uda mi się je skopiować.

- Ile czasu to panu zajmie?

- Około tygodnia - powiedział Craven. - Może trochę dłużej, może trochę mniej. Ale kiedy ruszymy, polecimy z taką prędkością jak Manning. Będziemy mieli mało energii, ale sądzę, że temu też uda mi się zaradzić.

Chambers usiadł w fotelu przy biurku.

- Ale czy znamy drogę do domu?

- Możemy ją znaleźć - powiedział Craven.

- Ale nie ma tu znanych konstelacji - zaproponował Chambers. - Zawlókł nas tak daleko, że nie widać choćby jednej gwiazdy, którą ktoś z nas potrafiłby rozpoznać.

- Powiedziałem, że znajdę Układ Słoneczny i zrobię to - powiedział zniecierpliwionym tonem Craven. - Przecież Manning poleciał w tym kierunku, prawda? Widziałem, gdzie się kierował. Słońce to żółty karzeł, więc będę szukał po prostu gwiazdy tego typu.

- Ale może ich być więcej niż jedna - zauważył finansista.

- Oczywiście, ale są też inne sposoby na znalezienie i rozpoznanie Słońca - stwierdził Craven.

Nie udzielając już dalszych informacji, wrócił do pracy z notesem i ołówkiem. Chambers podniósł się ze znużeniem z fotela.

- Proszę powiedzieć mi, kiedy będzie pan już wiedział, co możemy zrobić - powiedział.

- Jasne - rzucił Craven.

- To właśnie Słońce - powiedział Craven. - Ta biała gwiazda między dwiema jaśniejszymi.

- Jesteś tego pewny? - zapytał Stutsman.

- Oczywiście. Ja nie popełniam błędów.

- To jedyny żółty karzeł w tej okolicy - dodał pomocnie Chambers.

- Nie, wcale nie o to chodzi - stwierdził Craven. - W istocie, widać kilka gwiazd o widmie typu G. Przyjrzałem się wszystkim i wiem, że mam rację.

- Skąd? - zakwestionował Stutsman.

- Za pomocą badania spektroskopowego. Nasze pole kolektora gromadzi energię jak soczewka ogniskowa. Widziałeś kiedyś soczewkę, prawda?

Skierował pytanie do Stutsmana, wpatrując się w niego.

Stutsman przestąpił niezgrabnie z nogi na nogę z nieszczęśliwą miną.

- Cóż, użyłem go w roli teleskopu - ciągnął Craven. - Przyciągnąłem światło słońc i poddałem je analizie. Rzecz jasna, nie przypomina to pracy z prawdziwym teleskopem, nie otrzymuje się obrazu ani niczego w tym stylu, za to nadaje się idealnie do badań spektroskopowych.

Czekali na wyjaśnienie. W końcu powiedział:

- Wszystkie badane przeze mnie gwiazdy były żółtymi karłami, tylko i wyłącznie, ale jedna z nich różniła się od pozostałych. Po pierwsze, spektroskop wykazał linie odbitego światła przechodzącego przez tlen, wodór, parę wodną i dwutlenek węgla. Czysto planetarne zjawiska niespotykane na samych gwiazdach. Wykazał też polaryzację pewnej części światła. Pamiętajcie, że badałem je dość długo, a długa obserwacja pozwoliła mi odkryć coś jeszcze, co mnie przekonało. Światło zmieniało się w nieregularnych okresach. Chronometry nie działają tu szczególnie dokładnie, więc nie potrafię podać wam jakiegoś wytłumaczenia, posługując się godzinami. Zauważyłem jednak pewną liczbę powtarzających się regularnie zmian natężenia i właściwości... a to dowodzi obecności pewnej liczby planet okrążających tę gwiazdę. To jedyne możliwe wytłumaczenie tych wahań, ponieważ żółte karły są stabilne - nie ulegają większym zmianom i nie wykazują wartych wzmianki wahań. Nie jak cefeidy czy mirydy.

- I to dowodzi, że to jest nasze Słońce? - zapytał Chambers.

Craven skinął głową.

- Powiedziałbym, że dość stanowczo.

- Jak daleko jest? - chciał wiedzieć Stutsman.

Craven parsknął.

- Na takie pytanie musiał pan się zdobyć.

- Istnieją przecież sposoby pomiaru odległości gwiazdy od jakiegokolwiek punktu w przestrzeni, za pomocą pomiaru zarówno odległości jak i rozmiaru gwiazdy - powiedział Stutsman.

- Dobrze, proszę, znajdź coś solidnego i mierzalnego w naszym zasięgu - zgodził się Craven. - W miarę możliwości coś o średnicy 200 milionów mil

lub coś koło tego. Wtedy powiem, jak daleko jesteśmy od Słońca. Ten statek nie porusza się po orbicie. Nie znajduje się w ustalonym punkcie przestrzeni. Nie ma sposobu, żeby równocześnie i dokładnie zmierzyć kąty i odległości.

Craven i Stutsman piorunowali się wzrokiem.

- Jakkolwiekby patrzeć, to daleko - powiedział finansista. - Jeśli mamy tam dotrzeć, musimy wyruszyć najszybciej jak to możliwe. Jak szybko możemy wyruszyć, doktorze?

- Niedługo. Stworzyłem już pole skupiające grawitację, a Manning zostawił mi dostateczny zapas energii na dobry start. - Roześmiał się, zdjął okulary, wytarł soczewki i włożył je z powrotem. - Wyobraźcie sobie tylko - to on dał mi tę energię!

- Ale co zrobimy, kiedy ją zużyjemy? - zapytał Chambers. - Pański kolektor nie zapewni nam dość mocy na dalszy lot.

- Racja, ale uda nam się zebrać jej więcej - przyznał Craven. - Nabierzemy prędkości ile zdołamy, po czym wyłączymy napęd i pozwolimy, żeby niósł nas sam pęd. Tymczasem nasze pole kolektora będzie gromadzić dla nas energię. Zamiast oddalać się od źródła promieniowania, będziemy się teraz do niego zbliżać. Tu, przy małym napięciu grawitacyjnym i mniejszej ilości przeciwstawnych linii przyciągania, możemy rozszerzyć pole do tysiący mil średnicy. Nowe baterie świetlne też się przydadzą.

- Jak panu z nimi idzie? - zapytał Chambers.

Craven uśmiechnął się szeroko.

- Za kilka godzin zamontujemy cały szereg, i zastąpimy pozostałe tak szybko, jak się da. Pracuje nad nimi praktycznie cała załoga. Manning nie wie o tym, ale odkrył granice możliwości tych baterii, kiedy jeszcze w Układzie Słonecznym słał w nas moc. Spalił je. Pomyślałbym, że to niemożliwe, ale jemu to się udało. To naprawdę łebski facet. Trzeba to oddać jemu i Page'wi.

Z wyglądu nowe baterie tylko nieznacznie różniły się od starych. Opróżniona bateria nowego typu była mlecznobiała, podczas gdy stare miały

w tym samym stanie srebrzystą barwę. Za różnice w wyglądzie odpowiadała ziarnista powierzchnia nowych baterii, pokryta w najdrobniejszych częściach jeszcze mniejszymi maleńkimi sześciokątnymi piramidami i pryzmatami.

- Kwestia niewielkiej zmiany stopu - wyjaśnił Cra-ven. - Pryzmaty i piramidy powstają w trakcie krystalizacji stopu. W rezultacie otrzymujemy tysiąc razy większą powierzchnię niż w starych bateriach. To pomaga przechwycić każdą odrobinę energii.

MSE-I mknął jak strzała w stronę gwiazd, pędząc z przerażającą prędkością, podczas gdy soczewka kolektora przechwytywała wszelkie padające na nią rodzaje promieniowania, ładując wielkie rzędy ogniwi. Żółty karzeł, w którego stronę lecieli, nadal był blady, ale dwie jaśniejsze gwiazdy po obu jego stronach płonęły na czarnym tle kosmosu jak ogniste klejnoty.

- Twierdzi pan, że Manning wyprzedzi nas tylko o tydzień lub dwa? - zapytał Chambers.

Craven spojrział na finansistę, zwężając oczy za grubymi soczewkami. Przygryzł wargi i powrócił do panelu sterowania.

- Może trochę dłużej - przyznał się w końcu. - Tracimy czas, zmuszeni lecieć tylko dzięki pędowi, żeby zgromadzić energię. Ale im bliżej tych gwiazd jesteśmy, tym więcej będziemy mieli energii i będziemy w stanie poruszać się szybciej.

Chambers myślał intensywnie, bębniąc bezcelowo w oparcie fotela.

- Może jest jeszcze czas - powiedział częściowo do siebie. - Z mocą, jaką zdobędziemy w Układzie Słonecznym, może uda nam się powstrzymać Manninga i rewolucję. Możemy odzyskać kontrolę.

Craven milczał, obserwując wskaźniki.

- Wracając po nas, Manning może nawet się z nami rozminąć - ciągnął Chambers. - Sądzi, że wciąż tam jesteśmy. Nie spodziewałby się znaleźć nas tu, gdzie jesteśmy, o całe lata świetlne od miejsca, z którego wyruszyliśmy.

Craven posłał mu dziwne spojrzenie.

- Nie byłbym tego taki pewny. Manning trzyma nas na jakiejś smyczy.

Oznaczył nas w jakiś sposób. Bez względu na to, gdzie byliśmy, zawsze udawało mu się nas znaleźć. Mam przeczucie, że znów mu się to uda, nawet tutaj.

Chambers wzruszył ramionami.

- Tak naprawdę to nieważne. Byle dotrzeć na tyle blisko Słońca, żeby naładować ogniwa i nabić do pełna baterie świetlne. Z takim ładunkiem pokonamy go ze związanymi rękami.

Finansista zamilkł. Wyglądał przez okno, obserwując gwiazdy, wciąż dalekie, ale o wiele bliższe niż przedtem.

W myślach szumiały mu marzenia. Ożywione ponownie stare marzenia o podboju i imperium, o mocy trzymającej w uścisku cały układ słoneczny.

Craven przerwał mu bieg myśli.

- Gdzie nasz kolega Stutsman? Nie widziałem go tu ostatnio.

Chambers zarechotał dobrotliwie.

- Dąsa się. Zdaje się, że wbił sobie do głowy, że żaden z nas go nie lubi. Większość czasu spędza z załogą w maszynowni.

- Rozmawialiście o mnie? - zapytał czyjś głos przesłodżonym tonem.

Odwrócili się i zobaczyli stojącego w wejściu do sterowni Stutsmana. Wykrzywił twarz w wilczym uśmiechu, ściskając w prawej dłoni miotacz promieni cieplnych.

- Co to ma znaczyć? - zapytał Chambers głosem ostrym jak dźwięk dzwonu.

Stutsman wykrzywił twarz jeszcze mocniej w przesadnym uśmiechu.

- To jest bunt - powiedział. - Przejmuję dowodzenie! - Roześmiał się im w twarz. - Nie ma sensu wzywać załogi. Są po mojej stronie.

- Niech cię szlag! - krzyknął Chambers, dając krok do przodu. Zatrzymał się, kiedy Stutsman uniósł gwałtownym ruchem miotacz.

- Zapomnij o tym, Chambers. Od tej chwili zajmujesz tylko drugie miejsce. Może nawet nie drugie. Spróbowałeś być dyktatorem i nawaliłeś. Zmiękleś. Od tej chwili przyjmujesz polecenia ode mnie. Żadnych pytań,

żadnego pyskowania. Rób, co ci powiem, a może nie spotka cię krzywda.

- Oszalałeś, Stutsman! - zawołał Chambers. - Nie ujdzie ci to na sucho.

- A kto mnie powstrzyma? - roześmiał się oschłe Stutsman.

- Ludzie - krzyknął w jego stronę Chambers. - Ludzie to zrobią. Nie dopuszczą do tego. Kiedy wrócisz do Układu Słonecznego...

Stutsman warknął i zrobił krok w stronę Chambersa, mierząc do niego z pistoletu.

- W tej sprawie ludzie nie będą mieli nic do powiedzenia. Będę rządził Układem Słonecznym jak zechcę.

Nikt nie będzie mógł nic powiedzieć. Marzyło ci się imperium? Marzyła się dyktatura nad układem? No to spójrz na mnie! Zbuduję prawdziwe imperium, ale to ja stanę na jego czele... nie ty.

Craven usiadł w fotelu, założył nogę na nogę.

- Co dokładnie zamierza pan zrobić, dyktatorze Stutsman?

Słyszając bezczelny ton Cravena, Stutsman praktycznie puścił pianę z ust.

- Najpierw zniszczę Manninga. Zetrę go z powierzchni Ziemi. Zrobię to za pomocą tego statku. Sam powiedziałeś, że to potrafi. Ma dziesięć razy więcej mocy niż on. A wtedy...

Craven uniósł dłoń i uciszył go gestem.

- A zatem planuje pan dotrzeć do Układu Słonecznego, znaleźć Manninga i zniszczyć jego statek? Niezły plan.

- Co z nim nie tak? - rzucił mu wyzwanie Stutsman.

- Nic - odpowiedział spokojnie Craven. - Absolutnie nic... *poza tym, że być może nigdy nie dotrzemy do Układu Słonecznego!*

Wydawało się, że Stutsman oklapł. Wilczy grymas opadł. Otworzył szeroko oczy. W końcu zebrał się w sobie z pewnym wysiłkiem.

- Co masz na myśli? Dlaczego nie? - Wskazał gestem okno, w kierunku świecącej między dwiema jaśniejszymi maleńkiej żółtej gwiazdy.

- To nie jest nasze Słońce - powiedział Craven. - Ma planety, ale to nie ono.

Chambers rzucił się w stronę Cravena, sięgnął ręką, podniósł go z fotela i

potrząsnął nim.

- Żartujesz chyba! To musi być Słońce!

Craven uwolnił się z uścisku Chambersa. - Ja nigdy nie żartuję - powiedział opanowanym tonem. - Popełniliśmy błąd, to wszystko. Nie chciałem wam jeszcze mówić. Miałem zamiar podejść bliżej tej gwiazdy i naładować do pełna ogniwa, a potem spróbować zlokalizować nasze Słońce. Ale obawiam się, że to beznadziejne zadanie.

- Beznadziejne? - zaskrzeczał Stutsman. - Próbujecie mnie oszukać. Zmówiliście się we dwójkę. To jest Słońce. Wiem to!

- Nie - powiedział Craven. - Manning nas wykiwał. Wystartował w złym kierunku. Kazał nam myśleć, że wrócił prosto do Układu Słonecznego, ale tak nie zrobił. Zatoczył koło i poleciał w jakimś innym kierunku.

Naukowiec przyglądał się spokojnie Stutsmanowi. Kostki zbladły mu od ściskania broni.

- Zgubiliśmy się - powiedział Craven, patrząc mu prosto w oczy. - Może już nigdy nie znajdziemy Układu Słonecznego!

Rozdział dwudziesty

Rewolucja na planetach Układu skończyła się. Urzędnicy MSE i dowódcy wojsk schronili się na Ziemi. MSE było skończone - skończone na zawsze, ponieważ wszystkie planety, w tym Ziemia, rozbrzmiewały szumem silników zasilanych energią materii. Ludzie nareszcie mieli nadmiar energii, tak taniej, że jako towar stała się praktycznie bezwartościowa, choć była bezcenna jako sposób na nowe, wspanialsze, pełniejsze życie - na osiągnięcie przeznaczenia ludzkości - gwiazd.

Akcje MSE stały się bezwartościowe. Potężne elektrownie na Wenus i Merkury stały bezczynne. Jedyne pozostałe realnym majątkiem firmy były floty statków kosmicznych jeszcze przed niecałym miesiącem używanych do transportowania ogniw na światy zewnętrzne i przewożenia ich z powrotem w stronę Słońca do ponownego naładowania.

W całym Układzie Słonecznym wszystkie rządy wydały patenty chroniące prawa do silników zasilanych energią materii. Na gruzach starych tworzono nowe rządy. John Moore Mallory został już zaprzysiężony jako prezydent Konfederacji Jowisza. Wybory na Marsie i Wenus miały odbyć się za tydzień.

Merkury, który po zniszczeniu obrotu ogniw stał się nieprzydatny, został porzucony. Ludzie nie deptali już jego powierzchni. Potężne kopuły opustoszały. Wypalona, bezwartościowa planeta biegła swoim torem, jak robiła to od miliardów lat, ignorowana i unikana przez ludzkość. Przez krótką chwilę zaznała zdobywczego kroku ludzkości, odegrała rolę w międzyplanetarnym handlu, a teraz powróciła do pierwotnego stanu - samotnego wędrowca przysłonecznych rejonów, pariasa wśród pozostałych planet.

Russell Page spojrział przez biurko na Gregory'ego Manninga. Westchnął

ciężko i wygrzebał fajkę z kieszeni marynarki.

- Skończone, Greg - powiedział.

Greg przytaknął uroczyście, przyglądając się jak Russ nabija fajkę i przykłada do niej zapalnik.

Z wyjątkiem małej załogi, bylina *Niezwycięzonym* sami. John Moore Mallory i reszta, ludzie którzy mieli przejść do historii Układu Słonecznego, byli już na własnych światach, tworząc rządy i spełniając żądania ludzi.

Niezwycięzony wisiał w przestrzeni niedaleko Kallisto. Russ spojrzął na potężny księżyc, na samotny przestwór jego skutej lodem powierzchni, na srebrny punkt, w którym wznosiła się kopała Ranthoor.

- Załatwiliśmy wszystko poza jednym - powiedział Greg.

- Trzeba polecieć po Chambersa i resztę - powiedział Russ, pykając fajkę.

Greg skinął głową.

- Właściwie możemy już ruszać.

Russ wstał powoli, podszedł do szafki ściiennej i wyjął automatycznego detektywa mieszczącego maleńkie pole kosmiczne otaczające drobinę metalu, która miała doprowadzić ich do *MSE-I*. Ostrożnie podniósł maszynę z miejsca i postawił ją na biurku. Pochylił się nad nią, obserwując zegary.

Nagle gwizdnął.

- Przemieścili się, Greg! Nie ma ich w miejscu, gdzie ich zostawiliśmy!

Greg stanął szybko przy nim i wpatrzył się w odczyty.

- Oddalają się od nas... w przestrzeń. Gdzie też mogą lecieć?

Russ wyprostował się, nachmurzony, ssąc fajkę.

- Prawdopodobnie znaleźli innego żółtego karła i kierują się w jego stronę. Pewnie myślą, że to stare dobre Słońce.

- Na to wygląda - powiedział Greg. - Żeby zgubić Cravena oblecieliśmy cały sektor przestrzeni, zapędzając kilkakrotnie kurs, żeby stracił wszelkie poczucie kierunku. Musiał się zgubić.

- Wygląda jednak na to, że coś ma - zauważył Russ. - Zostawiliśmy go na mieliźnie - w martwym punkcie, gdzie docierało niewiele promieniowania, a

w pobliżu nie było ciał, które mógłby wykorzystać do uzyskania energii. Mimo to, cały czas jest w ruchu i oddała się od nas.

- Rozgryź nasze pole skupiające grawitację - powiedział Greg. - Oszukał nas, żeby zdobyć potrzebną do jego stworzenia energię.

Spoglądali po sobie przez dłuższą chwilę.

- To by było na tyle - powiedział Russ. - Craven, Chambers i Stutsman. Trzy czarne charaktery. Zagubione w kosmosie. Kierujące się w stronę niewłaściwej gwiazdy. Beznadziejnie zagubione. Może już nigdy nie odnajdą drogi powrotnej.

Urwał i znowu zapalił fajkę. W pomieszczeniu zapadła bolesna cisza.

- Poetycka sprawiedliwość - powiedział Russ. - Żegnajcie.

Greg pocierał niezdecydowanie dłonią o biurko.

- Nie potrafiłbym tego zrobić, Russ. To my ich tam ściągnęliśmy i osadziliśmy jak statek na mieliźnie. Musimy ściągnąć ich z powrotem albo nie będę mógł spać po nocach.

Russ roześmiał się cicho, przyglądając się wpatrzony w niego posępnej twarzy.

- Wiedziałem, że to powiesz.

Wystukał fajkę, zgniótł obcasem odrobinę tytoniowego żaru. Włożywszy fajkę do kieszeni, podszedł do tablicy rozdzielczej, usiadł i wyciągnął rękę do dźwigni. Silniki szumiały coraz głośniej. *Niezwyciężony* wystrzelił w kosmos.

- Jest już za późno - powiedział Chambers. - Zanim dotrzemy do tego układu planetarnego i naładujemy ogniwa, Manning i Page będą kontrolowali cały Układ Słoneczny. Nawet gdybyśmy potrafili znaleźć gwiazdę, która jest naszym Słońcem, nie mielibyśmy szansy, żeby dotrzeć tam na czas.

- Niedobrze - powiedział Craven i pokiwał głową, niczym pełna powagi sowa. - Niedobrze. Dyktator Stutsman nie będzie miał szans, żeby się popisać.

Stutsman zaczął już coś mówić, ale zmienił zdanie. Oparł się w fotelu. U pasa wisiał mu miotacz ciepłny.

Chambers przyglądał się broni ze źle skrywanym obrzydzeniem.

- Nie ma sensu udawać teraz żołnierzyka. Nie mamy zamiaru walczyć z twoim buntem na pokładzie. Jak dotąd przejęcie przez ciebie statku nie zmieniło naszej sytuacji, więc po co mielibyśmy walczyć?

- To też niczego nie zmieni - powiedział Craven. - Ponieważ czeka nas jedno z dwojga. Albo zgubimy się na zawsze i nigdy nie znajdziemy drogi powrotnej, spędzając resztę naszych dni na wędrówce od gwiazdy do gwiazdy, albo przyleci tu Manning, złapie nas za uszy i ściągnie z powrotem do domu.

Chambers zerwał się z miejsca, pochylił do przodu i utkwiał w Cravenie stalowy wzrok.

- Naprawdę sądzi pan, że mógłby nas znaleźć?

- Nie mam co do tego żadnych wątpliwości - odparł Craven. - Nie wiem, jak to robi, ale jestem przekonany, że potrafi. Bardziej prawdopodobne jednak, że odkryje, iż się zgubiliśmy i w ten sposób się nas pozbędzie.

- I tu się pan myli - powiedział Chambers. - Manning nie postąpiłby w ten sposób. Przyleci po nas.

- Nie wiem, dlaczego miałby to zrobić - uciął Craven.

- Ponieważ taki już jest - stwierdził Chambers.

- Co zrobicie, jeśli naprawdę tu przyleci? - zapytał

Stutsman. - Rzucicie mu się na szyję i ucałujecie?

Chambers uśmiechnął się, pogładził wąs.

- Ależ nie - powiedział. - Będziemy walczyć. Przyłożymy mu wszystkim, co mamy, a on zrobi to samo. Byłoby nienaturalne, gdybyśmy tak nie zrobili.

- Cholerna prawda, będziemy walczyć - warknął Stutsman. - Ponieważ to ja kieruję tym cyrkiem. Wydaje się, że o tym zapominacie. Kiedy naładujemy ogniwa, będziemy mieli dość mocy, żeby go zniszczyć i właśnie to zamierzam zrobić.

- W porządku, cudownie - powiedział drwiącym tonem Craven. - Zapominasz tylko o jednym. Manning to jedyny człowiek, który może nas

zaprowadzić z powrotem do Układu Słonecznego.

- To nie ma żadnego cholernego znaczenia - pieklił się Stutsman. - W jakiś sposób znajdę drogą powrotną.

- Ty się boisz Manninga - rzucił mu Chambers.

Stutsman sięgnął dłonią do rękojeści miotacza. Oczy zaszkliły mu się, a twarz wykrzywił grymas niewypowiedzianej nienawiści.

- Nie wiem, dlaczego trzymam cię jeszcze przy życiu. Craven jest dla mnie cenny. Nie mogę go zabić. Ale ty nie jesteś. Nie znaczysz ni cholery dla nikogo.

Chambers spojrzał mu prosto w oczy. Stutsman zdjął dłoń z miotacza, wstał przygarbiony i wyszedł z pomieszczenia.

Bać się Manninga! Roześmiał się pustym, bulgoczącym śmiechem. Bać się Manninga!

Bał się jednak.

W głowie dudniło mu jedno zdanie. Słowa, które usłyszał z ust Manninga, kiedy na jego drwiące zaproszenie obserwował dzięki telewizji laboratorium. Słowa, które wbiły mu się w umysł i wypaliły w nim swój ślad, sprawiając, że jego dusza uschła i skurczyła się.

Rzeczowe i poważne słowa Manninga do Scorio. *Obiecuję ci, że zajmiemy się Stutsmanem!*

Manning ujął, jednego po drugim, Scorio i jego gangsterów, po czym rozesłał ich w odległe zakamarki Układu Słonecznego. Do straszliwej Floty Wulkana, do Bastionu, do więzienia na Tytanie, do piekła na Weście. Sam Scorio trafił na położoną na bagnach Wenus górę. Nie mieli żadnych szans. Zostali otoczeni ścianą pola siłowego i przerwani przez miliony mil próżni. Bez procesu, bez przesłuchania... bez niczego. Tylko straszny, nieubłagany wyrok.

Obiecuję ci, że zajmiemy się Stutsmanem!

- Od Cravena dzieli nas już tylko kilka miliardów mil - powiedział Gregory Manning. - Z naszym zapasem prędkości za parę godzin powinniśmy się z nim zrównać. Wciąż brakuje mu energii, ale to się szybko

zmienia. Z każdą minutą zbliża się do tej gwiazdy, a lecąc w jej stronę przechwytuje wysyłane przez nią promieniowanie. W ten sposób może zgromadzić o wiele więcej energii niż w zwykłych okolicznościach.

Usadowiony przy sterach Russ, skinął przytomnie głową, z zaciśniętą w zębach fajką obserwując wskaźniki.

- Boję się tylko, że zanim go dogonimy podejście za blisko tej gwiazdy - powiedział. - Jeśli uda mu się to, będzie mógł przyłożyć nam mocniej niż my jemu. Oczywiście, włoży wszystko w jeden strzał, bo nie dysponuje zapasem energii jak my. Musi ją powoli gromadzić. Ale kiedy już ją zgromadzi, może rzucić nam wyzwanie i jeszcze wygrać. Wolałbym nie brać na siebie całej mocy, jaką może upakować w tych ogniach.

Greg wzdrygnął się.

- Ja też.

Niezwyknięty leciał z prędkością nadświatłą, otoczony towarzyszącym jej tajemniczym mrokiem. Na zewnątrz statku nie widzieli niczego, ponieważ nie było czego widzieć. Jednak ustawiony na honorowym miejscu na panelu nawigatora niewielki automat śledzący informował ich cały czas o pozycji i odległości *MSE-I*.

Rozparty w fotelu Greg przyglądał się Russowi.

- Nie sądzę, żebyśmy musieli się martwić tym, że spróbuje rzucić w nas cały zapas z ogni - powiedział.

- Nie odważy się ładować ich do szczytowej pojemności. Musi zostawić dość pojemności roboczej, żeby poradzić sobie ze wszystkim, co możemy mu posłać, a wie, że mamy tego mnóstwo. Cały czas musi utrzymywać ten zapas pojemności, poza tym co zgromadzi do zasiania statku, ponieważ jego pole pochłaniające jest równocześnie osłoną. Musi też używać energii do zablokowania naszego nadajnika.

- W takim razie ma chyba z nami mnóstwo kłopotów - roześmiał się Russ.

Sterownię wypełniał ryk silników. Słyszeli ten grzmot od całych dni, nawykli już do niego, ledwie go zauważając. Dziesięć potężnych silników

pchało *Niezwycięzonego* naprzód z prędkością, jakiej nie osiągnął jeszcze żaden statek, z wyjątkiem może *MSE-I*. Wskutek niedoboru energii Craven musiał jednak utrzymywać mniejszą prędkość. Nie odważyłby się dość do osiągniętego przez nich przyspieszenia, z obawy przed wyczerpaniem baterii i brakiem możliwości naładowania ich ponownie.

- Może nie będzie walczyć - powiedział Russ. - Może odkrył już, że leci w kierunku niewłaściwej gwiazdy. Może ucieszy się na nasz widok i wróci do Układu Słonecznego po naszym śladzie.

- Nie ma szans. Craven i Chambers nie przepuszczą okazji do walki. Choćby dla zachowania pozorów przywalą nam parę razy.

- Zbliżamy się do nich cały czas - powiedział Russ.

- Nie będzie zbyt trudno sobie z nimi poradzić, jeśli dopadniemy ich cztery czy pięć miliardów mil od tej gwiazdy. Owszem, dostaną mnóstwo promieniowania, ale nie aż tyle, na ile mieliby ochotę.

- Wkrótce zaczną zwalniać - stwierdził Greg. - Nie mogą ryzykować wejścia w układ planetarny z obecną prędkością. Nie zechce też tracić energii na użycie pola w roli hamulca, ponieważ wie już pewnie, że ścigamy go i będzie potrzebował na nas wszelkiej dostępnej energii.

Mijały godziny. *Niezwycięzony* zbliżał się coraz bardziej. Nagle zdało się, że skoczył naprzód, kiedy *MSE--I* zaczął wytracać prędkość.

- Daj mu wszystko, co masz - popędzał Russa Greg. - Na hamowanie wystarczy nam mocy. Mamy jej mnóstwo. Możemy przegonić go i zatrzymać się w ułamku czasu, jakiego oni potrzebują.

Russ skinął głową z poważną miną. Wskaźnik odległości automatycznego detektywa opadał szybko. Greg wyskoczył z fotela, zawisając nad nim bez tchu.

- Może lepiej zwolnijmy już teraz - powiedział. -W przeciwnym wypadku, znajdziemy się wewnątrz tego układu planetarnego.

- Jak daleko dotarł Craven? - zapytał Russ.

- Dość daleko - odpowiedział z nieszczęśliwą miną Greg. - Od gwiazdy

dzieli go nie więcej niż trzy miliardy mil, a ta jest dość gorąca. Owszem, to żółty karzeł, ale sporo młodszy od starego Słońca.

- Damy im znać, że tu jesteśmy - uśmiechnął się szeroko Greg. W *MSE-I* uderzyła wysłana przez niego wiązka.

Drugi statek zatoczył się, ale odzyskał balans.

- Już wiedzą - powiedział zdawkowo Russ ze swojej pozycji przed wizjerem. - Trochę nimi potrząsnęliśmy.

Czekali. Nic się nie działo.

Greg podrapał się w głowę.

- Może miałeś rację. Może nie chcą walczyć.

Obserwowali razem *MSE-I*. Statek nadal leciał w stronę odległego słońca, jakby nic się nie wydarzyło.

- Przekonajmy się - powiedział Greg.

Powróciwszy do sterów, wystrzelił potężną wiązkę ściąającą, więżąc drugi statek w sieci sił, które w widoczny sposób zmniejszyły jego prędkość.

Przestrzeń rzygnęła nagle strzelającymi płomieniami, które rozpełzły się żywymi wstęgami po poszyciu *Niezwycięzonego*. Silniki wyły, walcząc dzielnie, aby utrzymać zewnętrzną osłonę. Do sterowni dotarł gryzący zapach ozonu. Cały statek szarpał, drżał i skrzypiał, jakby rozrywano go na strzępy.

- Nie będą walczyć, co? - krzyknął Russ.

Greg zgrzytnął zębami.

- Zerwali się z wiązki ściąającej.

- Mają sporo mocy - stwierdził Russ.

- Aż za dużo - powiedział Greg. - Więcej niż im się sprawiedliwie należy.

Wyciągnął rękę do dźwigni i szarpnął ją w dół. Wyjące silniki wystrzeliły wiązkę, bijąc o drugi statek uwolnioną nagle wściekłą mocą.

Greg przekręcił wskaźnik. Generatory zagrzmiały w sprzeczności.

- Poczęstowałem ich zakresem radiacji - powiedział Greg.

MSE-I chwiał się pod przerażającym ostrzałem, ale jego osłona radziła sobie z każdą drobiną energii posyłaną w nią przez Grega.

- Ich baterie świetlne nie poradzą sobie z tym - zawołał Russ. - Żadna bateria nie zdołałaby przyjąć wszystkiego, co im posłałeś. Chyba że...

- Chyba że co?

- Chyba że Craven je udoskonalił.

- Musimy się tego dowiedzieć. Przygotuj nadajnik.

Russ skoczył do transmitera telewizji.

Chwilę później uniósł wymizerowaną twarz.

- Nie mogę się przebić - powiedział. - Craven zablokował nasze promienie, a teraz odciął jeszcze nasz nadajnik.

Greg skinął głową.

- Można było się tego spodziewać. Skoro udało mu się popsuć nasze nadajniki na satelitach Jowisza, z pewnością może zablokować przed nimi swój statek.

Popchnął dźwignię z całych sił, kierując w wiązkę ostateczny zapas mocy. Silniki wrzasnęły jak obłąkane, wyjąc i rycząc. W jednej chwili wokół *MSE-I* rozciągnęła się ogromna, ognista sieć pełzających i skaczących płomieni, zmieniając go w płonące piekło.

W odpowiedzi, kiedy *MSE-I* przerzucił ogrom prze-chwytywanej energii z przeładowanych ogniów do rozmaitych automatycznych zaworów bezpieczeństwa. *Niezwycięzonego* trafił tuzin potężnych wiązek.

Osłona broniącego się *Niezwycięzonego* rozbłysła, a dziesięć wielkich silników zajęczało w ostatecznej agonii. Kolejne fale płomieni opuszczały *MSE-I* powolnymi wybuchami.

Temperatura w sterowni *Niezwycięzonego* rosła. Zapach ozonu stał się na tyle ostry, że zaczęły im łzawić oczy, a nozdrza paliły. Wizjer zaślepiły strzelające płomienie pełgające i wijące się po osłonie za szkłem.

Russ rozerwał kołnierzyk koszuli, otarł twarz rękawem.

- Spróbujmy czystej siły magnetycznej!

Greg, z twarzą zawziętą i ponurą jak kamienna ściana, zgodził się chrzęknięciem. Zatańczył palcami nad sterowaniem ręcznym.

Gwiazdy na zewnątrz zamigotały nagle i zawirowały jak oszalałe, jakby tańczyły hałaśliwą gigę, w której część podskakiwała z werwą w górę i w dół, podczas gdy inne oklaskiwały to przedstawienie dla ich nie mrugających oczu.

Pole magnetyczne zacieśniało się, zakrzywiając światło odległych gwiazd i prostując je z powrotem. MSE-I zataczał się jak pijany, a wielkie łuki elektrycznych płomieni tworzyły szalone pętle, nurkując w samo serce pola.

Gwiazdy znów zatańczyły swój dziwny taniec w odległej przestrzeni, kiedy ogniwa *MSE-I* wystrzeliły potężny ładunek, próbując stawić opór energii pola.

Pole rozjarzyło się łagodnie i zniknęło.

- Wciąż udaje im się nas zablokować - jęknął Russ. - Musi być jakiś sposób, coś, co możemy zrobić. - Spojrzał na Grega. Ten otarł twarz, uśmiechając się bez humoru. - Możemy coś zrobić - stwierdził ponurym głosem Russ. - Już dawno powinniśmy o tym pomyśleć.

Podszedł do biurka, wyciągnął rękę i przysunął do siebie kalkulator.

- Zajmij ich czymś - rzucił. - Zaraz to obmyślę.

Z maszynowni dobiegał ryk i szum pracujących silników, a *Niezwycięzony* znowu zadrzał, kiedy Greg z posępną miną posyłał w *MSE-I* jedną wiązkę po drugiej.

MSE-I zrewanżował się, trafiając *Niezwycięzonego* wiązką fal o częstotliwości radiowej, które zapłonęły wściekle na zewnętrznej osłonie. Równocześnie, statek włożył całą zgromadzoną energię w nagły skok naprzód, kierując się w stronę położonej o niecałe trzy miliardy mil gwiazdy.

Greg działał desperacko, klnąc pod nosem. Zdjął osłonę zewnętrzną, blokującą bezpośrednio energia za energię częstotliwość radiową, i pozwolił, żeby wią-zka trafiła prosto w drugą osłonę, pole inwersji, które odbiło większą część uderzenia w przestrzeń.

Kiedy wyeliminowano konieczność utrzymywania pierwszej osłony, silniki jęknęły łagodnie i przycichły nieco. Ale zawyły ponownie, kiedy Greg

wysłał wiązkę ściągającą, która przechwyciła *MSE-I* i ciągnęła go, dopóki nie stanął w miejscu. Statek Cravena zdążył już jednak przebyć milion mil, a znalazłszy się bliżej źródła energii, zdobył ogromną przewagę bojową.

- Russ - sapnął Greg - jeżeli czegoś zaraz nie wymyślisz, będzie po nas. Udało im się zablokować wszystko, co możemy im posłać. Udało im się podejść bliżej tej gwiazdy. Jeszcze jeden taki skok, a nie będziemy mieli żadnych szans.

Russ podniósł wzrok, żeby mu odpowiedzieć, ale zamilkł, opuściwszy w zdumieniu usta. Z *MSE-I* biła w ich stronę straszliwa smuga oślepiająco białego światła, wzdłuż której sunęła naprzód jak po autostradzie horda małych zielonych postaci, przypominających ruchliwe zielone ameby. Wiły się, kłębiąc, w kierunku *Niezwycięzonego*, wyciągając w stronę osłony pola inwersji głodne, bladozielone nibynóżki - i przegryzając się przez nią!

Gdziekolwiek trafiły, w osłonie pojawiały się dziury. Z łatwością przepawiły się przez pole inwersji i zaczęły drążyć wewnętrzną osłonę antyentropijną. Wgryzały się w pole antyentropii - w stan skupienia materii, który Russ i Greg uznawali do tej pory za odporny na wszelkie zmiany!

Przez chwilę obaj mężczyźni tkwili jak zahipnotyzowani w miejscu, niezdolni uwierzyć świadectwu własnych oczu. Amebowate stworzenia nadciągały jednak coraz większymi falami, gryząc łąpczywie pole antyentropii, wżerając się w nie, zdzierając po kawałku i drążąc w nim dziury.

Gdyby udało im się pokonać pole antyentropii, prz ejdą przez stalowe poszycie *Niezwycięzonego* jak prz-ez papier! A nadciągało ich więcej, coraz więcej!

Ze stłumionym okrzykiem zdumienia, Greg posłał wiązkę energii prosto w środek hordy ameb. Małe świetliste stworzenia pochłonęły ją i zniknęły, równie tajemniczo jak się pojawiły. Pożerały i ginęły, ale miejsca poprzednich wciąż zajmowały kolejne. Otoczyły wiązkę i wgryzały się w nią na całej długości. Znowu też zaatakowały osłonę.

Przebijały się przez ściany energii i metalu. W starciu potężnych energii na zewnątrz *Niezwycięzonego*, zapłonęło uciekające ze statku jonizowane powietrze.

Russ pochylił się nad sterami nadajnika telewizyjnego. Przebierał nad nimi palcami, oddychając jękliwie.

- Potrzebuję energii, Greg - powiedział. - I to mnóstwo.

- Bierz - odparł Greg. - Na nic mi się nie przydała. Nie potrafię nic wskórać.

Russ przesunął kciukiem dźwignię aktywatora. Olbrzymie silniki ryknęły i zaczęły wyć.

Na ekranie zaczęło się dziać coś przerażającego. Wydawało się, że statek Cravena cofnął się nagle o miliony mil. Widok rozplynął się w szarej pustce. Przez kilka szarpiających nerwy chwil na ekranie nic się nie działo. Obaj mężczyźni wstrzymali oddech.

Szara pustka w końcu zniknęła. Zaglądali teraz do sterowni *MSE-I*. Craven, zgarbiony w fotelu, wpatrywał się w rząd sterów. Za nim i z boku stał Stutsman z twarzą wykrzywioną grymasem szyderczego triumfu, trzymając w dłoni miotacz. Nie było śladu Chambersa.

- Cholerny idioto! - krzyczał Craven. - Pozbawiasz nas jedynej szansy na powrót do domu.

- Zamknij się - warknął Stutsman, podrzucając pistolet w dłoni. - Czy ta twoja aparatura osiągnęła już pełną moc?

- Parę minut temu - odparł Craven. - Musiała już wygryźć dziury w statku Manninga.

- I tak ma być - lepiej dopilnuj tego. I tak cię już nie potrzebuję. Przyglądałem się i znam wszystkie twoje sztuczki. Potrafiłbym dokończyć tę bitwę jedną ręką.

Craven nie odpowiedział. Po prostu pochylił się nadal nad sterami, obserwując migające wskaźniki.

Greg dotknął łokcia Russa.

- To musi być ta masoneria w kącie. To trójkątne ustrojstwo. Jakiś kondensator. To, co nam posłali, musi opierać się na przesyconych polach siłowych, a do tego potrzebowaliby kondensatora pola kosmicznego.

Russ skinął głową.

- Zajmiemy się tym.

Poruszył szybko palcami i z *Niezwykłego* wystrzeliła równoległe do wiązki sygnału telewizyjnego wiązka transportowa. Trójkątną maszynę otoczyły pasma energii, które zacisnęły się wokół niej drapieżnie. Widzieli na ekranie, jak aparatura zniknęła - po prostu zniknęła. Spoczywała obecnie w sterowni *Niezwykłego*, wciągnięta tam przez teletransporter.

Powódź bijącego z *MSE-I* oślepiającego światła ustała nagle i małe zielone ameby zniknęły. Powietrze przestało uciekać z przenikliwym świstem, kiedy nadgryzione osłony zamknęły się ponownie, uszczelniając statek mimo wywierconych w metalowych płytach poszycia dziur.

Na ekranie telewizyjnym, Craven zerwał się z fotela i wraz ze Stutsmanem wpatrywał się w miejsce, w którym stał przedtem koncentrator. Maszyna została wyrwana ze spawanego cokołu i w świetle sterowni połyskiwał teraz poszarpany, jasny, rozerwany metal. Pomieszczenie zalegały sterty zerwanych przewodów i połamanych szynoprzewodów.

- Co się stało? - krzyczał Stutsman. Słyszeli jak Craven roześmiał się, słysząc w jego głosie strach. - To tylko Manning dostał się na pokład i zabrał to urządzenie.

- Przecież nie mógł! Mieliśmy osłonę! Nie mógł się przedostać!

Craven wzruszył ramionami.

- Nie wiem jak to zrobił, ale udało mu się. Gdyby zechciał, mógłby pewnie ogołocić całe to miejsce.

- Dobry pomysł - powiedział roztropnie Russ.

Rząd po rządzie, wrywał z mocowań baterie świetlne drugiego statku. Zniszczył stery pola siłowego. Wyrwał przewody z silników i pozostawił statek bez środków do gromadzenia energii czy korzystania z niej, bez

możliwości ataku, ruchu lub obrony.

Oparł się w fotelu i spoglądał na ekran z głęboką satysfakcją.

- To powinno ich na jakiś czas zatrzymać - stwierdził.

Wyciągnął z kieszeni fajkę i nabił ją tytoniem ze sfatygowanego skórzanego kapciucha.

Greg spoglądał na niego pytająco.

- Cofnąłeś nadajnik w czasie. Dostałeś się na *MSE-I*, zanim Craven postawił osłonę, a potem skierowałeś go naprzód.

- Domyśliłeś się - powiedział Russ, ubijając tytoń w główce. - Już dawno powinniśmy do tego dojść. Pracujemy z czwartym wymiarem. W istocie, cała sprawa obraca się wokół czasu. To właśnie nadając przedmiotom pożądane przyspieszenie w czasie, używamy nadajnika czy przemieszczamy przedmioty za pomocą teletransportera.

Greg zmarszczył czoło.

- Może to znaczy, że naprawdę jesteśmy w stanie badać przeszłość, a może nawet przyszłość. Siedząc przed naszym ekranem widzieć wszystko, co się stało i wszystko, co się wydarzy.

Russ pokręcił głową.

- No nie wiem, Greg. Zauważ, że ekran nie zaczął działać, dopóki nadajnik nie wyłonił się z przeszłości i nie osiągnął punktu, w którym zbiegł się z teraźniejszością. To znaczy, że aby ekran i nadajnik działały, muszą znaleźć się na tej samej płaszczyźnie. Pewnie moglibyśmy dostosować ekran, a nawet nadajnik do podróży w czasie, ale to wymagałoby wiele badań i mnóstwa pracy. A zwłaszcza ogromnych ilości energii.

- Mamy energię - powiedział Greg.

Russ podpalał uważnie tytoń, poruszając nad nim zapalniczką. Przemówił z obłoków błękitnego dymu, które spowiły mu głowę.

- Może lepiej sprawdźmy teraz, jak radzą sobie Craven i reszta naszych przyjaciół - powiedział. - Nie podobał mi się ton Stutsmana ani to, jak wymachiwał tym miotaczem. I nigdzie nie widziałem Chambersa. Coś

dziwnego jest w tym wszystkim.

- Co teraz zrobimy? - zapytał Stutsman.

Craven uśmiechnął się do niego.

- To zależy od ciebie. Pamiętaj, ty tu dowodzisz. Przejąłeś statek i powiedziałeś, że ty będziesz wydawał polecenia. - Machnął niedbale w stronę roztrzaskanych maszyn, rozerwanego cokołu po aparaturze. - No to masz. Dalej, rządz.

- Ale ty musisz mi pomóc - błagał Stutsman, wykrzywiając twarz tak mocno, że zdawało się, iż cierpi intensywny fizyczny ból. - Wiesz, co trzeba zrobić. Ja nie wiem.

Craven pokręcił głową.

- Nie ma sensu uruchamiać silników. Manning zjawi się tu lada chwila. Poczekamy i przekonamy się, jakie ma zamiary.

- Manning! - wrzasnął Stutsman, wymachując szaleńczo pistoletem. - Ciągłe ten Manning! Pomyślałby kto, że dla niego pracujesz.

- W tej chwili w tym zakątku przestrzeni to on jest grubą rybą - zauważył Craven. - Nie da się tego przeoczyć.

Stutsman cofnął się ostrożnie. Podniósł pistolet i spojrzał na Cravena, oceniając go, jakby wybierał cel.

- Odłóż tę broń - powiedział jakiś głos.

Między Stutsmanem a Cravenem stanął Gregory Manning. Jego pojawienia się nie zwiastowało niewyraźne migotanie powietrza. Po prostu pojawił się znikąd.

Stutsman wpatrywał się w niego coraz szerszymi oczami, ale nadal ścisnął mocno w dłoni miotacz.

- Niech pan uważa, Craven - ostrzegł Greg. - Zamierza strzelić, a wiązka przejdzie przeze mnie i trafi pana.

Rozległ się stuk upadającego ciała, kiedy Craven rzucił się z fotela na podłogę i potoczył się w bok. Miotacz Stutsmana plunął płomieniami. Fala ognia przeszła przez obraz Grega i uderzyła w fotel, w którym jeszcze przed

chwilą siedział Craven, topiąc go, aż zapadł się w sobie.

- Russ, odbierz temu człowiekowi broń, zanim zrobi komuś krzywdę - powiedział cicho Greg.

Niewidzialna siła wyrwała Stutsmanowi miotacz z dłoni i cisnęła nim w bok. Niewidzialne więzy założyły mu szybko ręce za plecy i przytrzymały.

Stutsman krzyknął, próbował stawiać opór, ale nie był w stanie się poruszyć. Zupełnie jakby chwyciły go czyjeś olbrzymie dłonie, zaciskając w podobnym do imadła uścisku.

- Dzięki, Manning - powiedział Craven, wstając z podłogi. - Ten głupiec tym razem strzelił. Całe dni mi groził. Popadał w morderczą manię.

- Nie musimy się już nim martwić - stwierdził Greg. Odwrócił się w stronę Cravena. - Gdzie jest Chambers?

- Stutsman go zamknął w prywatnej kabine - powiedział Craven. - Pewnie ma klucz w kieszeni. Chambers skoczył na niego i próbował odebrać mu miotacz, a Stutsman położył go ciosem w głowę. Po tym zdarzeniu trzymał Chambersa w zamknięciu. Nie dopuszczał w pobliże nikogo. Nie dał mu nawet jedzenia i wody. To było trzy dni temu.

- Proszę wyjąć mu klucz z kieszeni - polecił Greg. - Niech pan idzie sprawdzić, jak się miewa Chambers.

Zostawszy w sterowni sam na sam ze Stutsmanem, Greg przyglądał się mu.

- Mam z tobą porachunki, Stutsman - powiedział. - Chciałem ci odpuścić, ale teraz to niemożliwe.

- Nie dotkniesz mnie - wybuchł Stutsman. - Nie ośmielisz się.

- Co każe ci tak myśleć?

- Blefujesz. Masz mnóstwo sztuczek, ale nie potrafisz tego, co chciałbyś mi wmówić. Udało ci się oszukać Chambersa i Cravena, ale nie mnie.

- Może uda mi się cię ostatecznie przekonać.

W wejściu pojawił się idący chwiejnie Chambers. Ubranie miał wygniecione, głowę owiniętą bandażem. Miał wymizerowaną twarz i

przekrwione oczy.

- Witaj, Manning - powiedział. - Wygrałeś. Pewnie już kontrolujesz Układ Słoneczny.

Uniósł dłoń do wąsa i musnął go, w nieudanej próbie powrotu do długo odtwarzanej roli.

- Wygraliśmy, ale co do władzy, myli się pan - powiedział cicho Greg. - Oddaliśmy rządy w ręce ludzi -tam, gdzie powinny się znaleźć.

Chambers skinął głową.

- Rozumiem - mruknął. - Co człowiek to idea. - Zatrzymał wzrok na Stutsmanie i Greg zobaczył, jak poszarzała, wynędzniała twarz ogarnął nagły gniew. - A więc złapałeś go? I co zamierzasz z nim zrobić? Co zrobisz z nami wszystkimi?

- Nie miałem jeszcze czasu o tym pomyśleć - powiedział Greg. - Byłem zajęty głównie tym tu Stutsmanem.

- Zbuntował się - zachrypiał Chambers. - Przejął kontrolę nad statkiem, zwrócił przeciwko mnie załogę.

- A karą za to jest śmierć - powiedział cichym tonem Greg. - Śmierć przez porzucenie w kosmosie.

Przytrzymywany pasmami energii, Stutsman zaczął się wić, wykrzywając twarz.

- Nie, do cholery! Nie możecie mi tego zrobić! Nie możecie!

- Zamknij się - ryknął Chambers. Stutsman ucichł.

- Myślałem o tysiącach ludzi w całym Układzie Słonecznym, których na jego rozkaz bezlitośnie uśmiercono - powiedział Greg. - Postawiono ich pod ścianą i zastrzelono. Innych z kolei zabijano na ulicy, jak dzikie zwierzęta.

Ruszył powoli w stronę Stutsmana, który skulił się przed nim.

- Jesteś rzeźnikiem, Stutsman - powiedział. - Jesteś smrodem w nozdrzach ludzkości. Nie zasługujesz na to, żeby żyć.

- Mam dokładnie takie same odczucia - powiedział Craven.

- Nienawidzicie mnie - wrzeszczał Stutsman. -Wszyscy mnie

nienawidzicie. Chcecie mi to zrobić, bo mnie nienawidzicie.

- Wszyscy cię nienawidzą, Stutsman — powiedział Greg. - Nienawidzą cię wszyscy ludzie. Otacza cię obłok nienawiści, czarny i szeroki jak kosmos.

Stutsman zamknął oczy, próbując uwolnić się z więzów.

- Podajcie mi kombinezon kosmiczny - rzucił Greg, obserwując twarz Stutsmana.

Craven przyniósł kombinezon i rzucił go Stutsmanowi u stóp.

- W porządku, Russ. Uwolnij go - powiedział Greg.

Kiedy pasma energii zniknęły, Stutsman zatoczył się i prawie upadł.

- Załóż kombinezon - polecił Greg.

Stutsman zawahał się, ale dojrzał w twarzy Grega coś, co kazało mu podnieść kombinezon, wejść do środka i opiąć nim szczelnie ciało.

- Co chcecie ze mną zrobić? - zaskomlał. - Nie zabierzecie mnie z powrotem na Ziemię? Nie postawicie mnie przed sądem?

- Nie zabierzemy cię z powrotem na Ziemię - powiedział ponuro Greg. - A właśnie stoisz przed sądem.

Stutsman ujrzał w jego zimnym spojrzeniu czekający go los. Bełkocząc z przerażenia, rzucił się na Grega, przeleciał przez niego, zderzył się ze ścianą statku i przewrócił się. Spróbował słabo podnieść się na nogi.

Niewidzialne dłonie uniosły go i ścisnęły, trzymając w wyprostowanej pozycji. Greg podszedł, stanął na wprost przed nim.

- Powietrza wystarczy ci na cztery godziny, Stutsman - powiedział. - Masz cztery godziny na rozmyślenia, na pogodzenie się ze śmiercią. - Odwrócił się w stronę pozostałej dwójki. Chambers skinął głową z ponurą miną. Craven nie odzywał się.

- A teraz zechce mu pan przypiąć hełm - powiedział Greg do Cravena.

Hełm opadł ze szczękiem na miejsce, ucinając wydobywające się z gardła Stutsmana prośby i pogróżki.

Stutsman widział odległe gwiazdy, wpatrzone w niego gniewnie okrutne, lśniące oczy. Ze wszystkich stron otaczała go próżnia.

Odrętwiały ze strachu, uświadomił sobie swoje położenie. Manning wyrzucił go daleko w kosmos, w pustkę, której przerażającej nicości nie przerywało nic na przestrzeni setek lat świetlnych.

W tym bezmiarze nicości był czymś mniejszym od drobiny kurzu. Nie istniała góra ani dół, nie miał żadnego sposobu orientacji.

Ogarnęła go samotność i groza, potworny agonalny strach. Za cztery godziny zapas powietrza miał się skończyć, a on miał wtedy umrzeć! Jego ciało miało wirować i kołysać się w wielkim kosmicznym oceanie. Nigdy nie miało być odnalezione. Miało pozostać tu aż do ostatniej chwili wieczności, zakonserwowane przez panujące w przestrzeni zimno.

Istniał pewien łatwy sposób... Sięgnął dłonią do złącza między hełmem a zbiornikiem powietrza. Wystarczyłoby szarpnięcie i mógłby umrzeć szybko, zamiast pozwolić, aby śmierć tropiła go w ciemności przez następne cztery godziny.

Zadrzał i zwolnił uścisk, dłoń opadła. Bał się przyspieszać śmierć. Chciał ją odłożyć. Bał się śmierci, strasznie się jej bał.

Gwiazdy spoglądały drwiąco. Wydało mu się, że usłyszał dobiegający gdzieś z oddali huczący śmiech. Co dziwne, brzmiał jak jego własny...

- Ułatwię ci to, Manning - powiedział Chambers. - Wiem, że wszyscy jesteśmy winni. Winni przed ludźmi i prawem. Przed tobą. Gdybyśmy wygrali, nie czekałaby nas kara. Zwycięzców nikt nie sądzi.

- Kara... - powiedział Greg, przyglądając mu się ze skrywanym w oczach humorem. - A tak, chyba rzeczywiście jakaś was czeka. Nakazę wam przerosiny na pokład *Niezwykłego* na odpoczynek i poczęstunek.

- Chcesz powiedzieć, że nie jesteśmy więźniami?

Greg pokręcił głową.

- Więźniami nie - powiedział. - Przecież przyleciałem tu, żeby ściągnąć was z powrotem na Ziemię. To ja was tu przywlokłem i wpakowałem w tę sytuację i to ja musiałem was z niej wyciągnąć. Zrobiłbym to również dla Stutsmana, ale...

Zawahał się i spojrzał na Chambersa.

Chambers oddał spojrzenie i skinął powoli głową.

- Tak, Manning. Chyba rozumiem - powiedział.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Chambers zapalił cygaro i rozparł się w fotelu.

- Szkoda, Manning, że nie potrafisz spojrzeć z mojej perspektywy - powiedział. - Nie ma dla mnie miejsca na Ziemi ani w Układzie Słonecznym. Rozumiesz, spróbowałem i poniosłem porażkę. Tam zawsze będę tylko byłym dyktatorem.

Roześmiał się cicho.

- Jakoś nie potrafię sobie wyobrazić mojego powrotu w roli pokonanego wodza plemiennego, przykutego, by tak powiedzieć, do twojego rydwanu.

- Ależ nie odbyłoby się to w ten sposób - zaproponował Greg. - Prawda, twoja firma zniknęła, a jej akcje są obecnie bezwartościowe, ale nie straciłeś jeszcze wszystkiego. Nadal posiadasz flotyllę statków. Posiadając naszą nową energię, Układ Słoneczny będzie potrzebował zwłaszcza statków. Całego mnóstwa, ponieważ szlaki kosmiczne wypełnią się handlem. Wróciłbyś do nowego porządku, nowego Układu Słonecznego, miejsca, które prawie w jedną noc zostało zmienione przez praktycznie darmową energię.

- Tak, tak, wiem - powiedział Chambers. - Ale widzisz, wspiąłem się za wysoko. Stałem się zbyt wielki. Nie mogę wrócić teraz jako drobna płotka, przegrany.

- Macie potrzebne nam rzeczy - powiedział Greg. - Na przykład, ten ekran blokujący nasz nadajnik i teletransporter. Potrzebujemy go jako zabezpieczenia przed naszym własnym wynalazkiem. Pomyśl tylko, jak przestępcy mogliby wykorzystać teletransporter. Żaden sejf, żadna sieć drutów pod napięciem, nic nie powstrzyma złodzieja przed zabraniem cokolwiek zechce. Więzienia przestałyby być więzzeniami. Przestępcy mogliby przedostawać się do nich i zabierać stamtąd swoich przyjaciół, bez względu na to, ilu strażników by ich pilnowało. W jeden dzień można by

opróżnić więzienia, sejfy w bankach i skarbcie narodowe.

- I jeszcze to przesycone pole kosmiczne - dodał z żalem Russ. - Prawie nas załatwiło. Musielibyśmy podkulić ogon i wiać, gdybym nie wpadł na to, żeby przesunąć nadajnik w czasie.

- Wcale nie. Mogliście przecież zgnieść nas w jednej chwili - zauważył Craven. - Potraficie poddawać materię dezintegracji. Mogliście puścić nas z dymem - rozerwać wszystkie wiązania elektronów i posłać je z hukiem w próżnię.

- Oczywiście, że mogliśmy, Craven - powiedział Greg. - Ale nie zrobilibyśmy tego.

Chambers roześmiał się łagodnie.

- Nie byliście na nas dość wściekli, co?

Greg spojrzał na niego.

- Pewnie tak właśnie było.

- Nadal ciekawi mnie to zielone pole kosmiczne - drążył Russ.

- Proste - powiedział Craven. - To po prostu pole, w którym na pewnej przestrzeni upakowano więcej energii niż była w stanie zmieścić. Pole kosmiczne, które dostało więcej energii niż mu się uczciwie należało, więcej niż było zdolne utrzymać. Roztwór przesycony ulega niemal natychmiastowej krystalizacji po zetknięciu z najmniejszym kryształem. Podobnie działa to pole. Wchodząc w kontakt z inną energią - fotonami promieniowania, materią czy innymi polami kosmicznymi w jednej chwili przechodzi w hiperprzestrzeń. W tych warunkach wasze pole antyentropii nie miało żadnych szans. Krystalizując się, nasze pola zabierały ze sobą jego kawałek, co prawda drobny, ale jedno po drugim przegryzły się przez waszą osłonę.

- Coś podobnego na pewno znalazłoby zastosowanie w przemyśle - powiedział Greg. - Przydałoby się też na wojnie, a skoro ludzkość może już ruszyć w kosmos, musimy przygotować się na ewentualny atak. Na innych planetach Galaktyki muszą istnieć jakieś istoty żywe. Pewnego dnia przylecą

do nas, a jeśli nie, to my polecimy do nich. A wtedy może przydać nam się każda broń, jaka wpadnie nam w ręce.

Chambers strzepnął popiół z cygara i wyrzął przez okno. Statek zmienił pozycję w ten sposób, że widział odległą gwiazdę, w stronę której kierował się wcześniej *MSE-I*.

- Jeśli o mnie chodzi, możecie zabrać te nasze odkrycia - powiedział powoli, mierząc każde słowo. - Oddajemy je wam, wiedząc, że użyjecie ich zgodnie z przeznaczeniem. Craven wytłumacz wam, jak działają. To znaczy, o ile zechce. To on je opracował.

- Oczywiście - powiedział Craven. - Zapewnię mi wieczną pamięć.

- Ależ pan wraca z nami, prawda? - zapytał Greg.

Craven pokręcił głową.

- Nie, lecę z Chambersem. Nie wiem, co zamierza, ale cokolwiek to jest, odpowiada mi. Zbyt długo byliśmy razem. Nie miałbym się z kim sprzeczać.

Chambers nadal spoglądał przez wizjer. Mówił, choć wydawało się, że nie kieruje słów do nich.

- Widzicie, miałem kiedyś marzenie. Widziałem, jak ludzie zmagali się z nieskutecznością i głupotą wybieralnych rządów. Widziałem, jak co jakiś czas do władzy dochodzili źli przywódcy. Widziałem, jak prowadzili ludzi w złym kierunku. Uczyłem się historii i przekonałem się, że tak było od kiedy tylko człowiek wyewoluował z małp. Chciałem więc dać ludziom rząd oparty na nauce - administrację ekonomiczną. Administrację, która rządziłaby dokładnie tak samo jak dobry przedsiębiorca prowadzi swój interes. Gdybym powiedział ludziom, że nie wiedzą, jak zarządzać swoimi sprawami, odrzuciliby mnie. Istniał więc tylko jeden sposób - zdobyć władzę i wcisnąć im ją do gardła.

Chambers nie był już pokonanym, pozbawionym władzy człowiekiem z obwiązaną białym bandażem głową. Znowu był agresywnym graczem finansjery, który zasiadał na Ziemi przy biurku w budynku *MSE*, wydając rozkazy - rozkazy przekazywane przez miliony mil przestrzeni.

Wzruszył ramionami.

- Nie chcieli jednak tego. Ludzie nie chcą rządu opartego na nauce. Nie chcą, żeby chronić ich przed błędami. Pragną tego, co nazywają wolnością. Prawa do robienia tego, na co mają ochotę, nawet jeśli oznacza to zrobienie z siebie głupców. Prawa do wznoszenia się na wyżyny i spadania równie głęboko. Taka jest ludzka natura, a ja wykluczyłem ją ze swoich planów. Ale ludzkiej natury nie da się pominąć.

Siedzieli w milczeniu. Nikt się nie odezwał. Russ ujął dłonią główkę fajki i przyglądał się Chambersowi.

Chambers, oparty w fotelu, pykał powoli cygaro. Greg siedział po prostu z kamienną twarzą.

Milczenie przerwał w końcu Craven.

- Co teraz zamierzasz?

Chambers machnął dłonią w stronę połyskującej za oknem odległej gwiazdy.

- Tam czeka nowy układ słoneczny - powiedział. - Nowe światy, nowe słońce. Miejsce, w którym można zacząć od nowa. To my go odkryliśmy. Należy się nam prawem odkrywcy. Polecimy tam i zrealizujemy swoje marzenia.

- Ależ tam może nic nie być - zaprotestował Greg. - To słońce jest młodsze od naszego. Planety mogły jeszcze nie ostygnąć. Mogło nie powstać życie.

- W takim razie poszukamy innego układu planetarnego wokół innego słońca. Ostygłego układu, w którym istnieje życie - powiedział Chambers.

Russ wstrzymał oddech. Działo się coś ważnego, coś, co powinno ustanowić precedens. Pierwsi ludzie, którzy wyruszali w międzygwiazdną wędrówkę w poszukiwaniu nowych światów. Pierwsi, którzy zostawiali za sobą stary układ słoneczny i wyruszali, aby znaleźć nowe światy krążące wokół odległych słońc.

- W porządku, jeśli tego właśnie chcesz - powiedział Greg. - Miałem nadzieję, że wrócicie z nami. Pomożemy wam jednak naprawić statek i

oddamy wszystkie zapasy, których możemy się pozbyć.

Russ wstał.

- To okazja do wzniesienia toastu - powiedział.

Otworzył szafkę i wyjął z niej butelkę i szklanki.

- Tylko trzy - powiedział Chambers. - Craven nie pije.

- Dla mnie też nalej, Page - wtrącił się Craven.

Chambers spojrział w zdumieniu na naukowca.

- W życiu nie słyszałem, żebyś cokolwiek wypił. Craven wykrzywił twarz w uśmiechu.

- To szczególna okazja.

Niezwyknięty zbliżał się do Marsa, lecąc w stronę Ziemi, która nadał była zielonkawą sferą daleko z boku płonącego Słońca.

Russ obserwował w zadumie mały, zielony glob.

Ziemia była jego domem. Dla niego zawsze miała nim być. To jednak miało się wkrótce zmienić. Minie tylko kilka pokoleń, a Ziemia przestanie być domem dla miliardów ludzkich istot.

Z nowymi silnikami na energię materii, życie na każdej planecie stało się możliwe, a nawet łatwe. Koszt produkcji, wydobywania i transportu na ogromne międzyplanetarne odległości miał być tylko ułamkiem tych samych kosztów, kiedy w celu zdobycia życiodajnej energii ludzie zmuszeni byli polegać na nieporęcznym i drogim systemie ogniw.

Teraz Mars wytwarzał własną energię. Nawet Pluton mógł wytwarzać własną energię. A energia oznaczała... cóż, władzę. Władzę życia, władzę pracy, budowania i podtrzymania handlu, dostosowania grawitacji do ziemskich lub innych standardów. Władzę do stwarzania planet od nowa, przekształcania ich i prze-budowywania, aby panujące na nich warunki odpowiadały ludziom.

Ziemiańskie ruszą teraz masowo na nowe, dziewicze pola przedsiębiorczości - farmy na Wenus, rozkwitające ośrodki przemysłowe na Marsie, kopalnie na satelitach Jowisza, wielkie laboratoria, które pojawią się na Tytanie i Plutonie

i innych zimniejszych światach.

Dawno temu zaczęła się migracja ras. We wczesnej epoce kamienia łupanego, pojawili się znikąd ludzie z Cro-Magnon wypierając neandertalczyków. Setki lat później w kolejnej niespokojnej migracji barbarzyńcy z północy pokonali i zmiotli Imperium Rzymskie. A wiele stuleci później, migracja skierowała się z Europy do położonego za morzem nowego świata, a wojowniczy Amerykanie wywalczyli sobie drogę ze wschodu na zachód kontynentu, podbijając go.

Teraz zaś miała rozpocząć się kolejna wielka migracja - ludzkość ruszała w kosmos, opuszczając Ziemię. Ruszała w bezmiar oceanu gwiazd, zostawiając za sobą świat, który wychował ją i pielęgnował. Najpierw miała opanować planety, a potem dokonać skoku od planet do gwiazd!

Kiedy już Ameryka stała się krajem, całymi latami budowała własne tradycje. Wielu nadal uważało Europę za ojczyznę. Z upływem lat to minęło, i Ameryki przestały zawdzięczać cokolwiek Europie, stając się światem samym w sobie.

Tak samo miało być z Ziemią. Przez setki lat, tysiąclecia, Ziemia miała być Planetą Matką, ojczyzną milionów wędrowców, rzucających wyzwanie otchłani kosmosu i obcym, nowym światom. Ludzie mieli odbywać sentymentalne podróże na Ziemię, żeby zobaczyć miejsce, gdzie urodzili się i mieszkali ich przodkowie, żeby spojrzeć na pomnik oznaczający punkt, z którego wystartował na Księżyc pierwszy statek kosmiczny, żeby zwiedzać muzea, ujrzeć stare miasta i oddychać powietrzem, którym mężczyźni i kobiety oddychali przez tysiące lat, zanim odkryli moc, która pozwoliła im dotrzeć wszędzie.

Ziemia miała stać się w końcu tylko wyjałowioną planetą. Już teraz jej zasoby naturalne były gwałtownie wyczerpywane, zasoby ropy wyschły, a cały węgiel został wydobyty. Przemysł ustabilizował się i nasycił, przedsiębiorstwa dublowały swoją działalność i konkurowały mocno. Stała się przepełnionym światem, światem, który mieścił zbyt wiele rzeczy, zbyt

wiele zawodów, zbyt wielu ludzi. Światem, który nie potrzebował już mężczyzn i kobiet. Światem, w którym nawet geniusz napotykał przeszkody w dotarciu na szczyt.

To zaś gnało ludzkość z dala od Ziemi. Rywalizacja, tłok w biznesie i przemyśle, brak możliwości rozwoju, wieczna walka o uzyskanie przewagi, o miejsce do życia wśród milionów innych walczących o to samo. Ale nie tylko, nie całkiem to. Było w tym coś jeszcze - odwieczny duch przygody, impuls gnający na spotkanie nowych niebezpieczeństw, każący przekraczać stare granice, działać i podejmować wyzwania, robić z siebie cholernego głupca lub przekraczać największe osiągnięcia w historii ludzkości.

Jednak Ziemia nigdy nie miała umrzeć, ponieważ we wszystkich ruszających w kosmos mężczyznach i kobietach miała tkwić jej część, odrobina ziemskiej odwagi, ziemskich ideałów i ziemskich marzeń. Wyhodowane i wypielegnowane przez Ziemię nawyki, cnoty i wady nigdy nie miały zginąć. Stara Ziemia miała żyć wiecznie. Nawet po tym jak stanie się tylko dryfującym przestrzeni pyłem, Słońce zaś - zimną, martwą gwiazdą, Ziemia miała przeżyć w odwadze i marzeniach, które zdążyłyby już dotrzeć do odległych zakątków Galaktyki.

Russ wydobyl fajkę z kieszeni, poszukał kapciucha, znalazł go na biurku za sobą. Był pusty.

- Cholera - powiedział. - Skończył mi się tytoń.

Greg uśmiechnął się szeroko.

- Nie będziesz musiał długo czekać. Za parę godzin wrócimy na Ziemię.

Russ włożył fajkę między zęby, zagryzł ją zaciekle.

- Pewnie tak. Do tej pory mogę udawać, że palę. Zostawili już Marsa za sobą. Ziemia stała się dużo większa.

Nagle z nocnej strony Ziemi wystrzeliło w kosmos mrugające światło. Sygnał - sygnał, oczyszczający kosmiczne szlaki, wiodące do przyszłości większej niż przewidział to kiedykolwiek jakiś ludzki prorok.

Clifford D. Simak



Clifford D. Simak (1904 - 1988) amerykański pisarz SF, laureat wielu nagród. Pisał charakterystyczne, nostalgiczne opowieści o zwykłych ludziach rzuconych w wir niezwykłych wydarzeń. Autor wyśmienitych opowiadań zebranych w tomie *Miasto*. Długo broził się przed pisaniem powieści. Namówiony przez Johna Campbella napisał dla "Astounding" kilka space oper wzorowanych, a może raczej parodiujących styl E.E. "Doca" Smitha.

Imperium to trzecia powieść Simaka, wyraźnie nawiązująca do stylu Smitha. W układzie słonecznym trwa bezpardonowa walka ekonomiczna. Prowadzona jest za pomocą nowinek technologicznych, konstruowanych przez różne strony konfliktu. Miliarder Spencer Chambers zamierza sobie podporządkować cały nasz układ gwiazdny wraz z mieszkańcami. Przeciwdziałają mu błyskotliwi naukowcy, Russel Page i Gregory Manning.